

Łoś Wincenty

ODRĘBNA ISTOTA

Powieść współczesna

I.

Była to komnata, charakterem swoim niezdradzająca. przeznaczenia.

Niby halt,

niby gabinet, męski, artyści i sybaryty, niby atelier, niby salon.

Niesłychany zbytek dzieł sztuki panował w tej olbrzymiej ale

proporcjonalnej

sali, wypełniając ją całą dotęgi stopnia, iż nie sprawiała wielkością

swą

niezwykłego wrażenia.

Na ścianach wisiały obrazy przednich pendzli w złocistych i bogatych,

ale

artystycznych ramach; od sufitu spuszczały się trzy weneckie

żyrandole, a na

marmurowej podłodze, zasłanej różnymi najpiękniejszymi wzorów

dywanami, stały

porzucane meble, modne fotele, staroświeckie krzesła, gdańskie i

florenckie

stoły, szafy i gabinety, mieszanina pysznych modeli wszystkich

stylów, rzeźbiona

i wyłożona i lśniącą starożytnością, a świeżością zachowania

zlewająca się w

harmonijną całość, olśniewającą oko, czule na zbytek sztuki.

Włoskie, jesienne słońce zaglądało strugami światła i ciepła przez

szerokie,

otwarte, przysłonięte koronkami okna i promieniami swymi

ogrzewało te barwy

różne, te jedwabie i plusze, te perskie wzory. Promienie słońca

migotały złotem

i podnosiły rzeźb}' i płaszczyzny stolarskich arcydzieł.

Ta pyszna komnata, był to znany we Florencji gabinet, od lat w niej

zamieszkałego hrabiego Stanisława Odrowąża, znanego amatora-
antykwarza,
człowieka milionowo bogatego, członka honorowego wielu
naukowych towarzystw,
autora głośnej w swoim czasie książki, wyszłej pod pseudonimem, ale
jemu
powszechnie przypisywanej, a noszącej dziwaczny tytuł "La
philosophie de
l'amour".

On sam siedział teraz w tym pokoju. Siedział na tureckim szeszlunku i
czytał

gazety, których już kilkanaście rozrzucił dokoła siebie.

Był to już mężczyzna niemłody, mógł liczyć do sześćdziesięciu lat
życia, sądząc

po jego białych włosach, po zmarszczkach, które delikatnie pokryły
jego

niepospolicie przystojne, czerstwe, szlachetne i pańskie oblicze.

Z jego twarzy, noszącej ślady dawno uleciałej, ale tak potężnej, iż się
zęb

czasu nie bała, męskiej piękności, tryskał całą swoją siłą charakter
i to jeden z tych wybitnych i indywidualnych charakterów, które
oryginalność

swoją, graniczącą bardzo blisko z wielkością, rysami oblicza
wypowiadają.

Było coś tak artystycznego w jego całej postaci, iż ta na tle portretów
mistrzów, przedstawiających wielkich tego świata, dodatnio odbijała.

Było w niej

coś tak pańskiego, iż tworzyła w tym zbytku nieodzowny prawie
dodatek i nadawała

mu powagi. A w jego siwych oczach, pełnych życia i tego blasku
inteligencji,

tkwiła niesłychana moc myśli, którą się czuło ciągle w tym mózgu,
pokrytym

wypukłym lśniącym czołem, pracującym z wytężeniem i szybkością
iskry

elektrycznej.

Wyniosły i chudy, nosił dużą białą brodę, nadającą fizyognomii jego o
regularnych i rzeźbionych rysach, jakiś charakter fanatyzmu, ale tego

nieuchwytnego fanatyzmu wykształconej i tegoczesnej natury.
Olimpijski spokój
panował w tych rysach, zajętych lekturą, ale intensywny blask małych
ócz
zdradzał najwyższe zajęcie się przedmiotem.
Czytał widocznie po kilka razy jedne i te same wiersze i ustępy,
odkładał
opuszczając gazetę na kolana i zatapiał się w indywidualnej zadumie
człowieka, przywykłego do rozwiązywania życiowych zagadek i do
dostrzegania ich
często w kilku wierszach rzuconych na bibułę przez myśliciela.
Artykuł tak zajmujący ten mózg ukryty pod maską światowca
tegoczesnego a
posłannika, nosił tytuł Paradoxes et balivernes, a wiersze, które
przykuwały
wzrok jego wyrażały myśl:
"Miłość nie jest obiadem, jest tylko entree, lub deserem".
Ten paradoks wyężdżając go zajmował, czy dlatego, że pod nim stał
podpis jednego
z najgłośniejszych myślicieli i autorów epoki, czy dlatego, że miał
styczność z
jego "Filozofią, miłości?"
Dość, że wstał i zaczął chodzić po pokoju krokiem miarowym,
poważnym, lecz mimo
to nerwowym.
— Czyżbym się pomylił? — szeptał, wyężdżając wzrok w kierunku
swej wyężdżonej
myśli. Autor ten jest realistą, ale jest i autorem — myślał —
najidealniejszej
powieści, jaką znam, jest realistą, ale jest i myślicielem. Nie
spotkałem u
niego paradoksu, któryby nie miał coś prawdy. Jeśli się nie myli, to
byłby czas
jeszcze... może...
Zatrzymał się, podniósł głowę i wlepił wzrok w portret, zawieszony
na draperyi z
gronostajów i atlasu, przedstawiający zachwycającą kobietę. Było-

to dzieło wielkiego mistrza i pierwszej świeżości, bo płótna nie
pokrywała
dostateczna powłoka werniksu. Snać prosto z pracowni malarza
przeniesione tu
zostało.

Kobieta wyglądała żywo. A była to śliczna, szatynka o pełnych i
zaledwie o tyle
kapryśnych, że nie regularnych rysach białego oblicza, na którym
pałały żarem i
ogniem, niewidziane czarne oczy. Poza jej była naturalną, bo z
założonemi
rękami, misternie utoczonymi, przypatrywała się bystro, poważnie a
namiętnie z
pewnym uśmiechem, zdradzającym wysoką, kulturę duszy każdemu,
który ją tu w tych
ramach podziwiał.

Ten portret przykuwał, tak mistrzostwem swego pędzla, jak
pięknością i
indywidualnością przedstawionej na nim kobiety. Na pierwszy rzut
oka widziało
się w nim wizerunek niepospolitej postaci niewieściej. Ale nie
piękność jej sama
zastanawiała widza. Zastanawiała go więcej jakaś śmiała, rozwinięta,
umiejętna i
psychicznie interesująca dusza, tryskająca całą siłą z tej genialnie
namalowanej
postaci.

Hrabia długo się portretowi przypatrywał, a oblicze jego w oczach
traciło swą
poważną intenzywność myśli, a pokrywało się cechami jakiegoś nad
wyraz tkliwego, głębokiego, a mimo to krytycznego uczucia.

— Nie! — szepnął, odstepując o krok od portretu, jak gdyby go
chciał, jeszcze z
oddali lepiej widzieć — ta kobieta nie uznałaby paradoksu Zoli.
Ale pytanie?... Niechże mi kto na nie odpowie, na pytanie tu
rozstrzygające, czy
taką ją natura stworzyła, czy taką ją uczyniłem ?

Ruszył z miejsca i dalej chodził po komnacie coraz szybciej, jak gdyby go mogła ogarnąć gorączka, jego, wykutego z marmuru posłannika. Myślał.

— Olga ma lat dwadzieścia cztery. Jest w wieku, w którym kobieta powinna uczuć potrzebę kochania i to taka kobieta, tak rozwinięta, tak wychowana, z takimi oczami. Gdyby ona tę potrzebę czuła, czyżby mi się nie zwierzyła? Przystanął i zamyślił się tak głęboko, że lśniące jego czoło pokryło się bruzdami.

Ruszył i znów myślał.

— Nie! Powiedziałyby mi... To serce jeszcze śpi, ale się obudzi. A gdy się obudzi... gdy się obudzi w takiej kobiecie, tak wychowanej, tak dojrzałej, tak zbudowanej?

Przystanął z wyrazem przestachu prawie nagle ogarniającego rysy jego starej bieli zarostu, a tak młodej żyjącą inteligencją twarzy.

I w tem czerwona portyera się rozsunęła, -wydając za ledwie szelest właściwy

aksamitom. Hrabia się odwrócił, a na tle purpury stanął żywy portret, który dopiero co podziwiał w ramie.

Był to żywy portret, tylko uchwycony w innej chwili. Kobieta w naturze i w tym

momencie miała jeszcze większy blask w oczach. Ten blask zastanowił hrabiego. Z

wyciągniętymi dłońmi posunął się ku niewieście, z wyrazem na twarzy zdradzającym

prawie zaniepokojenie. Wpatrywał się w jej oczy tak błyszczące, iż prawie

chwilowo zatracaly harmonię jej spokojnych, nie namiętnych, ale raczej

apatycznych rysów.

Hrabia podszedł tuż ku niej i stanął, pytając tylko wzrokiem. Czy to pytanie

kobieta zrozumiała, czy też. wyrażało to, co, by wyrazić tu przyszła ?
Ale nie ruszając się z miejsca, zawołała głosem, nutą tylko
odkrywającym

wypieszczoną w tym domu ale i samowolną i myślącą istotę:

— Papo! Ja się nudzę...

Hrabia uśmiechnął się raczej z rozumnym i odgadującym a zadowolonym, niż zasmuconym wyrazem. J tym razem ten niespodziewany wyraz na obliczu

ojca zadziwił, bo powtórzyła tonem zdradzającym swe uczucia i ich subtelne

barwy:

— Papo! Ja zaczynam się nudzić! Hrabia przeprowadził poważnie i z odcieniem pewnej galanterii córkę do miejsca, w którym był siedział i

wskazując jej renesansowe o olbrzymiej poręczy krzesło, sam asiadł na dawnym

miejscu i rzekł:

— A więc opowiedz mi, co to jest to, co nazywasz nudami ?

— Ha ! ha! — zaśmiała się Olga hrabianka Odrowążówna — więc ty, ojczu, nie

wiedziałybyś, co to są nudy ? Ty, który zgłębiasz niemal genezę i znaczenie

każdego słowa i myśli ? — tu oblicze jej przybrało wyraz ciekawości osoby,

przywykłej do nadawania każdej rozmowie głębszej cechy i zapytała:

— Czyżbyś się ty, ojczu, nigdy nie nudził ?

— Nie — zawołał hrabia i urwał. Pomyślał sekundę i podchwycił:

— Być może. W twoim wieku może się czasem i nudziłem.

— A więc, jeśli nie chcesz wyjść z twojej roli, objaśniając mi twym jedynym

rozumem rzeczy tego świata, to nie pytaj mnie, co to jest, co na-

zywara nudami, tylko powiedz mi raczej, co to jest właściwie i czemu tę chorobę,

która mnie powoli i coraz silniej ogarnia, przypisać należy Odrowąż osunął się w

tył fotelu, oczy wzniósł ku sufitowi i utkwiał je w migotającym

kryształami

żyrandolu.

— Dobrze... dobrze... ale zdefiniuj mi tę chorobę — rzekł z umyślnym naciskiem na ostatnim słowie.

Olga podchwyciła z pośpiechem, a oczy jej traciły ten nienaturalny i prawie ostry blask, z którym weszła, a robiły się oczami z portretu.

— Nie wiem, czy ja dać potrafię dokładne określenie tego uczucia. W każdym razie

nie znajdę na jego określenie słowa w polskim języku. Jakiś brak interesu dla

jutra, jakaś apatya dzisiaj, jakaś pogarda dla wczoraj... Jakieś zmęczenie

moralne i fizyczne, jakieś przestraszające, coraz większe zubożenie na

wszystko, co mną, dotąd poruszało.... Jakieś pragnienie czegoś nieuchwytnego i

nieistniejącego może....

Urwała, a ojciec wlepił swój wzrok w jej oczy, które dlań były barometrem jej

myśli i uczuć. Zmiarkował, że jeszcze mówić będzie i milczał.

Olga wnet z ogniem, który swą dźwięczną, intonacją barwił niemal każde jej

słowo, zaczęła:

— Une lapitude generale... powiedziałyby Bourget, opisując może podobne

usposobienia, z którymi się nieraz spotykałam w romansach, ale które nic z mojem

analogicznego nie mają. Un desir inanone powiedziałyby Maupassant, malując

pragnienia swych kobiet, — powiedziałyby może, sam niewiedząc, co to jest

właściwie..

Urwała znów i pytała wzrokiem Odrowąza, jakby doskonałego causera. swego salonu,

a nie ojca. Ale ten milczał, zapatrzony w szkła kinkietu. Kobieta wiedziała, iż

myśli tak wyęzając nad daniem jej odpowiedzi, któraby tak, jak wszystkie dotąd

przez niego jej dane, była nieomylną dla niej i niechybną.

To też podchwyciła jeszcze:

— Pamiętam raz, temu lat kilka, ogarnęła mnie dzika chęć —

pamiętasz ojczy? —

działania, robienia czegoś... Wtedy zwierzyłam ci się i od razu

odgadłeś brak,

który czułam, a na który trafić nie mogłam. Wtedy skierowałeś mój

umysł ku

sztuce i wypełniłeś tę lukę w mej duszy, i dałeś mi pasmo dni, lat, w

których ta

sztuka była mi wszystkim...

— Pamiętam — zawołał, jakby się budzą. c z zadumy hrabia — pa...

mię... tam i

pamiętam słowa, któremi wtedy wskazałem ci drogę do zajęcia twej

wyobraźni. Bo

wtedy wyobraźnia twoja potrzebowała tylko tego.. "czegoś", którego

dziś

potrzebuje twoje serce...

Olga wyteżyła zaciekawiony raczej, niż zdziwiony wzrok, a Odrowąż
ciągnął:

— Rozwinąwszy się bardzo wcześnie fizycznie, spałaś długo jako

kobieta, właśnie

tem prawem równowagi. I temu lat kilka, gdy ci sztukę wskazałem

jako środek

zapełnienia życia, stoczyłem z sobą poważną walkę, ale widziałem, że

jeszcze nie

byłaś kobietą, w znaczeniu tego słowa, jak je rozumiem. Wtedy

powiedziałem ci:

"sztuka jest na świecie dla wykształconych dusz wszystkim" i wtedy

skłamałem..

Olgi oczy zaniepokoiły się tym wyrazem, właściwym oczom,

będącym

odzwierciedleniem niesłuchanie inteligentnej i pojętej duszy, a

hrabia mówił:

— Miłość jedna, miłość głęboka, miłość potężna jest esencją życia, a

szczególnie

kobiety normalnie rozwiniętej, kobiety, jaką ty jesteś. Miłość i sztuka,

oto dwa

hasła życia, jak istnieją dwa hasła żołnierza. Ale sztuka stoi na drugim planie i byłaby niczem bez miłości, bo tylko miłość jedna jest słońcem moralnego i fizycznego, realnego i idealnego życia. Tu ojciec się zapalił a posłannicze oblicze jego tryskało ogniem. — To zmęczenie ogólne, które odczuwasz, jest tem zmęczeniem natury pod powłoką śniegu zamarznętej i łaknącej wiosny i słońca, czyli miłości. Zmęczoną jesteś tem wszystkim, co cię otacza, i co dopiero wtedy "w oczach twoich odżyje, gdy je promienie słońca twej duszy ozłocą. Zmęczoną jesteś tem, że tak długo nie jesteś kochaną, że nie czujesz się dotąd ogrzaną promieniami miłości. A to pragnienie, które czujesz, jest to pragnienie zaspokojenia niezbędnej potrzeby serca każdego, a szczególnie serca kobiety: jest to pragnienie kochania. Odrowąż urwał, a Olga siedziała, wpatrując się w niego z tą silną wiarą, jaką obudzają w słuchaczach ludzie, porywający śmiałą i wymowną myślą. Patrzyła w jego oblicze z olimpijskim spokojem swej namiętnej ale apatycznej kobiecej natury. Słuchała go uważnie i z przejęciem, bo pragnęła, by jak najdłużej mówił, by ją przekonał, bo czuła, że się znajduje w najważniejszym momencie swego życia. Czuła to instynktownie, czuła to z zapamiętaniem ojca, — czuła, że słowa jego, które trafiały w sedno jej mdłych, uspokojenia szukających pragnień, jeśli jej nie wskażą nowych horyzontów, to jej bodaj odkryją nowe światła i gwiazdy, które wprowadzie już dotąd dobrze widziała, ale na które teraz innemi oczami patrzeć będzie. Po długim milczeniu, Odrowąż odchrząknął i już spokojnym, głębokim tonem mówił:

— Jesteśmy w najważniejszej chwili twego, a więc i mojego, tobie poświęconego, żywota. Odtąd, jeśli uwierzysz w prawdę tego, co ci w tej chwili wygłoszę, zaczniesz nowe życie, które może być dla ciebie jasnym. jak włoskie niebo, lub ponurem, jak myty Skandynawskie. Odtąd zrozumiesz, co znaczy być kobietą, której dotąd byłaś poczwarką. Odtąd, jeśli hasło "miłość i sztuka" znajdą odgłos w twojej duszy, poznasz wielką i nieomylną prawdę, nie zaznasz więcej tego uczucia, które cię teraz męczy.

Odetchnął i znów mówił:

— Odtąd pójdziesz w świat nową. i obcą ci drogą, która mnie od dwudziestu lat, jako droga, będąca jedynym celem kobiety, zastanawiała zewzględu, jaki ci na nią miałem dać drogowskaz. Ten drogowskaz od dawna ci już przygotowałem i oto przed chwilą jeszcze nad nim się zastanawiałem, a nie sposób, abyś go w stosunku, w jakim żyjemy, dawno nie odgadła. Od lat czterech żyjemy z sobą nie jak ojciec z córką, ale jak inteligentny z inteligentną. A jeśli rzadko z tobą poruszałem temat miłości, to dlatego, że rzadko cię on zastanawiał. A pierwszy nie chciałem rozdmuchiwać iskry, która u ciebie wkrótce rozpali się płomieniem i wybuchnie pożarem ! Wiedziałem zresztą, bo do tego dążyłem, że gdy tę iskrę rozniecającą się poczujesz, mnie się z tego zwierzysz, lub też w twoich oczach ją odgadnę — w twoich oczach, które dla mnie siłą pracy i woli stały się oczami kobiety a nie córki. Że się nauczyłem widzieć w tobie nie córkę, tylko kobietę, więc cię znam

i mogę ci śmiało dać drogowskaz życia, ku zadziwieniu pewnie
wszystkich ojców,
gdyby mnie słyszeli.

Tu urwał, zawahał się i z siłą, ale drżącym głosem, zawołał:

— Jeśli chcesz być szczęśliwą, jeśli chcesz zaznać chwile, okupujące
lata

mgliste i ponure, jeśli chcesz widzieć ze spokojem i bez żalu gasnący
blask

twych oczu, siwiejące twe włosy i zmarszczki, pokrywające twe
oblicze, to wchodź

w to życie z hasłem "beźmiernie kochać i być kochaną!"

Miłość! a reszta wszystko vanitas vanitatum et omnia vanitas.

Odpoczął.

Olga siedziała nieruchoma, a jakieś poczucie moralnego zaspokojenia,
pochodzącego ze zmęczenia wyobraźni, ogarnęło ją całą.

Odrowąż po pauzie, całkowicie innym głosem się odezwał:

— W ciągu lat, motywując ci różne oryginalności, w których się
wychowałem,

tłumacząc ci z całkowicie odrębnego punktu widzenia nadanie ci
kultury

nowoczesnej, wypowiadałem ci się z mojego życia, którego ty, bądź
co bądź,

będiesz kontynuacją. Ale nigdy nie dotknąłem tej bolesnej chwili,
która mnie

skłoniła do przygotowywania cię ustawicznego, iżbyś to

niebezpieczne hasło,

jakie dziś ci daję, zrozumiała. Nigdy nie dotknąłem dramatu mego
życia, który

jednakże pewnie czułaś, a który jedynie spowodował, że
wychowaniem twem z

zupełnie oryginalnego stanowiska się zająłem i do tego odwagę
miałem. Grałem tu

bardzo gros jeu i sam nieraz truchleję przed jej skutkami. Chciałem,
abyś tylko

była szczęśliwą...

Urwał i podchwycił:

— Jeżeli więc rzeczywiście czujesz, że nowe ci się otwiera życie, jeśli
trafiłem, tłumacząc ci to uczucie, które

nazwałaś "nudami", jeśli teraz masz umysł swobodny, to gotów jestem odkryć ci ostatnią, dotąd zamkniętą przed tobą kartą, która ci wytłumaczy, dlaczego jesteś od panien w twoim wieku inną, dlaczego w świecie, w którym żyjesz, jesteś często obcą, dlaczego jesteś tak indywidualną. W tej karcie znajdziesz genezę tego "hasła", jakie ci daję.

Skończył i oczyma pytał. Olga westchnęła jakby zmęczona pracą myśli nad wyraz interesującą. Milczała długo. Oczy jej straciły chwilowo swój blask i zaszły mgłą marzenia. Zdawała się być oszołomioną tem wszystkim, co ojciec jej dotknął, a co ona inteligencją niezwykłą prędko ogarniała i roztrząsać pragnęła.

— Nie ojcie — szepnęła — - nie dziś... Muszę się przygotować do słuchania cię.

Szkoda, byś mówił do zmęczonego słuchacza... Gdy ochłonę, gdy się silnie przekonam, że się nie mylisz, że to, a nie co innego jest przyczyną mego usposobienia, gdy wiele nowych rzeczy, które mi mnie dziś oszołomiłeś, przetrawię... poproszę cię o... tę spowiedź...

— Bardzo dobrze i bardzo logicznie — odparł Odrowąż oddychając pełną piersią, jakby uszczęśliwiony z tego obrotu rzeczy, zwalniającego go ze spowiedzi.

Olga wstała i wyciągnęła się, jakby prostując zmęczone członki i uwydatniła przepyszną figurę i utoczone piersi skończonej kobiety.

— Jakże jestem zmęczona... — szepnęła — a zapomniałam ci powiedzieć, że na obiad zaprosiłam księcia Torloni i pana Olskiego.

— Tego rzeźbiarza, który mi się prezentował, zdaje się, u Branickich?

— Jego... twórcę popiersia Wandy, jego, któremuś przyznał wysokie...

— Aaaa...

— Boję się — zapytała znów po chwili hrabianka — czy ci ojciec przypadają do

smaku te obiady, które ci raz po raz każę jeść w gronie takich

Torlonich i

Olskich ?...

— Ah ! — podchwycił Odrowąż z turtuazyą skończonego światowca

— przepadam za

światową rozmową przy cygarze i likierze.

Olga powróciła do swego buduaru. Ulegała zmęczeniu. Myśli, które jej ojciec w

głowie poruszył, robiły jej samej wrażenie jakiegoś tumanu, nagle

przez otwarte

okno wiatrem w pokoju poruszonego.

Rzuciła się na szezłag i utkwiła wzrok w przestrzeni.

— Tak — myślała — ojciec jej się nie mylił. Nuda pochodziła z

przydługiego snu

serca. Ona potrzebowała innej już egzystencji, potrzebowała...

miłości...

Zastanowiła się. Ten ojciec jej, który już nieraz ją do głębokich refleksyj nad

sobą skłaniał, dziś więcej niż kiedykolwiek ją zaciekawił. Dlaczego w tak

odrębny sposób ją wychował ?

I to pytanie dziś pierwszy raz ją uderzyło.

W myśli zaczęła przebiegać przeszłość, a oblicze jej pokrywał wyraz przestachu.

Czyż ona tak była mało myślącą, iż dziś dopiero spostrzegła, dziś, gdy jej to

wyraźnie powiedział ojciec, że była inną od wszystkich panien, że świat, w

którym żyła, był jej prawie obcym? Ona tego nigdy nie czuła. A tak przecież było

rzeczywiście...

Zła była sama na siebie. Uważała się za wyjątkową inteligencyę, za osobę wyższą,

a tak mało myślała, tak powierzchownie i naturalnie brała rzeczy
najbliżej ją
dotyczące.

Ona, królowa salonów florenckich, panna zajmująca wybitne miejsce
w
najarystokratyczniejszym kosmopolitycznym świecie Europy,
podziwiana przez
rafinowanych mężczyzn, zadzi-
wiająca swym rozumem i dowcipem pisarzy i filozofów,
potrzebowała ojca, aby jej
otwierał oczy na siebie samą i rozjaśniał tajnie jej duszy. Złą była na
siebie.

Przecież mogła się sama tego domyślić, że kobieta w dwudziestym
czwartym roku
życia powołaną jest już do spełnienia wielkiego swego posłannictwa.
Zamyśliła się, bo jej apatyczna a namiętna natura niecierpiała pracy
myśli.

Męczyła ją ona do niewypowiedzianego stopnia, męczyła tak, iż to jej
sprawiało
ból fizyczny, jakby dotkliwe klucie w mózgu, jakby ciężar na głowie.
I teraz cierpiała widocznie, ale zwalczać się postanowiła, bo się czuła
przed
poważną zagadką, którą rozwiązać sama była winna.

Dotąd wystarczał jej we wszystkim ojciec. On rozwiązywał
wszystkie jej
wątpliwości, odpowiadał na wszystkie pytania jej duszy a odpowiedzi
jego
trafiały tak do jej przekonania, iż nigdy ich nie sprawdzała. Ile razy
znalazła
się przed jedną z zagadek życiowych, ojciec rozwiązywał ją w sposób,
robiący jej
wrażenie własnych myśli w słowa ubranych. Stąd nabrała do niego
nieograniczonego
zaufania, zapatrywania jego odpowiadały jej naturze, poglądy się
godziły,
krytyki ich się tylko uzupełniały. Czy ona tak do niego była
charakterem i naturą podobną?

Czy też on taką ją wychował i do takiej bierności ją przygotował?

Ta myśl ją oburzyła. Westchnęła cicho, ale jakby nutą nadmiernego cierpienia.

Potrzebowała myśleć, a myśleć nie mogła, bo myślenie było dla niej wstrętnem, bo dotąd nigdy, ale to nigdy, nie myślała.

Ale czyż to możliwe, aby ona była bierną? Ona? Z tak wyraźną osobistą wolą, —

ona, uchodząca za panią tego domu. — ona jak żadna panna we Florencyi, ze

wszystkich, jakie w całym świecie znała, usamowolniona, a w sposobie zachowania

się, jak jej to inni nieraz mówili, aż rażąco na swój wiek i swoją płęć zdecydowana i stanowcza.

Ona więc bierną była!

Ale, jeśli nią nie była, to dlaczegoż potrzebowała ojca dziesięć razy na dzień,

aby jej oświecał ciemne jej własnej duszy obrazy?

Dlaczegoż dzisiaj...?

Czy dlatego, że tak była przyzwyczajoną, tak rozpróznioną w pracy myślenia ?

Czy może dlatego, że ojciec jej był wyższy od niej inteligencją, że był człowiekiem nadzwyczajnego serca i rozumu? Bo za takiego go ona miała.

Ta wyższość jego nad nią, dziś ją także bolała. A jeśli on ją swą wyższością

opanował, jeśli całe jej życie może jej nie odpowiadało, tylko zostało jej przez

tego myśliciela siłą jego wymowy i woli narzucone?

Ona nie chciała być narzędziem nawet w rękach szalenie ją kochającego i

kochanego ojca, ona chciała wiedzieć, do czego dąży, czego jej do szczęścia

potrzeba. Ona chciała być wolną, choćby kapryśną i samowolną w swym wyborze, bo

taką była jej natura, iaką od dzieciństwa, bo utkwiał jej w pamięci wypadek,

który taką ją w dzieciństwie już odsłaniał, bo taką ją nawet ojciec mieć chciał.

Raz, liczyła wtedy lat piętnaście, ojciec był zabrał książkę, którą z zajęciem czytała. Zabrał jej był przemocą, więc ona w furii popsutego dziecka, wbiegła do jego biblioteki i zaczęła mu wyrzucać ze szaf jego ulubione i najpiękniejsze dzieła. Szarpała je, targała, ciskała o ziemię, a ojciec jej się z uśmiechem hamowanej złości przyglądał. To ją rozwścieczyło, ten uśmiech szczególnie, który do dziś pamiętała. - Uchwyciła więc wazę sewrską, dopiero co nabytą, trzydzieści tysięcy franków kosztującą i zawołała:
— Oddaj mi książkę, albo rozbiję.
Wtedy ojciec jej oddał książkę, ochronił wazę i powiedział:
— Lubię wazę, która znajduje środki.
Zamyśliła się. To wspomnienie ją cieszyło. Miała więc wazę wtedy, a więc musiała ją mieć i dzisiaj.
Ale ona wtedy, odebrawszy książkę, nie przeczytała jej, oddała ją własnowolnie ojcu z rumieńcem na twarzy, który jeszcze dziś czuła. A ojciec jej powiedział wtedy słowa, których długo nie rozumiała.
— Wielkie jest mieć wazę, ale większem jeszcze uznawać inną.
Pamiętaj o tem na przyszłość.
Ocknęła się i rozpędziła te wspomnienia. Ona potrzebowała zebrać myśli i zastanowić się nad tem dlaczego ojciec wskazywał jej drogi, które serce podszeptować powinno, dlaczego ten wpływ na nią wywierał, ten wpływ niegodny jej wyższości?
Opuściła głowę na poręcz i rozglądała się po pokoju.
Myśleć długo o jednym nie mogła, więc poddała się podszeptom swej wyobraźni.

Jej własny pokój ją zastanowił. Badała go jakby nowość. Ten pokój był tak innym od wszystkich pokoi, jakie u panien widziała. On był nawet dla panny śmieszny.

Dlaczego ona te-go dotąd nie spostrzegła, dlaczego ojciec jej na to nie zwrócił uwagi

Stylowe, niskie pułki z książkami biegły wzdłuż ścian, a nad nimi wisiały

obrazy.. jakże niestosowne do buduaru panny... Ta naga bachantka pijąca z czary,

tam nagi cyklop pokazujący swe plecy atlety.

Ileż razy spostrzegła, że obrazy te dziwiły tu ludzi. Bawiło ją to, ale nigdy

głębiej jej nie zastanawiało. Dziś, po raz pierwszy...

Oczy jej spoczęły na ulubionej szafie książek. Mieściła ona całego Maupassanta,

Feuilleta...

A dziwiło kiedyś starą księżnę. Torloni, że czytała L'amour Micheleta?

Dlaczegoż ona ludzi dziwiła?

A więc rzeczywiście była wjchowaną inaczej, niż wszystkie panny. I nie widziała

tego, nie zastanawiała się nad tem, aż jej ojciec nie zwrócił na to uwagi.

To wychowanie jej było dziwne, — może rzeczywiście inne, może zbyt oryginalne ?

Ale dlaczego ojciec ją tak wychował?

Teraz dopiero ogarniała ją ciekawość dowiedzenia się. Miała ochotę pobiedz do

gabinetu Odrowąza i poprosić go, aby dokończył tego, co zaczął, aby jej

wytłumaczył, dlaczego

"jest od panien jej wieku inna", dlaczego w świecie, w którym żyje, jest "czasem

obcą".

Tak! Ojciec się nie mylił. Ona, nie dalej jak wczoraj, znalazłszy się na recepcyi u hrabiny Skowrońskiej, doznała, słuchając najzwyczajszych i

codziennych plotek, wrażenia, jakby się znajdowała wśród warjatów.
Dlaczego ?

Wstała, aby udać się do ojca. Ale znów uczuła zmęczenie, znów tę
apatyę myśli,

tę niemoc choćby słuchania dalej rzeczy, które jej sprawiały niemiłe
wrażenie

tumanu kurzu, wznieconego podmuchem wiatru, co wpadł przez
okno do jej pokoju.

Złudzenie miała kompletne, jakby chorej i przemęczonej wyobraźni.

Tiulowa firanka poruszała się od lekkiego włoskiego zefiru, a kłęby
kurzu

zakręciły się w salonie i jakby w fantazyi jakiej mignęły jej w
powietrzu

postaciami mężczyzn, których w życiu to tu, to ówdzie znała a teraz w
tem

dziwacznem złudzeniu, w sarabandzie z kurzem ku oknu ulatujących,
widziała.

Ocknęła się. Wstała z przestachem. Musiała mieć gorączkę.

Wyciągnęła się,

ziewając i prostując zwykłym swym męskim ruchem swą wygiętą i
elastyczną figurę.

— Ach ! myśleć! myśleć! — szepnęła — cóż za głupstwo!

— Działać a nie myśleć. Działać,

co ci dusza podszepcze, co ci serce powie, co ci instynkt wskaże...

Stała chwilę i nagle znów opadła bezwładnie na poduszki szezlongu, a
floreński

zaciszny wietrzyk znów jej rozgorączkowanej wyobraźni nasunął
dziwne widzenie, w

którem postaci mężczyzn, jakich w życiu to tu, to ówdzie spotkała,
jakby w

tumanie kurzu z ziemi się wydostały i ku oknu pomykały.

Znała ich tyłu, ale tylko ci w tej oryginalnej sarabandzie mieli
rzeczywiście

kształty ludzkie, a rysami byli do jej znajomych podobni, którzy w
swoim czasie

na niej pewne wrażenie wywarli.

A więc wirowali wkoło niej, jakby w obłoku, jakby namalowani na
jakimś

alegorycznym obrazie: margrabia London ze swym cynicznym
uśmiechem, który ją
tak intrygował przeszłej zimy w Paryżu, artysta hiszpański Walezi, w
którym się
kochała tydzień cały a rozczarował ją do niego jeden frazes,
zdradzający jego
banalny nieco umysł.
Przesuwali się wszyscy.
Hrabianka się zerwała. Podbiegła do dzwonka elektrycznego i czekała
pojawienia
się służącego.
— Konie do wiktoryi! — rozkazała zdziwionemu słudze, wobec
okoliczności, że pora
była spóźnioną, a na obiedzie mieli być goście.
Przeszła do swego gabinetu toaletowego, — ubierała się. Czuła
potrzebę
powietrza, czy też pragnęła uciec przed sobą samą, z tym buntem,
który się w
niej odbywał.
Ojciec ją widocznie wychował do jakichś celów, a ona żadnym celom
służyć nie
chciała. Mięszało się jej w głowie. Całe jej dotychczasowe życie nie
podało
się jej, całe to życie, które jej minęło jak jeden pogodny dzień, bez
chwili
zastanowienia, bez chwili żalu czy pragnienia tego lub owego.
Ona może była oczarowaną przez tego myśliciela, który dziś się jej
przyznał, że
ją wczoraj okłamywał.
Konie zaszły.
Zbiegła do przedsionka pałacu i tu spotkała się z ojcem, który nie
umiał ukryć
na swej fizyognomii przykrego wrażenia.
— Wyjeżdżasz ? — zapytał.
— Wyjeżdżam.
— Wszakże zaprosiłaś na obiad gości ?
Olga przystanęła i obojętnym spojrzeniem zmierzyła ojca. Ona nie
mogła panować

nad sobą, - jej rozpasana natura o mało że nie wołała "gwałtu", tak
cierpiała,

nie mogąc zrozumieć siebie, a nie chcąc myśleć.

— Niech licho porwie gości! szepnęła wyraźnie tym odrębnym tonem,
właściwym

osobom wewnątrznie wzburzonym, za silnym, by się opanować, a za
słabym, by

wybuchnąć.

Wskoczyła do powozu, który też zaraz ruszył.

Odrowąż został w przedsionku. Rysy jego zrazu skrzywione na myśl
dziwaczego

obiadu z gośćmi, których prawie nie znał, bez osoby, dla której oni
przychodzili, wypogodziły się za chwilę. Był jak zawsze spokojny,

światowy z tą

chmurą myśli na czole, myśli wciąż pracującej i wyteżonej.

— Ha! otworzyłem butelkę... szumi — szepnął i utkwiał wzrok w
posadzce, by po

pauzie dodać głosem, który zdradzał jakieś nieopisane ulżenie całemu
jego

organizmowi:

— Stało się... Chwila, której czekałem i przed którą truchlałem,
nadeszła...

Teraz się zacznie inne życie, ale konieczne, jej życie... I usłyszę
odpowiedź na

to pytanie dotąd nierozstrzygnięte, a dla mnie tak straszne...

Stanął, zapuścił zażawiony wzrok w bezdeń i zapytał:

— Czy lalka, czy kobieta w naszym świecie będzie szczęśliwszą?

Westchnął, myślał i znów zapytał siebie:

— Czy zaszczepione przesady i formy, czy też filozoficzny,
wykształcony i

postępowy humanitaryzm daje to, co nazywamy szczęściem ?

Nie miał czasu filozofować. Za ledwie frak nałożył, gdy turkot
ekwipażu

zawiadomił go o przybyciu pierwszego gościa.

Wyszedł więc do salonu, rozpędzając z wysiłkiem myśli tłoczące mu
się do głowy

pytania, które mu nasuwał energiczny, tak chwilami niepohamowany i kapryśny charakter córki. Te nieprzewidziane choć rzadko trafiające się wybryki samowoli, te objawy pogardy dla konwenansów, te oznaki zaburzeń wewnętrznych jej namiętnej a pozornie apatycznej natury, głęboko go zastanawiały i trwożyły. To też mimo całego swego światowego obycia, hrabia był nieprzytomny, bawiąc swych gości, księcia Torloni, który formalnie się o rękę Olgi starał i artystę Olskiego, który widocznie ją tem czy owem zastanowił, skoro go na obiad prosiła. Był roztargniony, pilnował tylko gości, aby pili a błagalnie spoglądał za panią Duclos, damę do towarzystwa hrabianki, by podtrzymywała chwiejącą się konwersację.

— Jeśli Olga była taką — myślał tymczasem — to on ją taką zrobił. Ileż to razy jej powiedział, że wola jest skarbem człowieka, że swoboda winna być cechą wyższej istoty, że konwenanse są formą kłępującą słabe inteligencje czy upośledzone moralnie natury, a że wybryki namiętności czy kaprysów są podskokami rasowych tylko istot. On ją taką zrobił. Zrobił ją taką umyślnie i wiedział, dlaczego ją taką zrobił. I teraz jeszcze zadawszy sobie to pytanie, na nie odpowiadał. Zrobił ją taką, aby jej dać broń niezbędną kobiecie, gdyby ją chciał przeciw jej woli zawojować mężczyzna, gdyby z niej chciał zrobić tę biblijną żonę, będącą już anachronizmem w XIX. stuleciu, w epoce kobiet-profesorów i teorii rozwodów i wolnej miłości. Zrobił ją taką, bo miał do tego prócz swej

filozofii, ważne jeszcze inne przyczyny... Nad niemi, nad temi
przyczynami,
dzięki którym teraz się męczył, bawiąc swych gości, zastanawiał się, a
czoło
jego pokryło
się taką chmurą, oczy nabiegły taką tęsknotą., że fizyognomia jego
zastanowiła
współbiesiadników. Ucichło dokoła stołu, a hrabia się spostrzegł, że
się od
niego o mil tysiące oddalił.
Ocknął się i uśmiechem rozpedził głęboko zamyślony wyraz swego
oblicza.
W tejże chwili weszła Olga i zawołała od drzwi do gości:
— Proszę nie wstawać, proszę się nie ruszać...
Usiadła na miejscu dla niej przeznaczonem i zaczęła rozmawiać z
naturalnością
największą, jak gdyby u tego stołu od początku była, jak gdyby nawet
się nie
domyślała, że gościom jej nieobecność mogła się wydać choćby tylko
niezwykłą.
— Zrobiłam cudowną przejażdżkę. Dowiedziałam się, że Florencya
bywa
najpiękniejszą o tej porze, w której jadamy obiad. Ulice nie roją się od
wymuszonych elegantów, jak pan — mówiła, zwracając się do księcia
— nie potrzeba
się kłaniać i odklaniać, uważać na siebie i innych. To też użyłam
przejażdżki w
całej pełni. Nie żałuję ani pasztecików, ani pièce de vesis tauce...
Tu urwała, bo służący podawał jej półmisek z pieczystem. I cisza
zapanowała
dokoła stołu, a w wyrazach
wszystkich czterech oblicz, skierowanych z interesem ku hrabiance,
jedną tylko
myśl wyczytać było można.
Ta kobieta zastanawiała ich wszystkich, i ojca i rzeźbiarza i panią
Duclos i
księcia tą. pięknnością, ozywioną teraz rumieńcami tryskającymi z
twarzy, żarem

pobudzonych, a tak błyszczących, tak niepospolitych oczu, tą niespotykaną swobodą nie panny, lecz jakiejś genialnej artystki, której narzucono trudną, bo rolę rzadko widzianej kobiety.

A wyraz flzyognomii Odrowąża, badający i zaciekawiony, zdawał się wyrażać zdziwienie. Córka jego przestraszała go czasem. Zdawało mu się, iż za daleko posunęła te wszystkie filozoficzne teorie, tę kobiecą wyższość, którą w niej wykształcić pragnął.

Mówiła dalej:

— Ale ja samą być nie mogę. Wyjechałam pod wrażeniem chwili i potrzeby samotności. Ale wkrótce, już na ulicy Dożów, spostrzegłam się, że popełniłam olbrzymi błąd...

Tu urwała i zwróciła się do księcia swym pewnym tonem:

— Czy pan umiesz być sam ?

— Oh !

Hrabianka się zaśmiała.

— Ja się nie pytam, czy pan bywasz sam, to każdy z nas potrafi; ja się pytam, umiesz być sam? — powtórzyła z naciskiem.

Książę się zmięszał, — pytania widocznie nie rozumiał. Hrabianka błysnęła

spojrzeniem ciekawem, usta jej zarysowały się drwiąco, potem pogardliwie.

Spojrzała na ojca wyrazem, który on jeden tylko rozumiał, i czempredzej

podchwyciła:

— Otóż ja nie umiem być samą. Ale poradziłam sobie na to. W drodze spotkałam

chłopca lat piętnastu... do ośmnastu, który zdawał się mi zazdrościć, że jadę i

zawołał do mnie po włosku: "Pani! szczęśliwa w powozie !" Kazałam mu siadać obok

siebie i z nim odbyłam ten spacer.

— Ten chłopiec był?... — zapytał, zdziwiony widocznie, choć
zdziwienie

ukrywający książkę.

— Był chłopcem! — odparła rezolutnie Olga.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Torloni to dużo, ale nie dosyć... Pytam
się...

— Oh! — zawołała hrabianka z tym dowcipem, który śmiał się jej
głosem, gdy

drwiła — czyż wiem? Był chłopcem i nie był księciem... To wiem...

ha! ha!

Dziecko ludu... Opowiadał mi wiele ciekawych rzeczy, a tak mu było
dobrze w moim

powozie, że mógł-

by uchodzić za księcia, gdyby nie jego bosa nogi i dziurawe spodnie...

Panna Duclos opuściła wstydliwie oczy, a Odrowąż podchwycił, bo
się

przestraszył, aby córka jego nie posunęła za daleko dowcipu, co się jej
często

zdarzało:

— I jesteś zadowolona? O to tylko chodzi... Godzina dobrze
spędzona...

— Oh! — zaśmiała się hrabianka

— jestem uszczęśliwiona, bo wyobraźcie sobie, młodzian ten starał mi
się

podobać. Włosi są kokietami... Nieprawdaż, książę?

Torloni znów się zawahał z odpowiedzią. Widać było w jego sposobie
zachowania

się formalną obawę niewłaściwego znalezienia się wobec tej kobiety o
ruchliwym,

sypiącym aluzyjami, mózgu, których celu nieraz trudno było
przewidzieć.

Hrabianka dalej ciągnęła:

— Nie uwierzcie, jak miło jest samemu sprawdzić jedną z tych
psychicznych

prawd, które czytamy w książkach myślicieli, jako niekoniecznie
prawdziwe

paradoksy...

— Na przykład? — podchwycił książe, który znów nie wiedział, do czego zmierzała hrabianka.

— Na przykład, że ludzie są wszędzie i zawsze tylko tymi samymi ludźmi. I czy uwierzysz książe, że ów ulicznik florencki, siedząc obok w powozie, powiedział ten sam komplement,

któryś mi ty powiedział onegdaj, gdyśmy odbywali przejażdżkę.

— A więc i on byłby w pani zakochany? — podchwycił Torloni. obejmując kobietę swem gorącym, włoskim spojrzeniem.

— Nie — odparła Odrowążówna. — Ja znajdowałam, że siedząc przy kobiecie w powozie, jest się obowiązany do komplementu. Komplement zresztą był banalny...

— Dziękuję...

— I czy uwierzysz książe — ciągnęły Olga z tym zapalem zapędzających się, bo niepospolitych inteligencji — zrobił on na mnie równie banalne wrażenie w ustach twoich, jak w ustach tego paupra. Gdy mi ktoś o moich oczach mówi, to mi się

zawsze zdaje, że mówiłby o pogodzie, gdybym tych oczu nie miała...

Tu się jeszcze bardziej ożywiła; oczy jej błysnęły ogniem namiętnością

zadowoleniem zaspokojonej ciekawości jej chciwej wrażeń duszy i dodała zwracając się tym razem do ojca :

— I, co najciekawsza, stwierdziłam i to jeszcze, co mi się nieraz banalnym

wydało, że my kobiety, czy w księciu, czy w pastuchu chcemy widzieć mężczyznę.

— Oh ! — obruszył się tym razem Torloni — znałem bardzo znakomite kobiety, które

mię zapewniały, że u nich mężczyzna zaczyna się od...

— Od księcia? — rozśmiała się Olga.

— Nie pani! Od człowieka ich świata i wykształcenia — podchwycił z odcieniem obrazy.

— To nie były kobiety — zawołała ze śmiechem Olga, tonem tak pewnym siebie, iż prawie apodyktycznym. a mimo to dźwięcznym i niewieścim.

— To nie były kobiety ! — powtórzyła — to były damy !

Książę objął hrabiankę osowiałym wzrokiem, a po obliczu Odrowąza przemysłał wyraz

zadowolenia, pomieszanego z trwogą i niepewnością. Pani Duclos spuściła oczy na

talerz, a Olski bawiąc się widelcem, obserwował to córkę, to ojca z ciekawem

spojrzeniem.

Nastąpiła krótka chwila ogólnego zażenowania, którą odczuła hrabianka i

spoglądała znacząco na ojca.

Odrowąż odczuł pytanie i odparł:

— Rozumiem cię i podzielam twe zdanie.

Obiad się skończył i wstano od stołu.

* * *

Około godziny dziewiętej, byli już sami w wielkim salonie, Odrowąż, Olga i pani

Duclos.

Ta ostatnia usiadła z hrabią przy kominku i oczami, utkwionymi w robocie

trykotowej, spoglądała od czasu do czasu na Olgę, która biegła formalnie po

komnacie, miotana jakąś wewnętrzną gorączką. Jej apatyczna i spokojna natura nie

mogła jeszcze ochłonąć — raz puszczona na spadzistą drogę domysłów i zagadek nad

własną swoją osobą i przyszłością. Oczy jej pały i zdradzały całą wewnętrzną

burzę, jaka szalała w jej mózgu, odgadującym siłą inteligencji i sprytu, ale nie

zdolnym do rozwikływania i kombinacyj.

Odrowąż czuł, co się w jego dziecku, w którym przywykł widzieć niezależną a kochaną kobietę, działo. Zapatrzony w ogień kominka, szarpał, co mu się nadzwyczaj rzadko zdarzało, swoją długą białą brodę, gładząc ją nerwowo od góry do dołu i nadając jej kształt bród z czasów Henryka IV., co zupełnie jego fizyognomię zmieniało. Wydawał się młodszym, nerwowym, namiętym — całkiem innym.

W chwili, gdy Olga w swej przechadzce, znalazła się w przeciwległym końcu długiego salonu, pani Duclos cicho do Odrowąża się odezwała: — Jest dzisiaj niezwykle zdenerwowaną... Ten wyjazd... Przy obiedzie była tak pobudzoną..

— Zdaje mi się, — odparł hrabia — że chce ze mną pomówić. Oddal się pani nieznacznie...

Gdy zostali sami, Odrowąż jeszcze bardziej szarpiąc brodę, a muskając ustami jej spiczasty koniec, zaczął się huścić na swym fotelu i po długim milczeniu zagadnął:

— Torloni oświadczy się o ciebie. Zdziwiasz go i tem jeszcze silniej interesujesz.

Hrabianka przystanęła.

— On jest głupi — rzekła — nie rozumiał dzisiaj różnicy między "być samym", a

"umieć być samym". To. książątko włoskie, a nie mężczyzna... A ojciec, jak go znajdujesz?

Odrowąż głęboko się zastanowił. - Każdy człowiek — odparł — jest mężczyzną dla

tej kobiety, której się podoba...

Nastąpiło znów milczenie. Odrowąż się huścił i z zapalem targał brodę, śledząc

córkę, skoro tylko ona bystrem swem okiem nań nie patrzyła. Ulga
dalej chodziła
po komnacie, jakby pragnęła umęczyć fizycznie swe
ciało i skłonić je tem do uspokojenia nerwów.
Nagle stanęła tuż przy ojcu, odsunęła nogą fotel i siadając, Zagadnęła:
— Możebyś mi teraz, ojcze, powiedział to, coś mi chciał powiedzieć
rano ?...
— Boję się, czy w tej chwili zanadto nie jesteś zdenerwowaną.
— Zdenerwowaną? — zagadnęła — ja nerwów nie mam. Mam tylko
namiętności, które
czasem robią wrażenie nerwów... Zaciekawileś mnie. Chcę wiedzieć...
— Mianowicie?
— Co cię skłoniło do wychowania mnie w sposób, na którego
oryginalność dziś
dopiero zwróciłeś moją uwagę. Co cię upoważniło — ciągnęła z
powagą, ale z iskrą
pretensyi — do lepienia mnie, jak posążka z terrakotty?
— Nie rozumiem cię — podchwycił z wyraźnym przestachem hrabia.
— Wczoraj miałam wierzyć, że sztuka tylko i jej kult dają szczęście w
życiu. A
dzisiaj twierdzisz, że hasłem jego jest tylko miłość i to miłość namiętna,
jedyna...
— Tak! Bo wczoraj byłaś dzieckiem, a dzisiaj jesteś kobietą.
Tu urwał, powstał, spojrzął na zegarek. Twarz jego znów zmieniła
wy-
raz znów straciła znamiona gorączki, pokryła się powagą i smutkiem.
— A więc, skoro chcesz, mówmy! Fora jest spóźnioną, ale mam przed
sobą pojętnego
słuchacza. Być może, że cię lepiłem jak posążek z terrakoty, ale nie w
egoistycznej myśli, nie dla sklepu dzieł modnej sztuki. Lepiłem cię z
uwzględnieniem przede wszystkim materiału, to jest twej natury, na
podstawach
odwiecznych zasad życia i filozofii, biorąc w rachubę przeszłość i
przyszłość...
Odetchnął, jakby się gotując do -długiego mówienia. Oblicze jego
nabrało tego
wyrazu ważności zadania, jaki często miewał, policzki pokryły się
wypiekami

gorączki, a głos zaczynał dźwięczeć tą metaliczną siłą, a dziwną łagodnością, która przykuwała Olgę. To też siedziała nieruchoma, zapatrzona w oczy ojca, jakby uspokojona jego powagą, upewniona siłą jego słów, a porwana całkowicie jego wymową. I czuła ze zdziwieniem, jak ją opuszczały trwogi swobodnej i niezależnej natury i czuła, że to, co on jej powie, będzie mimo wszystkiego, mimo buntów jej natury nieznoszących w sobie sprężyny nakręconej inną ręką, hasłem jej życia.

Odrowąż mówił:

— Temu lat trzydzieści zjawił się w Paryżu młodzieniec, noszący historyczne polskie nazwisko, dziedzic dużej fortuny, opanowany próżnością, zaślepiony przesądami, bałwochwalczy, zwolennik form, konwenansów i małostek, istny opętaniec życiowych haseł swojego wieku, swojego kraju i swojej społecznej klasy. Zjawił się z zamiarem zrobienia kariery, to jest uzyskania środków do prowadzenia en plein i en large swych próżnych projektów, swych bezmyślnych ambicij, swych idyotycznych mrzonek.

Hrabia mówił to prawie ze złością, nową zupełnie dla Olgi, przywykłej do jego spokojnej i harmonijnej intonacji, płynącej z refleksy i tą indywidualną cechą myśli filozoficznie przetrawionej. To też słuchała go ona ze skupioną uwagą, a on ciągnął:

— Poznał on tam milionową Amerykankę, kobietę piękną, córkę kraju. swobody i postępu, córkę kraju pracy i myśli, córkę społeczeństwa wyzwolonego z ciasnych,

zardzewiałych kajdan, któremi Europa opętała swe dzieci. I przysłała mu dzika myśl zaprzęgnięcia do swego wozu tej kobiety" stworzonej do życia a nie jarzma stworzonej do słońca padającego promieniami nieosłoniętymi za pomocą kolorowych i malejących szkieł malutkich europejskich kraików. I przyszedł na barbarzyńską myśl zaprzęgnięcia do dyszla swego wozu tej istoty, pragnącej żyć a nie ciągnąć jakiś fikcyjny, monstrualny rydwan, stworzony pracą kilku więcej bezmyślnych a mniej szukających prawdy, wieków. Odchrząknął i podchwycił:
— A że młodzieniec ten miał przystojne oblicze, że miał talent karyerowicza, że miał wymowę ot taką, jaka ciebie teraz przykuwa, że miał siłę, jaką daje spryt, potrafił oszołomić tę kobietę do tego stopnia, iż zgodziła się oddać mu swą rękę i swe miliony, iż się zgodziła zamieszkać w przesądami ścieśnionej Polsce i służyć temu pankowi z przewróconą przesądami kilku pokoleń głową, w jego zamiarach i ambicyach, których nicości naturalnie, jako córka społeczeństwa zdrowego, bo młodego, nie była w stanie uchwycić... Nieszczęsna! Tu hrabia, który mówiąc, chodził wszcz komnaty, nie oddalając się od kominka, przystanął i wlepiając swój orli wzrok w córkę, urwał i zaraz podchwycił :
— Tym idyotą byłem ja - a tą, męczennicą twoja matka. Oldze zabłyśły duże łzy w jej czarnych oczach. Słyszała ona pierwszy raz o swej matce, a słyszała w takiej chwili i takim głosem, iż uczuła gwałtowne ściśnienie serca. Ta inteligentna dusza rozumiała dobrze wyjątkową

siłą mózgów, nie lubiących myśleć, i to, czego hrabia nie mówił, a co na fizyognomii jego zdawało się być wyrytem, a w głowie dzwięczało. Oczy jej zdradzały, iż równocześnie, jak hrabia prawił, ona przeczuwała, co powie, a przenosiła się zupełnie w czasy i psychicznie podsuwane jej obrazy. Odrowąż spokojniejszym znacznie tonem, siadając na fotelu, ciągnął: — I zaczęło się życie pełne szarpania, to poświęceń tej biednej istoty, to buntów jej szlachetnej i swobodnej natury, życie wstrętne tą walką mężczyzny z kobietą, ohydne ustępowaniem słabej strony silniejszej. Chciałem z niej — z niej, pragnącej tylko kochać naturę, stworzenie, męża, ludzi, świat, a żyć słońcem i rosą, gwiazdami i świeżą poranku majowego atmosferą... zrobić... ha, ha, ha, polską damę, hrabinę, napuszoną przesądami, hołdującą formom, a upatrującą swoją misję w sposobie "trzymania salonu"... ha, ha, ha ! Hrabia odetchnął i mówił dalej: — A ja kochałem tę kobietę, tę wybraną istotę, to uosobienie niewieściej szlachetności i etyki, rozumu i logiki, słodczy i niespaczonej kobiecości. Ale ją zamęczyłem. Byłem despotą i tyranem, gdy chodziło o przeprowadzenie mych zachcianek. Głos Odrowąza ucichł, zajęczał jakby wśród duszących go łez. — Ileż razy, pamiętam — mówił — gdy ją zmuszałem do poddania się przesądom, konwenansom, mrzonkom naszego nieszczęśliwszego od któregośkolwiek arystokratycznego, polskiego świata, przypatrywała mi się jak waryatowi z tym głębokim wyrazem w swych czarnych jak twoje oczach, który mnie do wściekłości doprowadzał, a który mówił: "Ja chciałam znaleźć w tym człowieku męża, a

znalazłam galernika fikcyj minionej i ciemnej przeszłości... "

Zamęczyłem ją!

Odпочzął, poczem urywanym głosem mówił dalej:

— Rozwinął się defekt serca w tem życiu, które je wciąż ścisnęło.

Zrodziła się
choroba żółci, którą wytwarzałem... Nie odpowiadał jej klimat.

Dreńczyła tęsknota
za ludźmi wśród manekinów i lalek... Bolał mózg silny, normalny a
ściskany jakby
żelaznemi kleszczy ciasnotą kastowych pojęć najmniejszego w
Europie świątka, a
tak chorego, iż dał się kiedyś połknąć. Zgasła, zostawiając mi ciebie...
Wzdęła się pierś hrabiego. Zaczepnął powietrza i wstrzymał, jakby
konwulsyjny
spazm płaczu, aby czempredzej zacisnąć usta, połknąć duszące go i do
ócz się
cisnące łzy i podchwycił znów innym tonem:

— Nie zapomnę nigdy tej chwili, bo się wtedy we mnie coś w strzępy
potargało, bo
wtedy coś się we mnie stało, co zgruchotało w mem ciele starego a
zrodziło
nowego człowieka. Konała kobieta w kwiecie wieku, konała kochana
a zamęczona
przezemnie istota, która mi nigdy nie zrobiła wyrzutu za znoszone
katuszy, a
która wtedy tak się do mnie odezwała: "Nie czynię ci wymówek, bo
umieram bez
żadnego żalu, bo padam ofiarą nie twoją, ale starcia się dwóch
światów,
wczorajszego i jutra. Byłam jednakże bardzo nieszczęśliwą, bo jako
kobieta,
chciałam kochać tylko, a kochać się nie pozwalałaś". Tu głosu jej
brakło,
wskazała na ciebie, śpiącą przy niej w kołysce i szepnęła
dogorywającym głosem:
"Ale zostawiam ci tę istotę, szczęście jej okupi moją niedolę. Ale
pamiętajcie
na Boga, że to córka Amerykanki... "

Hrabia wybuchnął płaczem, a Olga zalała się łzami i pierwszy raz w życiu pełną piersią zaszlochała jak dziecko.

— Odrodziłem się. Dramat śmierci obudził we mnie śpiącego człowieka myśli i serca. Postanowiłem okupić zbrodnię mojego życia, a okupienie to widziałem w uczynieniu cię zdolną do "bycia szczęśliwą". A że krew matki twej płynęła w twych żyłach, że odziedziczyłaś po niej te jedyne oczy, więc zadanie miałem ułatwione. I wychowałem się, wychowałem odrębnie, uwzględniając krew twojej matki i moją, ale moją, odrodzoną w ogniu życiowego dramatu. Wychowałem cię do życia, które ci wypadnie spędzić w niemojem już stuleciu, w wieku dwudziestym, który zawojują bezsprzecznie prądy nowego świata, będącego twoją po części ojczyzną, który opanują nowe idee, obalające już dziś odwieczne przesady i teorie i popychające ludzkość na nowe tory.

Urwał, pomyślał i ciągnął swym -zwykłym tonem:

— Dałem ci więc humanitarne wychowanie, które przyjęłaś i które cię uchroni od jakiegokolwiek skrajności, bo wysoki humanitaryzm zastępuje wszystko. Dałem ci szerokie na świat i życie poglądy, nauczyłem cię z filozoficznego punktu widzenia patrzeć, abyś nigdy nie pozwoliła się opanować małostkom, krępującym swobodę, ten skarb stworzenia a karłowaciejącym wielkość duszy i szlachetność uczuć.....

Wyksztaliłem cię przedwcześnie z niebezpieczeństwem wprowadzenia na manowce kobiecej inteligencji, ażebyś w porze, w której niewiasta obiera-drogę życia, znała je aż do jego chimer. Z niemałą pracą, w twojej apatycznej naturze

rozbudziłem i rozhukałem nawet wolę, ażebyś nie padła ofiarą, jak
twoja matka,
woli mężczyzny, chcącego cię nagiąć do swych głupich, czy
śmiesznych celów.
Kobieta, która dzieckiem potrafiła zmusić swego ojca do poddania się
jej woli.
gdy nie zawahała się rozbić mu wazon... pamiętasz? — znajdzie
sposób wyzwolenia
się z pod męskiego jarzma, jeśli rozum jej go nie uzna.
Olga przyglądała się ojcu z wyrazem na twarzy, który nigdy jeszcze
na niej nie
gościł. Ten człowiek, którego uwielbiała dziś, więcej niż
kiedykolwiek,
przestraszał ją konsekwencyą swego działania, pojęciem swego
zadania i
niedostrzegalnymi dla niej dotąd środkami, jakimi ją lepił i rzeźbił.
— Obudziłem w tobie — ciągnął Odrowąż — pogardę dla form,
konwenansów i
przesądów świata, w którym ci może przebyć całe życie wypadnie,
abyś nigdy w nim
niczem nie-
uczwała się skrepowaną, aby on nigdy ci nie przeszkodził w obraniu
drogi, którą
ci czy instynkt, czy serce, czy rozum obrać nakaze i któraby ci mogła
dać
szczęście, ale to szczęście prawdziwe, jedyne, człowiecze, bo
zwierzęce, gdy nie
jest oparte na wykształconych humanitarnie uczuciach. Hrabia znów
się zapalił:
— Zostawię ci miliony, ale nietylko na to, aby brak pieniędzy nie
stanął ci
nigdy zaporą w uchwyceniu szczęścia, ale i na to, by cię świat ten
podły,
europejski świat, który targa się na słabe, a czołga się przed złotem,
który
zamyka drzwi upadłej nieszczęściem kobiecie, a pcha się do salonów
ubrylantowanych nierządnic, nie rzucił na ciebie kamieniem, jeślibyś
chwilowo

zblądziła...

— Zrobiłem cię silną, bardzo silną, niezależną tak dalece, iż bronią własną tego świata, którą cię pogardzać nauczyłem, to jest złotem, przeciw niemu cię uzbroiłem.

— Życ więc możesz, jak ci się podoba — wybierać, kogo ci się podoba. Abyś zбочyła na manowce, prawie się nie boję, bo odziedziczyłaś pomatce jej szlachetną i łagodną naturę, bo dzieckiem będąc, zawstydziałaś się, gdyś mi wazon rozbić chciała...

Tu Odrowąż urwał, podumał, wstał, pochodził po komnacie i nie siadając już, mówił:

— Za hasło ci dałem "bezmiernie kochać i być kochaną" i to hasło w całej sile utrzymuję, bo jesteś córką twej matki, jeszcze więcej może, niż ona, kobietą, —

kobietą namiętniejszą od niej, zapalczywszą od niej. Czy mi przyprowadzisz jako zięcia księcia Torloni, czy tego paupra, z którym dziś odbyłaś przejażdżkę,

uściskam go jak ukochanego syna, a ręczę, że mu moje miliony miejsce w świecie, które zajmujesz, wyrobiam... Jesteś wolną!

Olga westchnęła, jakby coś mówić chciała. Ale czy nie była w stanie słów

ściśniętych z gardła wydusić, czy też oszołomioną była tem wszystkim, dość że

umilkła, a oblicze jej bladym było jak chusta.

Czy Odrowąż domyślił się, co jeszcze trapiło duszę córki, czy też chciał ze

wszystkiego się jej wypowiadać, dość, że po pauzie znowu podjął:

— Gdy jeszcze nie byłaś kobietą, gdy mogłem cię napawać tem wszystkim, czem już

jako kobieta dzisiaj byś nie chciała się przejmować, dałem ci hasło, że "sztuka i miłość jej jest wszystkim". Dałem ci je w tym celu, a Bogu dziękuję, że mi pozwolił nauczyć cię miłości sztuki i rozumienia jej. Dziś ci ona nie potrzebną, ale kiedyś... .

Urwał, usiadł i spokojnie z melancholią w głosie mówił:
— Gdybyś w życiu chybiła, gdyby ochrony wszystkie, którymi cię zabezpieczyłem, pokazały się wobec walki z życiem i wypadku bezsilnemi, gdyby filozofia moja została obaloną, gdybyś poślizgnęła się, gdybyś nabrała niesmaku do życia, gdybyś została zdruzgotaną lub wykolejoną, gdybyś się znalazła w wojnie ze społeczeństwem... to wtedy odgrzebiesz w sobie tę miłość do sztuki i wkulcie jej znajdziesz jeszcze względne szczęście.
Tu hrabia ucichł, a intonacja ostatnich słów zdradzała, że więcej mówić nie zamierzał. Długo siedzieli w milczeniu. On myślał, a ona nieruchoma, blada jak chusta, jakby bezwładna, siedziała w fotelu. Czuła się niesłychanie zmęczoną, tak zmęczoną, iż nie wiedziała, czy spokój i jakieś poczucie dobrobytu, ogarniające ją całą, pochodziło z fizycznego umęczenia, czy też było zwykłym następstwem każdej Jej z ojcem poważniejszej rozmowy. Nie byłaby w stanie ani słowa wypowiedzieć, ani się ruszyć z miejsca. Rozumiała wszystko, co jej ojciec powiedział — rozumiała i to, czego za ledwie dotknął i czuła gwałtowną, potrzebę zanalizowania każdej jego myśli, rozpatrzenia jej w najgłębszych tajnikach, ale myśleć nie mogła. Chaos panował w

jej głowie, chaos nieopisany wrażeń i obrazów. To tylko mdło czuła,
że miała

spełnić jakieś zadanie, że życie jej miało być odpowiedzią na jakąś
głębszą

filozoficzną zagadkę, że...

I to ją tak męczyło, tak, iż najwyraźniej cierpiała fizyczny jakiś ból,
nieuchwytny i nieokreślony.

I to zmiarkował Odrowąż. Uchwycił ją bezwładną i bladą w swoje
objęcia, uniósł

do jej sypialni i złożył na łożu.

Ale Olgę zawstydziła jej własna niemoc. Zerwała się na równe nogi i
szepnęła,

obejmując jego szyję obiema rękami, niezwykłym u niej
pieszczotliwym tonem:

— Ach! papo! zmęczyłeś mnie na śmierć. Tyle naraz... A jakim
prawem to robiłeś?

Jakim prawem mnie jak maszynkę do szczęścia nakręcałeś? — pytała
ta swobodna
istota.

— Prawem testamentu! — odparł Odrowąż.

Gdy znalazł się w swym pokoju, załamał ręce i zawołał:

— Alea jacta est... Czy zbłądziłem, przyszłość pokaże. Obaliłem w jej
o-

czach wszystko, co przez wieki świat czczył i szanował, a w zamian
dałem

jej ?...

Urwał i odpowiedział po przerwie:

— Zdrowie... wykształcenie oparte na wynikach nauki i myśli... Upadł
na fotel

wycieńczony.

II.

Minął rok cały.

Błyskawiczny pociąg pędził jak wichur wśród nocy, spiesząc z Paryża
do

Konstantynopola, zabierając po większych stacyach mających interesa
lub chciwych

wrażen pasażerów. Znajdował się między Moguncya a Wiedniem i pomykał jak szalony.

W tym pociągu w przedziałach sleeping-car'u znajdowali się Odrowąż, Olga i pani

Duclos. Jechali z Florencyi, a spieszyli do Polski, w której hrabia nie był od

lat dwudziestu i której Olga nie znała.

Hrabianka bowiem po całym roku namysłu, w ciągu którego poznała może stu innych

mężczyzn, usiłujących pozyskać jej rękę, weszła była raz do gabinetu ojca i

oznajmiła mu, że życzyłaby sobie widzieć Polskę. Oznajmiła mu

dalej, że typ

polski jej się

najwięcej podoba, że wśród roju mężczyzn, jakich spotykała, rodacy jeszcze

najsilniejsze wywierali wrażenie na jej wybrednej wyobraźni. Nie tała ojcu, że

pragnęła już wyjść za mąż i zwierzyła mu się z obawy, że nigdy chyba już nie

spotka tego, któryby jej potrafił dać w małżeństwie to, czego żądała.

Czego od małżeństwa żądała, hrabia nie pytał, bo wiedział, a wiadomość ta

napełniała go troską i obawą. Namiętna natura Olgi chciała widzieć w małżeństwie

szła uczuć. Podróż do Polski podobałaby się hrabiemu, gdyby nie cel jej, cel

Olgi znalezienia w ojczyźnie człowieka, któryby ją porwał i oszołomił,

inteligencyę jej i rozum biciem serca przygłuszył. Ten cel nie odpowiadał

Odrowążowi. On byłby wolał męża dla Olgi każdej innej narodowości, byle nie

Polaka — taki wstręt miał w duszy dla samego siebie, dla takiego, jakim był w

młodości, a typ jego zdawał mu się w Polsce przeważnym. I podczas, gdy pociąg

tak pędził, iż zdawał się z trudnością pruć powietrze, on mimo
spóźnionej pory
nie spał, tylko myślał.
Powracał do ojczyzny, którą znienawidził, bo ona mu dała tę krew w
żyłach,
której miazma zabiły mu uko-
chana żonę, a porały czoło brzdami wyrzutów sumienia i zatruiły
duszę pogardą,
dla siebie i niechęcią dla braci. Powracał do kraju, do krewnych, do
znajomych,
do rozległych swych dóbr, bez odrobiny radości. Myśl, że na tej ziemi
Olga mogła
znaleźć męża, któryby jej tak zatruił życie, jak on jej matce, zabiła w
nim
potężne głosy uczucia patryotyzmu i silne pulsa krwi. Nie wierzył,
aby kraj ten,
który jego wykarmił i wykształcił, mógł w trzydzieści lat później
wydać
człowieka, mogącego być odpowiednim dla córki mężem. Wszakże
on studyował we
Florencji Polaków więcej, niż synów innych ziem. I widział w tych
potomkach
rodzin arystokratycznych te same przywary, nieco tylko mniej
kanciaste, które za
zgubne dla szczęścia uważał. Widział tę pychę rozbujającą w ciasnocie i
samolubstwie, tę próżność wykształconą w nich przez ciemne masy,
to hołdowanie
złotu i małostkom, te ambicję wysuwania się i przodowania, te
wszystkie wady,
które sprowadziwszy upadek tego społeczeństwa, dziś jeszcze silnie
tkwiły, by mu
nie pozwolić się odrodzić.
A w synach klas wykształconych, u artystów, pisarzy, którzy o
Florencję
zawadzali, rzadko natrafiał na prawdziwą miłość do sztuki, a raczej
tyl-
ko pogoń za karierą i powierzchowność ukrytą pod talentem. A
wszyscy według

niego pojmowali życie z fałszywego punktu widzenia, z radykalnie fałszywego, jeśli go chciał do Olgi zastosować. Wszyscy robili z życia jakąś gonitwę, mającą ich do jakiegoś zaprowadzić celu, jakąś misję mniej lub więcej egoistyczną, realną i społecznie śmiesznie drobiazgową, kładąc na ostatnim planie to życie swobody i szczęścia, to życie, dla którego wychował Olę. I siedząc w wagonie, przy uchylonym oknie, którym wchodzące powietrze orzeźwiało duszącą go atmosferę tej klatki, stworzonej dla ludzi nie umiejących już żyć naturą, tylko parą i elektrycznością, przypominał sobie różnych młodzieńców, których w Florencji u siebie widział i z których Olga niejednego badała, azali dla niej nie będzie odpowiednim mężem. Żaden z nich nie wytrzymał krytyki Odrowąza, której naturalnie nie udzielał córce. Ale bo też ci Polacy, to są oryginalne figury. Fizyognomie ich nieraz rycerskie, tak często piękne i spokojem pańskie, w jakiejże zostają dysharmonii z ich duszami? Niezbadana zagadka. Pod powłoką wskrzeszonego hetmana znalazł nieraz ostatniego parobka, pod maską myśliwiec, idyotę. Dziś, gdy zbliżał się do ojczyzny, wydała mu się nadto niebezpieczną ta okoliczność, że ze wszystkich narodów Polacy miewali najbardziej dla wykształconych kobiet pociągające oblicza, a sposobem zachowania się mogli obalamucić czasem tak wytrawnych jak on nawet psychicznych znawców. Jeśliby Olga wpadła na taki genialny egzemplarz, jakim on był zresztą, polskiego panka,

któryby potrafił ją ku sobie pociągnąć, byle tylko uchwycić olbrzymi
posąg,
mający podtrzymać jego zachwianą, a wobec ogromu świata
drobniutką,
mikroskopijną pozycijkę socyalną?
Zadrżał i otulił się w futro.
I Olga w swoim przedziale nie spała. I ona myślała urywkami, z
bólmem w mózgu,
wijąc się po gorących poduszkach.
Jechała do Polski. Czy tam znajdzie to, czego od dwóch lat szukała?
Dlaczegoż
ona dotąd nie spotkała człowieka, któremuby mogła się śmiało rzucić
w objęcia i
powiedzieć: "jestem twoją"? Wszakże tak mało w zamian żądała; ani
piękności
klasycznych posągów, ani majątku, ani nazwiska, ani nawet tego,
czegoby za-
dać prawo miało najmniej uposażona panna ?
I mimo to nie znajdowała. Czy ona tak bezwiednie była wymagająca?
Czy też może w
wychowaniu jej tkwiła przyczyna, że się jej nikt nie podobał? W
takim razie,
ojciec jej byłby błąd popełnił... Ona pragnęła wyjść za mąż.
Ona już teraz gwałtowną czuła potrzebę, chwilami męczącą, namiętą,
wsparcia
swej głowy na męskim ramieniu, skierowania swych czarnych oczu
w głębokie i
ukochane spojrzenie, przyciśnięcia namiętym uściskiem ust do ust.
Ona już czuła
brak towarzysza, tego powiernika tajnych myśli, tego tłumacza
zagadek, z którymi
już coraz mniej się zwierzała ojcu. Ona czuła brak wymiany myśli i
uczuc, czuła
nieprzepartą, potrzebę bycia kochaną i gwałtowną chęć kochania,
czuła dokoła
siebie olbrzymią próżnię, którą mógł zapełnić tylko wybrany
mężczyzna.

I nuda coraz silniej ją ogarniała, jakieś nieokreślone pragnienie
pożerało,
jakieś ogólne zmęczenie fizyczne gnębiło, a apatya powalała ją po
każdej
gorączce pragnienia.
Dochodziło do tego, iż się czuła często nieszczęśliwą i pytała sama
siebie, czy
dalej tak wybierając i szuka-
jąc może nieistniejącego, nie zmarnuje najpiękniejszych, dla miłości
lat?
Przestrach ją ogarniał. Starą panną być nie chciała. A wyjść za mąż za
człowieka, w którego objęcie nie czułaby się popychaną silniejszą od
jej woli,
ogłuszającą krytycyzm i rozum i oszłamiającą zmysły miłością nie
miała odwagi.
Dreszcz ją przejmował. Ona by jej nigdy nie miała. A więc jeśli tak
dalej
pójdzie, to ona, ona z oczami, jakich świat nie widział, pierwowzór
piękności
kobiecej, — ona, której posag, jak mówiono, wchodził w granice nie
europejskich
i nie dających się określić posagów, — ona, ściągająca do Florencyi,
jak do
Mekki, mężczyzn wszystkich krajów.. mogła nie wyjść za mąż, mogła
pozostać na
zawsze w panieństwie, mogła nie zaznać miłości.
Mogła więc po prostu się zmarnować w całym słowa znaczeniu,
mogła uschnąć, jak
ta roślina już w kwiecie, mogła...
Olga płakała cichemi łzami, a choć głowę wychyliła za okno
sleepingu nie czuła
prądu powietrza, prutego błyskawiczną masą żelaza, nie czuła chłodu
późnej
jesieni. Serce jej miarowo, ale silniej, niż kiedykolwiek biło a próżnia,
jaka
dokoła niej się roztaczała, była niczem w porównaniu do
tej, jaką w duszy czuła. Nagle zasunęła szybę, — wyraz decyzji
uregularnił

niejako jej rysy i wyszła z przedziału, aby przejść do tuż obok
położonego coupé
ojca. Zastała go siedzącego w zadumie wśród półcienia,
przyćmionych firankami,
lamp.

— Nie śpisz ? — zapytała.

— Drzemię.

Usiadła na wolnej poduszce, ale nie wszczęła odrazu rozmowy, jak to
zwykła była

czynić. Westchnęła, chwilę milczała a wreszcie zaczęła.

— Powiedz mi ojciec — odezwała się po pauzie — co będzie, jeśli i w
Polsce nie

znajdę... męża?

Odrowąz poprawił się na siedzeniu. To pytanie niespodziewane, ale
wobec tej

spóźnionej pory w tym pędzącym wagonie tak wymowne, nie
zdziwiło go a tylko

zabolało. A więc nie mylił się od roku? Olga pragnęła wyjść za mąż,
gorąco

pragnęła, tak gorąco, iż myśl o tem nie dawała jej skleić powiek.

Uczuł ból w

sercu. Czyż na to tyle podjął pracy, tyle sobie mózgu nasuszył, tyle
zyskowych

przeprowadził kombinacyj, tyle nocy spędził bezsennych, aby
wreszcie nie móżdż

dać tej dziewczynie tego, do czego ją przygotował. Nie dpowiadał, bo
cierpienie

nie pozwalało mu znaleźć na prędce trudnej odpowiedzi, a inne

myśli go pętały formalnie. A więc ta kobieta cierpiała, a on, który
wszystko

zrobił, aby mogła dowolnie wybierać, który ją widział przed sobą
młodą, piękną i

wykształconą, nie mógł znaleźć odpowiedzi na pytanie: "co będzie,
jeśli i w

Polsce męża nie znajdzie".

Chrząknął, poprawił się znowu, szarpnął jakby w cierpieniu brodę,
westchnął i

podchwycił.

— A więc w legionach pretendentów do twojej ręki, nie znalazł się ani jeden...?

— Nie!

— Ha.. — szepnął i urwał.

Olga tonem ożywionej konwersacji podchwyciła:

— Ciekawam, jakby Bourget przeprowadził taką jak moja mniej więcej pozycję?

— Określ ją...

— No, kobiety pragnącej małżeństwa, a nie znajdującej tego, któryby ją do niego skłonił.

— Możeby jej kazał zrobić pewne ustępstwa? — bąknął drżąco hrabia.

— Ale — zawołała głośno i z obruszeniem hrabianka — jeśliby zarysował ją tak, iż ustępstwo byłoby niemożliwe? Jeśliby przedstawił kobietę, która sobie wyidealizowała małżeństwo?

— Tobie jej albo nie żenił, albo...

— Ależ są natury, które muszą iść za męża, albo są, nieszczęśliwe. Odrowąż znów westchnął a raczej jęknął. Rozumiał córkę i jej myśl, a nie widział odpowiedzi. Jakaż walkę stoczył sam ze sobą, krótką, ale straszną, bo pot mu kroplami wystąpił na czoło.

— Nie określasz jasno — zawołał. —

Kobieta, o jakiej mówisz, jeśli nie znajduje męża dlatego, że nie przedstawia się jej takim, aby dlań warto postawić na kartę swoje życie — może się znaleźć w tej pozycji, jaką, zdaje mi się, że masz na myśli tylko z powodów fizycznych...

A w takim razie, Bourget.. — hrabia zaczął się jąkać, chrząknął i kończył —

kazał by jej szukać kochanka....

Nastąpiła grobowa cisza... którą niejako w tej chwili łagodził tylko klekot

rozpędzonych kół.

— Kochanka ? — powtórzyła po chwili Olga. — Ależ to więcej niż niemożliwe.

— Rozumiem raczej kobietę, rzucającą się w objęcia kochanka, w którego ramiona pcha ją jej całe jestestwo, niż kobietę dla jakichkolwiek względów biorącą za męża nie tego, którego jej wyrafinowane gusta i pojęcia mieć żądają... Zamyślił się i nie patrząc w stronę córki, ze spuszczonej oczami ciągnął.

— Małżeństwo z ustępstwami w zasadzie ze strony kobiety jest w ich oczach

nieszczęściem... Małżeństwo jest jednakże jedynym przez dwie półkule uznanym środkiem połączenia się dwóch płci... Otóż rzeczywiście może się znaleźć

jednostka, licząca się z tem i tamtem, w strasznej kolizyi, z której jednakże

zwycięzko wyjdzie z zadowoleniem swych naturalnie szlachetnych instynktów.

Olga jeszcze siedziała w przedziale ojca, ale nic ze sobą nie mówili.

Wreszcie

zdało jej się, że Odrowąż, usypia, wstała i powróciła do siebie, gdzie długo

westchnienia jej zdradzały, że moralnej i fizycznej dającej sen równowagi nie

znalazła.

We Wiedniu zatrzymali się. Olga okazywała wiele zainteresowania do zwiedzenia

tego miasta. Odrowąż miał kilka dzieł sztuki do oglądnięcia, kilka innych do

nabycia, a pani Duclos, która dawniej sprawowała funkcję damy towarzystwa przy

jakiejś arcyksiężnej, liczyła w Wiedniu bardzo dużo znajomych.

Trzeciego dnia jednak mieli już wyjechać do Krakowa, hrabia bowiem postanowił

córce szczegółowo pokazać

zabytki tego miasta, mogącego Oldze najlepsze dać pojęcie o dawnej
światłości i
historycznej przeszłości Polski. Mieli nazajutrz puścić się w dalszą
drogę, a
tymczasem zwiedzali jeszcze miasto bez wytkniętego celu,
zatrzymując się przed
wystawami sklepów, przed piękniejszymi budowlami, a właściwie
oczekując schyłku
dnia, w którym już nie pozostawało czasu do zrobienia czegokolwiek.
Nagle Olga zatrzymała się przed wystawą księgarni. Przystanął i
Odrowąż
Hrabianka z wybuchem bardzo rzadkiej u niej radości zawołała:
— Polskie książki! Patrz papo! polskie książki!
Rzeczywiście szereg polskich romansów zapełniał całą jedną półkę
wystawy
księgarskiej.
W jednej chwili hrabianka znalazła się w sklepie i w kilkanaście
minut później
poleciała odesłać do hotelu dziesięć wybranych tomów polskich
romansów, mających
ją rozrywać w podróży i zapoznać z najnowszymi prądami narodowej,
a najmniej jej
znanej, belletrystyki.
Na drugi dzień, skoro tylko znaleźli się w wagonie, Olga rozłożyła
przed sobą
szereg tomów celem wybrania z nich jednego do czytania. Wybor ten
trwał dość
długo, bo ko-
bieta ta do niczego się nie kwapiła, a Odrowąża nawet dziwiło to
dziecinne
zainteresowanie się jej "polskimi książkami". Przerzuwała je,
wertowała,
odczytywała tytuły, rozcinała niektóre kartki i nie mogła się
zdecydować — Te
polskie romanse nawet inaczej wyglądają z pozorów od romansów
francuskich —
odezwiała się — mają jakiś wygląd mniej banalny, ale też zdają się
być i mniej

interesujące, tytuły przytem mniej światowe i... mniej dzisiejsze...
— W takim razie pozory — podchwycił hrabia — i w książkach idą w parze z ich zawartością. To, co powiedziałaś o wyglądzie polskich romansów, dałoby się zastosować i do ich przeciętnej treści.
Urwał, bo Olga utkwiała uważnie wzrok na jednej z kartek w połowie roztwartego romansu.
— To będę czytać — zawołała po chwili — posłuchaj ojczy, jakie zdania i jak dużo dające do myślenia...
Odetchnęła i czytała:
"Przyglądałem się już ze trzy razy tej kobiecie i nie mogłem uchwycić sekretu, którym mnie jej powierzchowność interesowała. Przykuwała ona mój ciekawy, literata i myśliciela wzrok, ale nie odkrywała zasłony, nie dawała mi klucza do odgadnięcia zagadki jej wzroku. Męczyło mnie to i aby nie pozwolić się opętać złudzeniom, aby nie obalamucić mej wyobraźni, podniecanej enigmatycznością tej już kochanej kobiety, a nie pracować bezowocnie myślą nad genezą, tej tajemnicy, jaką jest niewytłumaczony urok pewnych kobiet, postanowiłem zapełnić swój czas. W tym celu jałem się odwiedzania ponownie tych, których znałem i podziwiałem. "Jednym, z nich był mój przyjaciel, uchodzący więcej za poetę niż mistrza pendzla, jakim był. I w jego to pracowni znalazłem się najprzód. Byłem wówczas skłonny do mówienia ludziom najprzykrzej szych prawd, to też i jemu zaraz oświadczyłem, że żaden z jego obrazów mnie nie nęci. W odpowiedzi na to wydobyl on jakiś szkic, którego układ był niesłychanie prosty a treść jedną z

najcodzienniejszych. Ten obraz niezmiernie mi się podobał.
Zamyśliłem się nad
nim i z irytacją niemal zapytałem: "Powiedzże mi, dlaczego mnie ten
szkic
zastanawia, zaciekawia, rozmarza i interesuje, choć jest tak prostym?".
"Bo jest
w nim poezja" — odparł. "Poezja?" — "Tak — powtórzył ten
myśliciel — artysta
wywołuje poetyczne wrażenia swym obrazem, gdy nie powie nim
wszyst-
kiego, gdy technicznie pozostawi coś domyślności widza".
"Paradoks ten mnie zastanowił i wydał się niepomiernym paradoksem.
Widząc to
dodał ów poeta: "To jest sekret, dla którego jeden i ten sam pomysł
może być w
wykonaniu banalnym lub interesującym. Nie rozumiesz mnie —
widzę — bo nie jesteś
malarzem tylko powieściopisarzem. — Ale spotkałeś przecież w życiu
piękne
kobiety, z których jedna cię interesowała, a druga nie? Otóż ta, która
cię
interesowała, była po prostu tym obrazem, którym ci malarz
wszystkiego nie
powiedział i nie pokazał. Zresztą była ona taką samą, jak tamta,
czasem może i
mniej interesującą". Więcej nie zwidziałem pracowni i odtąd w
hrabinie widziałem
zwykłą kobietę, której powierzchownością natura nie zechciała
powiedzieć odrazu
wszystkiego".
Olga urwała i spojrzała na ojca, a ten po namyśle odparł:
— To dość głęboko pomyślane! A nawet jak na umysł polski bardzo
głęboko. Polacy
rzadko są artystami w psychologii, a brakiem subtelności i finezyi
uczuc
sprawiają, że czytelnicy francuskich romansów nie gustują w ich
powieściach. Ale
to, co

przeczytałaś, zdradza wykształconego autora...

— Nazywa się?

Olga odwróciła tytuł i odparła:

— Jan z Gdowa!

— To pseudonim?...

— Chyba ? — odparła hrabianka. —

Nie lubią pseudonimów, bo nie lubią ludzi, którzy się kryją z autorstwem. Jest w

tem jakieś pokrewieństwo z brakiem cywilnej odwagi...

— Niekoniecznie — podchwycił Odrowąż — często rzeczy genialne wychodzą pod pseudonimami.

I oboje zagłębili się w fotelach i oddali lekturze. Hrabianka zdawała się z

każdą dalszą kartką być coraz silniej zainteresowaną powieścią, noszącą nie

wiele mówiący tytuł "Marya", a Odrowąż wertował jakieś duże dzieło, traktujące o sztuce.

Godziny mijały, pospieszny pociąg pędził, zatrzymując się tylko na główniejszych

stacjach a Olga odkładała od czasu do czasu książkę, aby tylko dać odpocząć

oczom i znużonej wyobraźni.

— Trafiłam doskonale — odzywała się czasem, aby udzielić swych niektórych myśli ojcu.

Charakter interesu, jaki ten romans w niej obudzał, był nadzwyczajny, bo

zajmował on ją i treścią swoją i auto-

rem. Co chwila spotykała w nim tak oryginalne, czasem ekscentryczne a zawsze po

zastanowieniu się, tak głębokie myśli, iż śledziła w nich może więcej autora,

niż bieg intrygi, zresztą dobrze nawiązanej.

— Ręczę ojcu — mówiła raz, gdy czytanie jej przerwał duży ruch pasażerów na

jednej ze stacyj — że autorem tej powieści jest człowiek niezmiernie

interesujący i nad wyraz wykształcony, który dużo widział i przeżył a nad każdą

rzeczą się zastanawiał z oryginalnego punktu wyjścia. To nadzwyczajne — mówiła.

— Oprócz "Hrabiego de Camors", który mnie więcej zaciekał do autora, niż do

książki, nie spotkałam się z romanssem, w którym bym z takim interesem śledziła

piszącego i widziała go niemal.

— Jest to więc arcydzieło! W powieściach jesteś bowiem nader wybredną!

— Przecież może w takim razie bylibyśmy o tem słyszeli ?...

— Ha ! — uśmiechnął się hrabia — Polska... hm !... "Marya"

Malczewskiego dopiero

wtedy została uznana za rzecz dobrą, gdy ktoś znakomity powiedział o niej, że

jest taką... W Polsce ?... Polacy nie pracują myślą, a ludzie nie pracujący

myślą, nie mogą

zrozumieć owoców tej pracy. Być może że to arcydzieło, które albo kiedyś ktoś

podniesie, albo nie... W każdym razie przeczytam je, skoro cię tak interesuje...

— Mówie ci, ojczy — zawołała Ulga — jest to romans hors ligue...

Może się mylę,

nie jestem bowiem krytykiem... ale nie spotkałam autora, któryby sypał myślami

tak odpowiadającymi mojemu psychicznemu ustrojowi. Jeśli ten romans nie jest

bardzo głębokim i oryginalnym, to w takim razie ja jestem banalną i tuzinkową..

A za taką się nie uważam...

Urwała i dalej czytała. Nagle po godzinnem milczeniu, ze zwykłą sobie

bezwzględnością, obudziła drzemiącego Odrowąza.

— Posłuchaj ! Pierwszy raz jestem z panem Janem z Gdowa w niezgodzie i

pojmujesz, jakbym się chciała od razu z nim wyklócić... Pisze:

Tu czytała: — "Miłość wielka jest szalem, a więc jako szal nietylko
wiecznie,
ale nawet długo trwać nie może. Ale taka miłość jest tym ogniem tak
gorącym, tak
wyteżonym, że jak on na wieki hartuje żelazo, tak ona na zawsze
hartuje duszę
ludzką. Oto rozwiązanie zagadki małżeństw z mieści. Szal mija.
namiętność
stygnie, miłość namiętna blednieje i ginie, ale
pozostaje w duszach to, co ogień daje żelazu i to trzyma dwoje
małżonków i
nierozzerwalnym węzłem dośmiertnie łączy. Małżeństwa zawarte z
pobudek tej
miłości, które z ogniem hartującym porównuję, mogą ostygnąć w
namiętności do
zimna żelaza, ale uczuciu swemu, jak on swej sile, raz zahartowane,
wiernymi
pozostaną".

— O! to nie! — zawołała Olga — to nie! Gdybym raz przestała
kochać, toby mnie

nic nie przywiązywało do człowieka. "Wspomnienie szalu nie
wytrzymałoby z

zinnem, ogarniającem duszę. Tu pan Jan z Gdowa się pomylił.

Hrabia nic nie odpowiedział, tylko westchnął.

— Nie jesteś mego zdania? — podchwyciła Olga.

— Sądziłabyś, — rzekł w odpowiedzi i po długim namyśle Odrowąż

— ie szal może

istnieć wiecznie? że gorąco pierwszej i najprawdziwszej miłości nie
stygnie ?

To zapytanie tak zastanowiło Olgę, że chwilę pomyślawszy,

uchwyciła książkę, by

dalej ją czytać. Ale nie czytała, tylko myślała nad odpowiedzią ojca,

która jej

nie trafiała do przekonania, a zadaną była quasi pytaniem nie

przypuszczającym

innego

jej zapatrywania. To ją męczyło. Ażeby więc nie myśleć, czytała.

Odrowąż obserwował córkę. Gorące zajęcie się jej polskim romanssem, było dlań nowym przedmiotem studyum. Córka jego rzadko brała do serca lekturę. Tym razem nie wątpił, że to, co ją przykuło, nie należało do pospolitych tematów beletrystycznych. Olga, której wolno było od lat wszystko czytać, nie mogła dać się porwać pierwszemu lepszemu autorowi; otrzaskaną bowiem była i ze stylem i ze sensacyjnością tematów. Jakież było jego zdziwienie, gdy nagle, ukradkiem zauważył łzy, które spływały po alabastrowych policzkach kobiety. Udał na razie, że ich nie widzi, ale nie ważył się oprzeć pokusie dowiedzenia się, co je wywołało, ażeby jeszcze głębiej poznać tę badaną przez siebie naturę, aby wiedzieć, gdzie w romansie, gdy go jutro będzie czytał, szukać przyczyn tych łez kobiety, nie egzaltowanej i nie idealistycznej. Przeczekał więc, aż wzruszenie Olgi minęło i zapytał obojętnym tonem:
— Cóż więcej znalazłaś godnego uwagi ?
— Co więcej ? — zapytała nieprzytomnie, jak osoba nagle wyrwana z koła swych myśli, i po chwili dopiero odwróciła kilka kartek i rzekła:
— Albo to, jakie to prawdziwe!... Cały romans jest niezwykły. Bohater jest niby autorem a ręczyłabym, że i tak się ma rzeczywiście. Opisuje on dzieje swej miłości, uczucia dla kobiety, która go nigdy zrozumieć nie mogła, a potem nie chciała, opisuje tu na, przykład te chwile, w których się te nici uczucia rwały, w których czuł, że szczęście jego, oparte na nadziei, zostanie wreszcie zrozumianem, ucieknie...
Tu czytała:

"Bo szczęście robiło mi wtedy wrażenie czegoś straszliwie
bojaźliwego i
trwożliwego. Spacerując po parku zakroczymskim, z drzeniem serca
nadśłuchiwałem
szelestu każdego spadającego liścia, zerwanego podmuchem jesieni.
Zdawało mi
się, że szczęście jest jakby sarną, którą i liść suchy spłoszy, że jest
równie
słabem, głupiem i trwożliwym uczuciem, jak ona stworzeniem. Me
zdenerwowany
organizm zrozumiał wreszcie tę złudę, którą nieszczęśliwi chorzy jak
ja,
szczęściem nazywają. Czuję, że jak liść jest w stanie wypłoszyć z
lasu sarnę,
tak jedno słowo może wypędzić z mej duszy to mdłe poczucie
szczęścia... Marya
mogła lada chwilę przestać mnie kochać...
— Porównanie nie jest złem — bąknął hrabia, który nic więcej na
razie nie
pragnął, tylko oznaczenia stronnicy, wyciskającej pierwsze niemal
samoistne łzy,
jakie w oczach córki widział.
Olga oddała się dalej czytaniu. Około jednej z ostatnich stacyj pod
Krakowem,
zamknęła przeczytaną książkę z westchnieniem zadowolonego, ale
pełnego
melancholii zmęczenia. Wyciągnęła się, poziewając, i szepnęła:
— Zawsze to niepospolity człowiek, który tę książkę napisał.
Ciekawam, czy on co
więcej napisał...
Ojciec milczał, a ona jeszcze dodała:
— Ciekawa byłabym go poznać.
— Kogo ?
— Jana z Gdowa!
— Na miłość Boga — moja droga Olgo — obruszył się hrabia —
gdybyś była znała
Balzaca, jak mało był interesującym, a porywał.

— O! nie! — przerwała hrabianka ten Jan z Gdowa, to jeszcze młody człowiek, to nie literat z zawodu, to dusza, która chciała ulżyć swemu cierpieniu, to jakiś rozbitek igraszki życia...

Ojciec milczał, a ona jeszcze zapytała:

— W Krakowie przecież dowiemy się, kto jest autorem tej powieści...

— Najniezawodniej!

Olga westchnęła, a hrabia z radością zawołał:

— A więc widzisz, co w życiu daje miłość sztuki. Gdyby nie ona, nie spędziłabyś tego nudnego dnia tak mile.

Olga spojrzała na ojca oczami, które mówiły, że genezy zaciekawienia jej nie zrozumiał, ale zmęczenie a raczej rozmarzenie, nie pozwalało jej się wdawać w rozmowę.

Czy Odrowąż odczytał i to we wzroku córki? Westchnął... oblicze jego pokryło się

smutkiem... Wyrzwał oknem i ujrzał wieżycę dwadzieścia lat niewidzianych

kościółów krakowskich. Zmarszczył brwi... serce jego mimowolnie zabiło a

wspomnienia usiłowały radością starca napęlić. Ale nie. Myśl, że Olga jechała

tu do Polski, aby znaleźć męża, jak tego miał z rozmów w podróży niezbity dowód,

truła mu wszystkie chwile.

Jeśli nikt nie potrafił roznamiętnić tej natury, zkadżeby się znalazł taki tu? w

tym kraju ścieśnionych uczuć i granic? A Olga, może w tym celu głównie

przedsięwzięła tę podróż? Wiedział już o tem i truchlał przed jej rozczarowaniem.

Tuż pod Krakowem weselała dziewczyna. Lubiała podróże, jak wszystkie apatyczne i

nieznoszące pracy mózgi, a zatem łaknące wrażeń natury.

— A więc to Kraków — mówiła — ten Kraków! Nie znam go, jestem tak mało Polką a odczuwam rodzaj uczucia, którego tylko ciekawością nazwać bym nie mogła.....

I Olga oddała się z namiętnością czytaniu powieści Jana z Gdowa.

Znalazła ich w

księgarniach krakowskich trzy, wyszłe w ostatnich czasach.

Dowiedziała się, iż

pod tym pseudonimem ukrywał się jakiś młody autor, dziwnym zbiegiem okoliczności

dotąd nieznany z nazwiska, ale czytany szeroko i ceniony, szczególnie w

Warszawie, gdzie miał stale przebywać.

Pochłoneła nowe dwie jego powieści i znalazła w nich ten sam talent i tego

samego, myślącego, nieco sceptyka, odrobinę nawet cynika, ale pełnego werwy i

oryginalności autora.

Stały one niżej od "Maryi", która nosiła to piętno spowiedzi autora i przewyższała dlatego siłą i głębią inne, ale mimo to należały one do

studyów myśli ludzkiej, zachwycających hrabiankę.

Nie mówiła z Odrowążem o niczym tylko o tych powieściach i niecierpliwie

czekała, aby każdą z nich tenże przeczytał. Bawiła ją i zajmowała nad wszelki

wyraz rozmowa z ojcem o tych romansach, o ich bohaterach i o koncepcji ich duszy

przez nieznanego autora.

Hrabianka, jak wszystkie wychowane odżywiającym pokarmem sztuki dusze, dawała

się porywać jej potędze i ulegała wszechwładnie temu czarowi, jaki na wyjątkowych inteligencych wywierają dzieła belletrystyczne.

Przenosiła się,

wyobraźnią w świat, stworzony zmysłami autora, żyła w nim i przejmowała się

losami bohaterów. A im więcej wczytywała się w romanse Jana z Gdowa, tem silniej

ją tenże interesował i tem silniej opanowywała ją ciekawość kapryśnej kobiety,
przywykłej do zaspakajania każdej zachcianki z tą swobodą,
nienadającą
ciekawości cechy kaprysu.
Olga pragnęła poznać autora "Maryi" i nie umiała ukryć
niezadowolenia z tego, że
tenże nie znajdował się w Krakowie. Hrabia śledził te objawy
charakterystyczne,
podchwytywane u córki. Cieszyło go, iż tak wysoko w niej rozwinął
miłość do
sztuki, iż ta nietylko mogła ją zajmować, ale i nią poruszała. Z
powolnością,
sobie
właściwą, wytrzymywał najdłuższe rozmowy o bohaterach autora,
których swoją
drogą znajdował chorobliwymi, jakkolwiek z wielkim byli narysowani
talentem.
Przypuszczał, iż zainteresowanie się córki tymi romansami, będzie
miało zwykły
przebieg tego rodzaju mniejszych lub większych kaprysów. Zresztą
nie dziwiło go
ono. Znał zbyt dobrze świat, aby wiedzieć, że kobiety są bardzo
skłonne do
wpadania w zachwyty nad romansami. Znał sam osobiście wielce
wykształconą duszę,
panią Rzewuską, która z romansów zakochała się w Balzacu do tego
stopnia, iż go
poślubiła, urzeczywistniając tem 'wielkopańskie marzenia genialnego
autora.
Cieszył się tem chwilowem zainteresowaniem córki, obudzało ono
bowiem pewne
życie w hrabiance, pogrążonej od dłuższego czasu w zatrwazającej go
apatyi, tem
więcej, iż ono chwilowo odciągało jej myśl od trapiącego ją, a jeszcze
tak
bolesnego przedmiotu. Olga myśląc o autorze "Maryi", rozmyślała o
przyczynach i

konsekwencyach swego nudzącego ją panieństwa. Ale Jan z Gdowa — zauważył hrabia, nappełnił córkę jakimś uczuciem melancholii, którą wprawdzie wolał od apaty, ale które mu również nie odpowiadało. Olga nie chciała, w Krakowie poznawać nikogo, nie chciała brać udziału w towarzyskim życiu, które w cichej mieścinie przybycie kilkumilionowej panny i Polki obudziło. Hrabia miał i w Krakowie licznych znajomych i powinowatych nawet. Zjawienie się jego w tem mieście obudziło pewien ruch w arystokratycznych sferach, mających licznych synów wielkich domów do ożenienia. Panna Odrowążówna była wyjątkowem zjawiskiem na horyzoncie tych gwiazd, jakimi są bogate panny na wydaniu. Zrobiła ona pewien popłoch w świecie, szukającym złota i złota. Posag jej nie dawał się w przybliżeniu obliczyć. Składał się z dóbr, porzucanych po ziemiach polskich, z kapitałów polokowanych po bankach londyńskich i amerykańskich, a pochodzących z olbrzymich sukcesyj po jej matce. Był to posag nie polski, nie europejski, ale amerykański. Jeśli ta córka Naboba — mówiono w Krakowie — która mogła wybierać wśród ukoronowanych niemal, wśród potomków rodzin panujących i zdetronizowanych książąt, przybywała do Polski, to tylko dlatego, że tu chciała znaleźć męża i tu zostawić bogactwa. A więc zaroilo się około Odrowążów. Przed "hotel Saski", w którym mieszkali, zajeżdżały uherbowane ekwipaże, bo nie znalazł się ani jeden dom w Krakowie, któryby nie miał pretendenta do ręki tej głośnej z ekscentryczności a

bilionowej panny. Tysiączne i przesadzone wersje obiegały salony o jej oryginalności. Jak mówiono, do ośmnastu lat życia była wychowaną bez religii, a w tym wieku dopiero wybrała katolicyzm. W pokoju jej wisiały tylko des nuditen, a czytała równocześnie Didon'a i Renan'a, Zolę i Goncourtów, a rozmawiała "z ojcem en plein salon o kwestyach, których w Krakowie nie przychodziło na myśl poruszać mężowi z żoną. Ale przebaczone jej wszystko. Odro wąż był dziwakiem, twierdzono, prawie warjatem, a rzeczą rozumnego przyszłego męża było zreformować te poglądy i wykształcić należycie tę duszę. A tych rozumnych mężów były roje. Książątka, którzy nie skończyli szkół, ubiegali się o prym z hrabiczami, którzy postanawiali uszczęśliwić Olgę, dając jej wielką pozycję w świecie polskiego Saint Germain. Zaledwie przybyli Odrowąże, a ujrzeli się otoczonymi satelitami, pragnącymi im niby robić les honnems Polski. Swobodna natura Olgi nie znosiła tej salonowej niewoli, w którą ją chciano opętać. Tu obiad, tam wieczór, tu wizyta, tam przechadzka. Zrazu poddawała się tym rozrywkom, narzucanym przez gościnne miasto, wkrótce jednakże miała ich dosyć, a Odrowąż z najwyższą radością powitał tę chwilę, w której mu córka oznajmiła, iż ją znudziły krakowskie obiady i duszna atmosfera wymanierowanych salonów. Jeśli się czego obawiał, to tego, by jaki krakowski panicz nie złowił na wędkę jego córki. Wszakże i on był kiedyś takim paniczem... Uspokoili go ' pod tym względem słowa

Olgi, któremi go raz przy śniadaniu zagadnęła:

— Ten świat krakowski — to dziwny ! Doznaję tu wrażenia, którego nigdzie nie

doznawałam. Tak mi tu fizycznie ciasno, choć salony są duże..

Czasami, gdy mnie

znuży słuchana rozmowa, tak banalna, tak czcza, a tak... lokalna, choć nieraz

kosmopolityczna, zdaje mi się, jakby w halucynacyi, że się kąpię spragniona wody

i głębi, a tu nigdzie i nigdzie wody, tylko po kostki. Czuje ją, jest ona, ale

się w niej zanurzyć nie mogę...

Hrabia słuchał z zajęciem. Córka jego miewała czasami definicje i porównania, na

któreby się nie był zdobył jego wytrawny umysł, jego pracą mózgu wykształcona

myśl. Z przyjemnością sprawdzał tę prawdę stwo-

rzenia: dzieci prześcigają rodziców, jeśli są podobnymi do nich.

Hrabianka raz ze śmiechem, późną nocą, po wieczorze proszonym, tak go zagadnęła:

— Zdawało mi się dzisiaj, że jestem morską rybą" wpuszczoną do malutkiej

sadzawki. Nigdzie mojego pokarmu, co chwilę rozpędzona uderzałam pyskiem o

brzegi... Gdybym była rybą, gdybym nie miała głowy, mówiącej mi wciąż, iż na

wieki nie jestem tu zamkniętą, gotowabym była zgłodniała rzucić się na jedną ze

stu wędek, które jakby na mnie widziałam założone...

Odrawąż śmiał się do rozpuku, a Olga, która od roku już nie mogła się pozbyć

podejrzenia, że ojciec ją nakręca "jak sprężynę", iż ją obrał sobie za jakieś

medium swych psychicznych doświadczeń, długo mu się bystro przyglądała, aby

nagle po głębokim namyśle zapytać:

— A więc się nie myliłam?

— Zdaje się.

— Jestem więc tak bogatą, by takie gremialne zapuszczanie wędek miało rację...?

Odrowąż spoważniał i odparł:

— Gdybyś miała setną część tego, co przypuszczają, że masz, toby cię jeszcze

wędkami otoczyli.

— A więc jestem milionerką. Powiedźże mi raz, ile ja mam rzeczywiście...

— Trudno ci to określić moje dziecko — podchwycił Odrowąż. —

Powiedziałem ci

raz, iż chciałem cię uczynić niezawisłą, a wybór ci do granic możliwości

ułatwić... Szczęście mi sprzyjało. Na ciebie spadały amerykańskie sukcesy.

Zajmował się niemi twój wuj, nabab nowojorski... Ja sam byłem bogaty... Rachunek

dokładny zdam twojemu mężowi, bo przypuszczam, że wpierw nie zażadasz

likwidacyi... Posag twój zdecydowałby każdego niemal Europejczyka do ofiarowania

ci swego nazwiska. Przewyższa on o wiele posagi tych, z którymi się pożenili

Bonapartowie i inni. A nie mówiłem nigdy o nim głośno, nie chcąc

robić około

ciebie tego hałasu, któryby cię niezawodnie nudził. Dość ci powiedzieć, że

przeszłego roku byłem zapytywany o wysokość jego przez dwór austriacki... Zdaje

mi się, iż mieli wtedy na myśli dzisiejszego władcę królestwa... Gzy sądzisz,

kończył innym tonem — że ci, których wędkę cię straszą, wiedzą, ile masz

rzeczywiście ? Nie ! Gdyby wiedzieli, uczułybyś się samą. w każdym salonie, bo

mimo swej olbrzymiej zarozumiałości zrozumieliby, że nie je-

steś dla nich towarem... W świecie, w którym za posagi kupuje się tytuły i

pozycje, twój posag nie bywa widziany...

Olga od chwili już zatopiła się w zadumie. Nagle, jakby obudzona ciszą, gdy

ojciec umilkł, zawołała:

— Ukrywaj że wysokość mego posagu dalej mój ojciec, bo będę straszydłem w tym świecie, w którym przestanę być towarem dostępnym.. Przestraszyłeś mnie, lepiej

było nie mówić mi prawdy. Będzie mi się zdawać...

Urwała i znów podchwyciła:

— A więc ja mogę sobie pozwolić i na męża utracyusza. Utracyusze bowiem zawsze mi się najbardziej podobali. Rzecz dziwna, ale prawdziwa, tylko utradysze...

— Mają, dar podobania się kobietom? — podchwycił hrabia z interesem, który go tym razem skłonił nawet do przerwania córce.

— Nie to, mój ojciec — odparła poważnie Olga. — Utracyusze jedynie z właściwego punktu widzenia pojmują kobietę i to jest ich moc nad niemi, o której myślisz.

Odrowąż opuścił oczy, jak gdyby pragnął, aby Olga nie wyczytała w nich wrażenia

podziwu, którem błysły, i odparł:

— A więc możesz sobie pozwolić na męża utracyusza, byle nie głupca, bo jest amerykańskie przysłowie, niezmiernie prawdziwe, a brzmiące: "nie ma majątku, któryby wytrzymał głupstwo" — przysłowie, ukute przez szerokich Amerykanów dla obalenia starego przysłowia francuskiego, wymierzonego przeciw utracyuszom.

Olga więcej dnia tego nie mówiła, — ziewnęła przeciągle i głośno i udała się na spoczynek. Rozmowa z ojcem niesłychanie a la longue ją zawsze nużyła.

Odrowąż był szczęśliwy. Nie bał się, aby Olga padła ofiarą jakiego zgrabnego

polskiego posagożercy, a dłuższy pobyt w Krakowie odpowiadał mu z wielu
względów. Oddanie się Olgi polskiej literaturze, bo po Janie z Gdowa
wzięła się
do innych autorów, cieszyło go. Jeśli miała zamiar osiąść w Polsce,
czy złączyć
swe życie z Polakiem, to niechby poznała stosunki krajowe i
społeczeństwo, w
powieściach najlepiej odzwierciedlane. — Sam zaś odnalazł kilku
znajomych
uczonych i mecenasów sztuki, z którymi gwarzył przyjemnie. Nadto
nabywał wciąż
coś, co go cieszyło niewymownie i czego właśnie jego zbiorom
brakowało.
Tak stały rzeczy w trzy tygodnie po ich przybyciu do Krakowa, gdy
Olga raz
weszła do jego komnaty i rozpieszczonym, a nie licującym z dojrzałą
powagą jej
oblicza tonem zawołała:
— Papo! ja się nudzę.
Odrowąz uśmiechnął się, ale go coś za serce ścisnęło.
— A więc moje dziecko... — szepnął.
— Jedźmy dalej..
— Dalej ?
— Do Warszawy...
— Do Warszawy?
— Tak, ojczy. W Warszawie, dowiedziałam się, mieszka Jan z
Gdowa, a ja go chcę
poznać.
Hrabia, który stał, usiadł, jakby powalony obcą mu, a nieuchwytną.
siłą,
— Dowiedziałas się — bąknął, o-bejmując ją błędnym wzrokiem, bo
mu się wszystko
to pomieścić w głowie nie mogło — że...
— Dowiedziałam się — powtórzyła. — Jest to pan Edward Rakuski,
jakaś
nieszczęśliwa ofiara d'un roman, jakiś interesujący oryginał, który
stracił

majątek na studiach kobiety, a odrabia go, publikując wyniki swych badań.

Osobistość interesująca, choć mało co o nim i mało kto wie... Ale ja go

chcę-, muszę go poznać. Interesuje mnie jako autor, jako człowiek, jako

głowa... Dziś dowiedziałam się, gdzie go szukać i pilno mi... go znaleźć...

Tu sama usiadła i ciągnęła z ożywieniem:

— Czy przypominasz sobie ojczyźnie temu lat siedm., mówiono dużo wtedy o oficerze

rosyjskim, który zbiegłszy z armii dla słynnej Cory Delille [...] z nią razem

bawił pod przybranym nazwiskiem we Florencji i zadziwiał rozrzutnością,

pięknością i awanturnością?...

— Ah! pamiętam — podchwycił Odro wąz — ten, którego następnie za staraniem

ambasady aresztowano, a który się wymknął właśnie za interwencją tej kobiety, o

którym rozeszła się później pogłoska, że wraz z nią osiadł na własnym yachcie, z

którym tak długo do żadnego brzegu nie miał dobijać, jak długo mu władze

rosyjskie...

— Jak długo - podchwyciła Olga — nie znudził mu się ten romans...

— I znudził mu się?

— Nie! Znudził się jej podobno...

— Przypominam sobie historyjkę z tysiąca i jednej nocy...

— A bohaterem jej jest właśnie ten Jan z Gdowa...

Hrabia wytrzeszczył osowiały wzrok, ale wnet się połapał, stłumił westchnienie i

szepnął wysiłonym do naturalnej dykcji głosem:

— Więc jedźmy do Warszawy...

* * *

Hrabia, gdy się znalazł w wagonie, wiozącym go do Warszawy, był niemal w trwodze, którą jednakże głęboko ukrywał. Zajęcie się Olgi nieznanym autorem, oparte na charakterze tegoż, na awanturniczej jego przeszłości, odkrywało Odrowążowi rys indywidualności kobiecej w córce jego, dotąd mu niemal obcy. A więc Olga była przy całej swojej apatyczności i trzeźwości, przy całym realizmie, z jakim pojmowała rzeczy tego świata, entuzjastką i kobietą, dającą się porwać wyobraźni i oryginalności wychodzącej z granic codzienności, a więc zdolną do popełnienia szalonego kroku pod wpływem sztucznicy, bo intelektualnie tylko rozbudzonych uczuć. Analizował ten objaw. W analizie tej łatwo odnalazł skutki przez samego siebie zaszczerpionych w hrabiance pojęć. Wychowanie jej zbyt w kierunku sztuki i piękna bałwochwalcze, a przytem napojone kultem dla samodzielnej indywidualności i dla oryginalnego, a wyższego rozumu, musiało przynieść podobne owoce. Kobieta, która w pierwszej młodości oddawała się czytaniu sensacyjnych i śmiałych romansów nowej francuskiej szkoły, nie mogła być nieczuła na wpływy literatury beletrystycznej. Kobieta, którą on nauczył widzieć tylko mężczyznę w człowieku o niesłychanie usubtelnionych i wyrafinowanych a postępowych cechach duszy, nie mogła nieodczuć wpływu śmiałego a utalentowanego, oryginalnego w piórze i życiu, autora. Bo takim był i w oczach hrabiego, ten obcy mu a przerażający go Jan z Gdowa.

Odrowąż analizował dalej.

On tak się dla Olgi bał męża Polaka. On ją wychował tak silnie raczej dla

Włocha, Hiszpana, Francuza i Amerykanina. I właśnie dlatego może, tem

przepotężnem prawem kontradykcyi w naturze czuła się ona partą ku temu, ku czemu

najmniej była przygotowaną i usposobioną.

On się bał Jana z Gdowa, bo czuł, iż tenże poważnie może być niebezpiecznym dla

jego córki wobec zupełnie świeżo w niej odkrytych upodobań i pociągów. Jeśliby

nadto ten przypadkowy i dlatego w swoim rodzaju genialny autor, był rzeczywiście

jednym z tych zgrabnych awanturników, jakich największy procent wytwarza Polska

w całej Europie? Jeśliby wreszcie ten awanturnik był nim tylko, jak wielu,

których zawsze Odrowąż porównywał do fabrykowanego szampana na podstawie

wszystkich możliwych chemikalij tylko bez przymieszki prawdziwego wina

Szampanii?

Mógł być nim zrujnowany polski panek dość wykształcony, by zostać pisarzem, tak

utalentowany, by napisać "Maryą", którą on sam z zajęciem przeczytał; a o tyle

myślący, by zastanowić i zaintrygować Olgę, był niebezpiecznym okazem dla

wrażliwej, indywidualnej i wyrafinowanej natury jego córki. Był niebezpieczniejszym od wszystkich, jako Polak, bo najprzód Olga widocznie

postanawiała przyznać do swojej ojczyzny, a powtóre, Polacy tak w wyobrazeniach

hrabiego, jak i świata całego, słynęli ze szczególnego choć łatwo dającego się

zanalizować czaru, wywieranego na kobiety.

Pierwszy raz czuł treść jakby przed stanowczym krokiem Olgi,
którego cechy
tkwiły już we wszystkim. Jej wyjazd do Polski, jej podróż do
Warszawy, z
określonym i prawie wyłącznym celem? Nie był to kaprys, to był
obmyślany krok
stanowczej i samowolnej natury. Olga nawet nie u-
patrywała w podróży do Warszawy, aby poznać Jana z Gdowa,
nieznajomego autora i
człowieka, nic takiego, co by mogło być podciągnięte pod
ekscentryczność. Ona
przywykła była brać wszystko naturalnie. Jeśli się jeździło do różnych
miast,
aby poznać obraz Rafaela, lub Van Dycka, to można było całkiem
naturalnie odbyć
podróż naokoło świata, aby poznać — człowieka. Ona zdrowo
pojmowała rzeczy tego
świata, łąk zdrowo, naturalnie i podniosłe, iż zastanawiała nawet
Odrowąza, w
którym mimo wszystkiego tkwił Europejczyk, wykarmiony mlekiem
konwenansów.
O podróży swej do Warszawy w celu poznania Jana z Gdowa mówiła
tak, jakby mówiła
inna jej wieku i epoki panna o podróży w celu poznania
niewidzianego od lat
brata czy bliskiego kuzyna.
Hrabiemu naturalnie podobała się ta wielka otwartość szerokiej i
szlachetnej
natury, ale była ona tak wzniesiona po nad komunały, iż go tem
chwilowo
ambarasowała. On był bowiem mimo wszystkiego dzieckiem swojej
epoki, a ona
płodem wyników jego, myślą zdobytego humanitaryzmu i filozofii.
Olga jechała pełna nadziei, jakkolwiek właściwie uczucia tego
wyraźnie
w swych głębiach nie doznawała. Ale ten Jan z Gdowa tak ją, zajął, że
skutkiem
tego zapomniała o trapiącym ją panieństwie.

Jeśliby — myślała — autor "Maryi" był tym samym człowiekiem,
którego widziała w
jego piórze, jeśliby był również namiętym i szerokim, jeśliby
rzeczywiście tak
pojmował kobietę, jak ją pojmował w swych utworach, to w takim
razie byłby jako
mężczyzną bardzo zbliżonym intelektualnie i zmysłowo do jej ideału.
Pozostawała
więc tylko kwestya fizyczna do rozstrzygnięcia.
Olga wiedziała, że był jeszcze młodym. Przypuszczała, że musiał być
przystojnym,
bo inni rzadko bywają bohaterami romansów, a więc jechała pełna
otuchy, że w
dziewięciu na dziesięć wypadkach, pozna w Janie z Gdowa człowieka,
którego jej
zmysły i wyobraźnia szukały.
Pilno jej było znaleźć się w Warszawie, zasięgnąć języka, poznać
tego, który ją
od kilku tygodni intrygował.
Jakież było jej zdziwienie, gdy [...] bycie, nie zdołała posunąć się
naprzód w
swych poszukiwaniach.
Pierwszy raz uderzyła ją różnica, zachodząca między cywilizowanymi
państwami a
Polską.
— Wszędzie gdzieindziej — mówiła do ojca — Jan z Gdowa byłby
już znanym i
głośnym. Wiedzieliby" jak wygląda, jak mieszka.. Mógłby być sobie
dzikiem jak
chce a musiałby się pokazać światu... Tu zaledwie wiedzą o jego
istnieniu...
zaledwie ten lub ów go czytał.
Rzuciła się w wir światowych rozrywek z większą niż kiedykolwiek
werwą, bo
życzenie jej podniecała już ciekawość, bo Jan z Gdowa zyskiwał z
dnia na dzień w
jej kobiecej wyobraźni siłą trudności, jakie spotykała w drodze do
poznania go.

Po dziewięciodniowym pobycie w Warszawie doczekała się wreszcie tej chwili, w której wpadła na trop stroniącego od zgiełku autora. Pytała się tyle o niego, zaczęła o nim. tyłu, iż raz na wieczorze u Potockich zbliżyła się do niej pani Jamińska, osoba lat trzydziestu kilku i zagadnęła:
— Słyszałam, iż pani nad wyraz interesujesz się sztuką i literaturą...
— O! nie! bynajmniej -- odparła hrabianka. Jest to interes, który w wysokim stopniu mnie przypisywany, ubliżałby mi, jako kobiecie. Owszem dziś zajmuję się mniej, niż kiedykolwiek sztukami pięknymi... Dawniej nawet rzeźbiłam... Kobietę w moim wieku interesuje więcej świat i ludzie...
Pani Jamińska, zmieszana, zażenowana, nie przywykła do takiego śmiałego sposobu odzywania się i tego tonu u panien, podchwyciła:
— Mówiono mi... mówiono..
— Mówiono pani, iż pozuję na literatkę ?
— Nie, mówiono mi — odparła dama z tem przymilaniem w głosie, innym swą dykcją, gdy się zwracała do milionerów — że pani pragnęłaś... że byłaś ciekawą pana Jana z Gdowa...
— Ah ! — zawołała hrabianka z wybuchem radości swej szczerzej natury — to co innego! Nie zrozumiałyśmy się. Byłam ciekawa ? ha. ha, ha! Ja tu się włóczę po tych wieczorach, aby wreszcie go poznać. Ja po to przybyłam do Warszawy...
Pani Jamińska wytrzeszczyła zdziwiony wzrok. Takiej panny jeszcze nie widziała, a w tej chwili i, tej jeszcze nie rozumiała.
— A więc interesuje panią literatura?
— Literatura ?... zapewne ! W tym wypadku, o ile Jan z Gdowa jest literatem. Ja

jestem jego ciekawa! Ja jestem więcej ciekawa poznać mężczy-
zną, który się kryje pod pseudonimem Jana z Gdowa, niż autora...
Tu się spostrzegła, że ton jej onieśmiela interlokutorkę, co się jej
często

zdarzało i z uśmiechem dodała:

— Ale przyznać muszę, że autor obudził we mnie te chęci.

— A więc jutro bądź pani z ojcem u nas — rzekła pani Jamińska —
zbierają się w

naszym domu często literaci i artyści. Pan Rowieński będzie... jeśli,
jeśli...

— Jeśli?

— Jeśli do niego jeszcze nie doszło, że pani jesteś jego ciekawą. Ten
młodzieniec pozuje dzisiaj na odludka... Będziesz pani? -

— Ah! będę! będę! Niepotrzebnie pani mnie o to pytasz!

I rzeczywiście, nazajutrz w literackim salonie pani Jamińskiej
senzacyjną

zrobiło pojawienie się kobiety, która, wchodząc, stanęła we drzwiach i
pałającym

wzrokiem objęła cały salon. Wszystkich oczy zwróciły się na nią.

Brano ją z razu

za jakąś genialną artystkę przejeżdżającą przez Warszawę, bo nie
wyobrażano

sobie tej śmiałości chodu i spojrzenia, tej swobody ruchów, tej
piękności,

podniesionej przeświadczeniem o niej u damy warszawskiego świata.

Olga zajęła miejsce na fotelu przy panu domu, który się bawił w
mecenasa sztuki

i literatury, a w salonie panowała ta cisza, wywoływana zwykle w
małych

świątkach pojawieniem się niepospolitego zjawiska.

Hrabianka była piękniejszą niż kiedykolwiek. Ubraną była z
wyszukaną, nie

elegancją, lecz indywidualnością w stroju, która jej nadawała cechy
artystki.

Minęła dobra chwila, zaczęli się połapano, że to nie była żadna
gwiazda desek

teatralnych, jakie od czasu do czasu spotykano w tym salonie, tylko
gwiazda

milionów i ich rozgłosu.

Panna Odrowąż miała na sobie czerwoną aksamitną suknię, przykrytą złotym

wypukłym haftem i dwa brylanty w uszach, które z oczami jej walczyły o prym

blasku.

Powoli towarzystwo, złożone z artystów i literatów, filozofów i myślicieli,

dyletantów i poetów, odzyskiwało równowagę, zachwianą wejściem kobiety, która

nic z nimi wspólnego mieć nie mogła. Powracano do gwarnych rozmów. Cóż ich mogła

obchodzić panna Odrowąż, zabłąkana tu swą ciekawością turystki, czy wypadkiem

salonowych stosunków? A ona, ona siedziała i rozglądała się po tłumie fraków.

Poprosiła od ra-

zu gospodarza domu, by jej nikogo nie prezentował, chciała sama odgadnąć z

fizyognomii tego, dla którego tu przybyła, chciała sama znaleźć w tym zbiorze

czaszek tę, której kreacya ją zachwyciła

Pani Jamińska opowiadała jej coś, a ona pałającym wzrokiem wodziła po salonie.

Nagle wstała i krokiem pewnym, z wachlarzem w ręce, podniesionej w ten

indywidualny, właściwy jej sposób, iak gdyby parasolką zasłaniała się przed

słońcem, ruszyła z miejsca. Wsuwała się w gromadki złączonych i rozmawiających

mężczyzn, rozbijała ich z niepojętą sans gene, zaglądała niemal każdemu w oczy

tem spojrzeniem, które niejednego zmuszało -do spuszczenia na dół wzroku.

Znów nastał gwar. Ta kobieta zachowaniem się swem zastanawiała nie jednego ze

zgromadzonych tu powieściopisarzy i myśliwych na typy, na indywidua.

— Piękna.

— To mi panna!

— Istna Amerykanka!

— Kto to ?

— Typ! — powtarzano na wszystkie nuty. Olga zdawała się nie spostrzegać nawet zajęcia, którem zakipiały salony. Każdy ją chciał znać teraz, nie ją osobiście, ale to życie jej, które taką siłą indywidualności intrygowało.

Olga opuściła salon, zwiedziła i drugi i zatrzymała się we drzwiach, prowadzących do jadalni.

Przystanęła. Na środku stał długi stół nakryty, a po kątach roje i roiki rozmawiających mężczyzn. Ale przy stole siedziała jakaś kobieta o sympatycznych, choć nieznanym rysach twarzy. Bawiło ją dwóch młodzieńców. Jeden śmiał się i chichotał, a drugi siedział w tej chwili zamyślony, oparty o poręcz krzesła, z wzrokiem utkwionym w wiszącą lampę, z niedbale wyciągniętą ręką na stole, bawiącą się w sposób lekceważący salonowe formy, przewracaniem kieliszków.

Oczy hrabianki utkwily na tym mężczyźnie. Mógł on liczyć lat trzydzieści i

kilka. Oblicze jego ściągłe i regularne, zdobił blond wąsik podkreślony, ale

nadający jakąś odrobinę zawadjackiej cechy jego fizyognomii.

Wysokie czoło

zdradzało przedwczesne łysienie, charakterystyczna, matowa bladość cery wyraźnie

opowiadała dzieje nadużywania sił żywotnych tego człowieka. Ręka, którą jakby na

pokaz trzymał na stole, była alabastrowo białą i arystokratyczną, a chudą i

wyprężonemi żyłami pokrytą. Mały wąsik odsłaniał usta w tej chwili jeszcze

nie przyszłe do naturalnego wykrojenia po ostatnim uśmiechu, a ten je cynicznie i pogardliwie ale łagodnie wykrzywił. Głębokie lecz nie tryskające życiem oczy, przykuły wzrok Olgi. Te oczy nieznajomego uderzały głębią nadzwyczajną obserwacji, w której, jakkolwiek teraz zapatrzone w rażący światłem kinkiet, z wyteżeniem pracowały. Te oczy zdawały się Oldze być jedynymi w swoim rodzaju. Tkwiła w nich ta sama łagodna a cyniczna, obserwacyjna a namiętna siła, która ją zachwycała w autorze "Maryi". Zbladła lekko, a w tejże chwili nieznajomy opuszczając wzrok z lampy, utkwiał nim w niej, bo naprzeciw niego stała. Nie zdziwił go jej niespodziewany widok, bo uczuła na swym obliczu hipnotyzujący ją prawie spokojem wzrok. Wytrzymała go i czytała w nim. Ten człowiek chciał ją już objąć i zbadać, jak gdyby przywykł do chwytania swym obserwacyjnym wzrokiem ludzi, w przelocie i wypadkiem. Przypatrywał się jej z tą bezwzględnością, lekarza, z tym spokojem człowieka, zapominającego o sobie, z tą melancholijną ciekawością obserwatora, badającego z natury i dla siebie, a nie z rzemiosła i dla celu. Wytrzymała wzrok ten, który ją tem zastanawiał, iż czuła, że na nim żadnego, przekraczającego granice zwyczajności, nie zrobiła wrażenia. Nieznajomy przypatrywał się jej z tym spokojem człowieka, który nigdy się nie dziwi, z tą niedbałością wzroku, który niczego nie szuka, a wszystko chwyta. Wreszcie Olga nie wytrzymała tego spojrzenia, w którym nie było nic wyzywającego, ale który zanadto świdrował głębię jej duszy.

Odwróciła się do pani Jamińskiej, która w tejże chwili znalazła się przy jej boku.

— Ten pan zagadnęła, który się patrzy na mnie, który mnie fotografuje na zimno, a myśli o czym innym, to musi być Jan z Gdowa?

— On, pani!

Olga odetchnęła, choć milczała, a bladość pokrywała jej oblicze. To był on, był

innym, niż go sobie wyobrażała, a mimo to takim, jakim go mieć chciała. W jednym

momencie obraz jej wyobraźni zlał się z obrazem widzianym i zdało jej się, że

Jana z Gdowa takim, a nie innym znała.

— Przedstaw mi go pani! — odezwała się hrabianka.

— Panie Rowieński! — zawołała Jamińska.

On wpatrzony w Olgę, ściągnął brwi, jakby się obudził, powstał i powolnym

krokiem zbliżył się do kobiet.

— Pan Rowieński — przedstawiła go Jamińska — hrabianka

Odrowążówna, która żywo

pragnęła pana poznać — dodała, oddalając się.

Stanęli naprzeciw siebie. Ona jak posąg spokojna, nieco bledsza niż zwykle,

badła swym ognistym wzrokiem mężczyznę, którego najwidoczniej onieśmielał jej

królewski sposób zachowania.

Rowieński nie umiał ukryć niezadowolenia, pochodzącego głównie stąd, iż on,

światowiec skończony, czuł się w tej chwili niezręcznym i nieśmiałym.

— Przybyłam do Warszawy — odezwała się Olga, — aby pana poznać... Mogę panu

wielki powiedzieć komplement. Autora "Maryi" nie wystawiałam sobie lepiej od

pana.

Rowieński jeszcze milczał i pożerał kobietę namiętniejącym i tracącym swój

spokój wzrokiem. Nie znosił banalności przedstawień, komplementy co do jego autorstwa działały mu na nerwy. Pragnął stanąć czempredzej na stałym gruncie.

Przenikał Olgę, aby zmiarkować, do jakiego typu kobiet ona należała, czy do tych pozujących na entuzjastki, czy do tych światowych, chciwych sukcesu u ludzi talentu i pióra ?

— A więc to "Maryi" ciekawość pani zawdzięczam. — odezwał się wreszcie po namyśle, który intrygować już zaczynał hrabiankę.

— Oh! — zaśmiała się Odrowążówna — "Marya" niejest znowu takim arcydziełem, aby panu mogła ściągać do Warszawy takie, jak mój, interwiewy. "Marya" jest sobie pospolitą kobietą, zgrabnie uchwyconą a plastycznie przedstawioną. Mnie ona nie zaintrygowała, mnie zainteresował człowiek, któremu przyszło do głowy zająć się taką kobietą, i złożyć u jej nóg olbrzymie skarby uczucia, finezyi, namiętności i życia...

Rowieński wypogodniał, ale wyraz jego oblicza się zaniepokoił.

— A więc to Ireneusz panią zajął? — zapytał ze zdziwieniem.

— Ireneusz ? Nie! Mnie zajął ten, który niezgrabnie pod Ireneuszem się ukrył, który nie chcąc siebie sportretować, stworzył wadliwy i nieszczęśliwy typ. Pan mnie zająłeś...

— Ja?

— Pan ! Pański Ireneusz nie wystąpił plastycznie, boś mu dał cześć swej duszy, a nie chciałeś mu dać całego siebie.

— Pani...

— Chciałbyś pan może przeczyć. Pomieszanie pańskie zdradziłoby pana, jeśliby już charakter pana nie był zdradził. Przybyłam poznać człowieka, który tak silnie

kochał, iż się łudził, że gorącem swego uczucia natchnie i przetworzy — gąską...

Nie udawaj pan zdumionego... Ireneusz, to pan! a Marya, to ja...

— Kto, pani ? — zawołał Edward Rowieński, drżący cały, roznamiętniony uczuciem subtelnie zrozumianem, a autorom tylko znanem, pałający swym głębokim wzrokiem, przeistoczony gorączką, która w jednej chwili zakipiała w jego zwykle zmaczonej i zmatowanej głowie — kto, pani?

Olga się zawahała. Inny człowiek stał przed nią, niż ten, którego obserwowała.

Jakiś wulkan odbił się w jego fizyognomii i zabłysnął w jego oczach, zmieniając

całkowicie ich spokojny i głęboki wyraz. Zadrżała. Może ona poruszyła jeszcze

niezagojoną ranę? Ale nie! Ona tylko rozbudziła autora, człowieka wyobraźni i

namiętności pod powłoką pisarza i myśliciela. Ona zaciekała go, ale nie czem

innem, tylko sobą.

Uśmiechnęła się. Wlepiała swój wzrok w oczy Rowieńskiego i ciągnęła:

— Nie wiem, kto jest ta Marya, ale czy przypadkiem — pytała ze swym

sprytnym uśmiechem na ustach, mieniącym się dowcipem, cedząc każdy wyraz w

pełnej naiwności dykcji — ten Zakroczym, ta ukraińska wioska, osłonięta lasami i

odgrodzona od świata, nie jest pewnym yachtem, który lat temu kilka lawirował po

Atlantyku i nie dobijał do żadnego brzegu i długo łudził się nadzieją, że tam

świat cały znaleźć można???

— Pani! — wybełkotał pomięszany Kowieński.

— Panie! — odparła, wybuchając śmiechem Olga. — Miej że pan naukę, że spowiedź

prawdziwa nie da się w usta inne włożyć, a sprytnego spowiednika
zmusi do
szukania i odkrycia... grzesznika,
To powiedziawszy odeszła, zostawiając zadziwionego autora. Odeszła
pełna tryumfu
i zadowolenia, z jakimś poczuciem szczęścia, którego przedtem
nigdy nie
doznawała.
Rowieński długo stał w miejscu Wreszcie podniósł głowę i oczami
potoczył dokoła
siebie. Szukał jej i nie znajdował. Ruszył się i poszedł do drugiego
salonu. Tu
nie znalazł Olgi, bo ta już była opuściła salony.
Ale odtąd spotykali się często. Pani Jamińska dawała tygodniowe
artystyczno-
literackie recepcye a żadnej z nich nie opuszczała hrabianka, a oprócz
te-
go zawsze w tygodniu znalazł się gdzieś Rowieński, gdzie była
Odrawążówna.
Gdy się zeszli, rozmawiali ze sobą z werwą dwu odpowiadających
sobie
inteligencyj, dwu bujnych wyobraźni. Kowieński zdawał się być
zachwycony tem
wyjątkowem niewieściem zjawiskiem, które zrozumiał i ocenił. Olga
topiła w nim
swój głęboki wzrok, prostotą naturalny, śmiałością niewyzywający, bo
śmiałością
duszy. I pytała tym wzrokiem jasno, głośno prawie dla każdego
inteligentnego
obserwatora, azali ten człowiek, tak oryginalny, tak głęboki w swych
studyach,
tak użyciem zaspokojony, patrzący z tak odrębnego na wszystko
stanowiska, jest
rzeczywiście tym, który ją w "Maryi" ujął.
Badała to, blada, zmęczona myślą i wielkiem życiem oblicza
Kowieńskiego i
pragnęła zeń wyczytać, czy nie uległa tutaj kaprysowi swej namiętnej
i chciwej

niecodzienności natury, czy pod tą skorupą człowieka mieściła się harmonizująca z nią dusza.

Kowieński jej się podobał i to codzien więcej. Znajdowała go o wiele wyższym od ideału, który sobie urobiła. Podobało się jej dziwnym patologicznym objawem w

nim wszystko. I te oczy głębokie ale zamglone i prawie często tak błędne, iż hrabiankę zastanawiały, jakkolwiek wiedziała już, że Jan z Gdowa wskutek nadużycia rozkoszy, jakiś czas zagrożony był chorobą

mózgu. I podobała się jej, tej Mildzie naszego stulecia form i piękności, ta

postać Rowieńskiego, wychudzona życiem nerwów i wyobraźni, zniszczona prawie

przedwcześnie wyczerpanemi zasobami" ale drgająca cała namiętnością,

zaspakajaniem rozkiełzaną, wyobraźnią wciąż podniecaną.

Rowieński właśnie wtedy przechodził moralną i fizyczną kryzys.

Szalonego życia o

mało nie przyplacił śmiercią i dziś zdawał się być rekonwalescentem który

jednakże u ognia choroby mózgowej miał pozostawić wiele z siebie.

Widziała to

Odrowążówna i usiłowała wyczytać tylko, czy młody człowiek pozostawi w tym

przełomie nadmiar, swych sił żywotnych, czy też część tychże, czy pozostawi w

nim całą błyskotliwość swej urody i inteligencji, czy też jej jaskrawość tylko.

Widziała jasno rzeczy, a mimo to ona czuła się wszechpotężnie ku niemu

pociągana. — Widziała jasno, iż zmysły w tym człowieku tak się wyczerpaniem

uspokoily, że wrażenia na nich prawie nie zrobiła, ona, zmysłowa i gorąca — odurzająca. Ale widziała też, że jeśli Rowieński nie był

pijany

przy niej samym zapachem jej woni, to dlatego tylko, iż chwilowo
stracił
powonienie. Ale widziała, iż szalałby za nią, jak kiedyś szaleć musiał,
gdyby
nerwy jego, namiętności jego, zużyte i chwilowo niezdolne nim
zaburzyć,
odzyskały równowagę. Nadto Rowieński wydawał się Oldze być
jednym z tych ludzi,
w których wyobraźnia gra taką rolę, że siłą swej akcji zabija fizyczny
ich
ustrój. Autor był nie tylko wyczerpany rozkiełzanem życiem, nie tylko
zmęczony
chorobą, ale jakby spalony pracą myśli i wewnętrznych namiętności.
Pierwszy raz w życiu widziała ten typ, ten typ człowieka spalonego
we własnym
swym ogniu, ale jeszcze tak żywotnego, iż mógł wróżyć odrodzenie.
Pierwszy raz
widziała tę inteligencję, której zapалу walka życia nie strawiła, ten
ogień
młodości, który się oparł katastrofom, nabierając w nich tylko
spokoju, a tracąc
iskry szału. Pierwszy raz widziała ten wzrok rzadko i krótko się w niej
topiący,
ale topiący się tak silnie, tak głęboko, tak umiejętnie, iż każdy jego
promień —
czuła to — ją przenikał.
Doznawała tego najniebezpieczniejszego dla kobiet uczucia przy
Rowień-
skim, uczucia ciekawości! Zkąd się wziąć mógł taki człowiek? Jaka
była jego
przeszłość? Jaką będzie przyszłość? I słuchała go w milczeniu, cała
oddana
rozumieniu tej jego oryginalności, chęci zrównania się z jego
inteligencją,
zachwycenia go...
Zapominała o sobie, traciła swoją błyskotliwość myśli przy nim, swój
dowcip,

swój rozum. Czują, jakgdyby on ją pochłaniał, a tak wyższością swą przygniatał,
iż zdawała się być sama sobie — głupią i małą.
Oszołomioną była, a oszołomienia swego sobie wytłómaczyć nie mogła, ani też mu się obronić. Każda uwaga jego otwierała jej coraz nowe i nowe horyzonty. Każda rozmowa zachwiewała niektórymi jej silnymi zasadami. Przekonywał ją nawet wówczas, gdy sypał paradoksami, z których się sam śmiał, a zastanawiał czasem pytaniem, czy we wszystkich rzadkich wypadkach, w których ona kategorycznie nie była jego zdania, nie była w wierutnym błędzie ?
Tak zabawiając się, ona, zrozumieniem człowieka, a raczej przekonaniem się, że ulega jakiejś hallucynacyi wyobraźni, on, poznaniem do dna tej silnej, pięknej i szlachetnością imponującej mu duszy, trawili godziny, które jak minuty mijały.
A całe towarzystwo śledziło ich. ciekawymi oczy. Coś łączyło ze sobą tę niedobraną parę, tę zdrową i tryskającą życiem, a dźwięczącą milionami dziewczynę z tym cieniem zużytego mężczyzny.
Jeden Odrowąż tylko obejmował ich rozumiejącym i niezdziwionym wzrokiem. Pod tą czaszką człowieka, jakkolwiek patrzącą na świat zamglonemi oczami, a pokrytą pajęczyną wyprężonych życiem nerwów, widział wielką inteligencję. I o nie nie bałby się, bo w oczach jego rozum był bożyszczem, gdyby mógł nabrać przekonania, że ciało tego mężczyzny nabierze tych sił, które natura jego mózgowi pozostawiła.
O nicby się nie bał, gdyby nie wiedział z doświadczenia, że kobieta jak Olga,

nie może żyć tylko głową, jakkolwiek może się jej dać porwać i opanować.

I jak lekarz śledził postać Kowieńskiego jeszcze tak młodą, tak zgrabną, tak

posagową, że skory był przypuszczać, iż ciało to zrujnowane, mogło jeszcze żyć w

normalnych warunkach i namiętnościach, iż mogło jeszcze w małżeństwie zadość

uczynić szalom miodowych miesięcy a obowiązkom natury.

Oni tymczasem łączyli się codzien silniej tymi węzłami jak struny mocnymi,

rozumiejących się inteligencyj a pokrewnych sobie gorącym namiętności i

powinowatych sobie indywidualnością.

Odrową śledził ich niepostrzeżony.

Kowieński raz ni stąd ni zowąd zagadnął Olgę po długiej o przedmiocie innym

rozmowie:

— I przybyłaś pani tylko po to do Warszawy, aby mnie poznać ? Hrabianka się zaśmiała.

— Więc pan byś był jednym z tych autorów, tak wierzących w swą wielkość, iż

zdolnym ślepo dać wiarę w prawdziwość najbanalniejszych komplementów ? Ha! ha!

— Pani! — odparł poważnie Rowieński. — Należę do tych autorów, którzy wiedzą, kiedy kto prawdę mówi.

— A więc — zawołała Olga z genialnie udanem wesołem oburzeniem — wierzysz pan,

iżem ja, ja.... przybyła tutaj tylko po to, by pana, autora dziwacznej wyprawy

po Atlantyku, poznać?

— Nie wierzę, ale... wiem!

— Więc mnie masz za waryatkę?

— Nie pani. Mam panią za jedną z najoryginalniejszych kobiet, jakie w życiu

widziałem.

— Jedno z drugim związku nie ma...

Rowieński długo milczał. Oczy to opuszczał ku ziemi, to topił je we wzroku Olgi.

Nagle podrzucił głowę ruchem, iakby mu z pierwszej burzliwej młodości

pozostałym, a dziś już rzadko używanym, i odezwał się:

— Komedya nie jest rolą właściwą talentowi pani.,. Grasz ją au plus fin, ze mną

mogłaby być dla pani porażką... Należysz do tych kobiet, które są rzadszymi

unikatami, niż dukaty Karola Wielkiego w europejskich numizmatycznych zbiorach zachowane.

— Mianowicie ? — podwyciła, dziwnie poważniejąc Odrowążówna.

— Do kobiet — mówił Rowieński dykcyą przepyszną swą głębokością — nieumiejących

nawet banalnego komplementu skłamać, a tak się wysoko szanujących, tak pewnych

siebie, iż mających odwagę przyznania się do rzeczy, któreby ją ośmieszyły w

oczach ludzi niezdolnych ich zrozumieć, a zgubiły w oczach... kretynów.

Tym razem Olga umilkła, a Rowieński ciągnął dalej:

— Przybyłaś pani do Warszawy, aby poznać nie człowieka, który napisał "Maryę", ale bohatera Maryi. To naturalniejsze. Zbieg okoliczności

zrządził, że w bohaterze znalazłaś i autora. Jesteś zbyt piękną, aby tego

rodzaju wyznaniem nie pobudzić gwałtownie zwykłego śmiertelnika, aby nie

roznamiętnić wyobraźni młodego i żyjącego jeszcze aktualnie autora. To, co ci

teraz pani mówię, wyczytałem w twych oczach wtedy, gdyś stała u państwa

Jamińskich w drzwiach, gdym nie znał jeszcze dźwięku twego głosu, będącego

głównym czarem twej urody. Cały rodzaj twej piękności zachwyca, że tak powiem,

nie naturalnością, ale prawdą, a głos twój zadziwia dźwiękiem
niepozostawiającym
żadnej wątpliwości co do szlachetności metalu. Głos twój, to
niesłyszany
dzwonek.... Przybyłaś poznać autora, wyrwałaś go, rozbudziłaś go, a
więc słuchaj
go teraz i nie dziw się, że ci mówi rzeczy, nielicujące z modą i
konwenansami.
Kobieta, która powie człowiekowi wyobraźni to, coś pani mnie
powiedziała,
kobieta ta, jeśli jest taką jak pani, a ten mężczyzna jeszcze zmysłami
młody i
fanatycznym wielbicielem kobiety w kobiecie, rzuca się w
niebezpieczną grę.
Olga słuchała potoku tych słów, płynących z pobudzonej namiętnego
autora wyobraźni, jak gdyby ona była naturalnym i przewidzianym dla
niej
potokiem.
On mówił dalej:
— Twoje oczy bardzo wiele mówią, pani. Jak jesteś prawdziwą, tak
jesteś
szlachetną i uczciwą. Po tem, coś mi powiedziała, masz tylko jedną,
godną siebie
drogę; każda inna mogłaby się stać nieszczęśliwą grą. Jeśliś odkryła w
bohaterze
"Maryi" autora, toś go zrozumiała, — jeśliś go zrozumiała i
odszukała, aby mu ta
powiedzieć, to mogłaś w tem mieć jeden cel tylko...
— Mianowicie?
— Cel bycia przezeń zrozumianą i ocenioną.
— Gdybym tego celu nie miała ?
— Tobysь popełniła zbrodnię, pokazując człowiekowi, który w
istnienie tego
rodzaju kobiety zwątpił, tę kobietę właśnie, ale nie dla niego.
Olga zdawała się być odurzona. Serce jej gwałtownie biło, a spokój
rzadko ją
opuszczający, tym razem, czuła, ulatał.
Rowieński ciągnął:

— Masz jedną tylko uczciwą drogę, godną ócz twoich, i dźwięku głosu. twego.

— Słu... cham...

— Powiedzieć temu nieszczęśliwcowi, w któregoś jeszcze wiarę w życie tak

gwałtownym i oryginalnym do ogłupienia krokiem natchnęła,
"pomyliłam się",
albo...

— Albo?

— Albo nie powiedzieć mu nic, ale w takim razie wziąć na siebie odpowiedzialność

zaburzenia życia ludzkiego, które już w przededniu uzyskania równowagi i

pogodzenia się z losem, zaczepiłaś i jak huragan rozpętałaś...

— Nie rozumiem pana — wyszeptała Olga.

— Czyż wydaję się pani zbyt namiętym ?

— Sądzę!

— A więc nieuważnie czytałaś "Maryę" i chciałaś w Ireneuszu widzieć autora o mniejszej namiętności?..

— Nie to, ale...

— Ale...

Hrabianka blada, pomięszana wstała. Rozejrzała się po salonie, jakby dla

połapania się o miejscu, w którym się znajdowała. Dała znak ojcu, wpatrzonemu w

jej zmienione oblicze, że wyjść pragnęła. Odetchnęła pełną piersią i odsuwając

się od Rowieńskiego, szepnęła drżącym, dźwięcznym, cichym wyjątkowo, ale

wyraźnym głosem.

— Czekam pana jutro. Wytłumaczmy się i zro..

Urwała, poczerwieniała i skinęła głową Rowieńskiemu niedbałym ruchem, ale który

u niej, jak wszystko, był indywidualny i znaczący.

III.

Rowieński ulegał pewnemu zdziwieniu, bo od godziny bawił u Olgi, a ta nie poruszała przedmiotu, dla którego przyszedł. Zdawała się czegoś wyczekiwać, może na jego zapytanie, na powtórzenie i określenie wyznania? Dziwiło to Edwarda.

Czyżby ta kobieta przypuszczała, że człowiek jego rodzaju potrafi się jej inaczej oświadczyć? Był zdziwiony, ale nie niecierpliwy, ani nie niezadowolony.

Jeśli się oświadczył hrabiance Odrowążównej, to uczynił to pod wpływem niezamarłego jeszcze serca, pod wpływem osłabionej życiem, ale wyjątkowo pobudzonej jej osobą namiętności, pod wpływem myśli rozgorączkowanej tą wyjątkową i jakby dla jego bezmiernie szerokich pojęć stworzoną kobietą. Zresztą on nie miał zachcianek małżeńskich, on uważał małżeństwo w dziewięciu na dziesięć wypadkach za himerę społeczną, on sobie kpił z milionów, których kilku utrata nauczyła go poznać ich czcą i nic prawdziwego niedającą wartość. On był filozofem, nieupatrującym w małżeństwie filisterskiego celu żywota.

Jeśli się zdecydował uczynić od jednego słowa Olgi zawisłą swą przyszłość, to uległ tutaj może nieco pewnej, odzywającej się w nim potrzebie zwierzęcej zespolenia swej egzystencji z drugą, utworzenia jakiegoś ogniska domowego, które dzielone z tą kobietą, wydało się jego artystycznej i przez to samo chorobliwej wyobraźni pełnem niezaznanego jeszcze i odrębnego uroku i czaru. Ona była pierwszą kobietą z tych, jakie w życiu spotkał, która mu nasunęła myśl, że posiadanie jej można okupić małżeństwem.

Ona pierwsza, gdy się już uważał za zdruzgotanego od lat kilku przez życie, dała mu przekonanie, że jeszcze kochać i szaleć mógłby, że jeszcze kobieta może być dlań czymś innym, aniżeli tylko obrazem, poematem, czy fantazją. Ona pierwsza odsłoniła mu zasłony na pewne tajniki życia, których nigdy nie badał i które mu się wydawały nierozwiązalnymi. Ale on niczego gwałtownie w życiu już nie pragnął, niczego, a więc i kobiety. Dla kobiet miał nawet pogardę, odkąd zmysły w nim grać przestawały wszystkimi fibrami. Dla Olgi atoli pogardy nie miał. Ta kobieta była inną od wszystkich. Rzucała mu inne niemal światło na pożycie małżeńskie, które, zdawało mu się, doskonale pojął. Przypominała mu jego młodociane i chore poglądy, nasuwała mu pod pióro paradoksy i myśli, teorie i filozoficzne, niezgłębione dogmaty, które nigdy w jego mózgu, zadziwiającym przecież ludzi, nie świtały. Ta kobieta wyrwała mu wyznanie, którego nigdy żadnej nie uczynił. On składał nieraz u nóg kobiet życie, on je, na ich ofiarnym ołtarzu całe złożył, ale czynił to tylko pod wpływem zmysłów, a nie jakiegoś przegłębokiego uczucia, które dziś w sobie odnachodził. Jeśliby Olga milczeniem zbyć chciała jego wczorajsze pytanie, toby z pewnością o odpowiedź się nie upomniała. — On raczej się bał zaczynać jakieś nowe życie; miałaby się rwać do niego! On byłby szalony. On poprostu chory, wycieńczony namiętnościami i ich piekłem, bałby się wejścia z tą kobietą pełną świeżych i gorących żądź tam, skąd już zmuszony fizycznie wychodził.

Ale... porwany jej czarem, jej rozumem, jej oryginalnością, jej kobiecością, która obudziła jego uspione morfiną i wyniszczeniem zmysły — oświadczył się.

I czekał odpowiedzi, ale jej ani pragnął, ani się obawiał.

Wtem hrabianka, poleciwszy rozniecić ogień na kominku, a nie zapalać świecę, zagadnęła go:

— Od kilku tygodni żyjemy blisko siebie i rozmawiamy codziennie. Ja panu dużo

powiedziałam o sobie. Zdaje mi się, iż wypowiadałam się panu z całego mojego

życia, iż odkryłam mu nawet tajniki duszy, których odkrywać byłam nie powinna...

Z przestraczeniem dziś się spostrzegłam, iż uczyniłam to bezwiednie, a pan

tymczasem pozostałeś dla mnie owinięty w płaszcz tajemnicy.

— Jest to potęga wyższości... — bąknął Rowieński.

— Wyższości? czyjej?

— No, mojej, mojej ! Autora i myśliciela! istoty silniejszej od pani...

Olga się zamyśliła, westchnęła i po pauzie zapytała:

— A więc może teraz opowiesz mi twoje życie, może odpłacisz się pan wzajemnie

za...

— O, najchętniej. Spowiedź moja cała jest coś tak krótkiego, a dziwię się, że

dla twojej inteligencji czemś pożądanem...

Tu urwał, chrząknął, a raczej zakaszłał, oczy przymrużył tym skurczem właściwym

tylko ludziom zatapiającym się w życiowych zagadkach i po chwili począł mówić:

— Staiałem bardzo wcześnie i młodo do walki z życiem z nieprzebranymi skarbami

sił żywotnych, moralnych i fizycznych. Odziedziczyłem je po rodzicach siłą tego

prawa natury, opartego na mieszaniu się różnorodnych ras. Mój ojciec był

magnatem, moja matka... chłopką! Rzuciłem się w wir życia z moją inteligencją, którą pani znasz, a która tylko z biegiem czasu się ułożyła, z niezmierną ciekawością życia i użycia, z wyobraźnią i fantazyą autora "Maryi" o lat piętnaście młodszego, ze zmysłami dziwnie na Polaka gorącymi a skierowanymi całą siłą ku kobiecie, z cynizmem, nabytym w europejskich kałużach a werwą, jaką daje kilka milionów, przeznaczonych na stracenie. Urwał, zamyślił się i podchwycił:
— Ah! zapomniałem! Przedstawiłem się pani w fatalnem świetle. Zapomniałem o jednym, zapomniałem o jednym tylko, to jest, o aberacyi umysłowej, która mi kazała każdą rzecz tego życia analizować i pytać "dlaczego"? I żyłem tak lat dziesięć, które minęły jak jeden dzień snu o dziwnie pięknych kobietach, za których pocałunek byłoby się dało życie, snu o jakiejś wymianie inteligencji, która zawsze jutro swoje ostatnie słowo miała powiedzieć, — snu w objęciach kobiety, którą się, nie wiedzieć za co i poco, bezmyślnie, bezmiernie kochało. Ze snu tego obudziłem się ze zdrowiem tak nadszarpanem, iżem się sądził być już na tamtym świecie, ale bez żalu za tym, tyle go już użyłem, — z fortuną tak zrujnowaną, iż resztki jej zaledwie starczyły na znalezienie się w tym salonie, w którym ty mnie poznać mogłaś, z umysłem tak wytrawionym i w ogniu życia spalonym, ale tak jeszcze żywotnym, iż ten stworzył jednym tchem "Maryę", która mnie rozbitka namiętności, ofiarę fizycznej rozpusty, postawiła znów w rządzie

ludzi, mających prawo bytu.

A obudziłem się wczoraj. A obudziwszy się i zaledwie poczuwszy w sobie jeszcze

siły żywotne, ciało, mogące siłą prawa młodości odżyć, mózg, mogący myśleć, mogący tworzyć, a nerwy, mogące drgać i serce, mogące

bić... spotkałem ciebie pani...

Zakaszłał i zamilkł. Bezmierna cisza zapanowała w komnacie, w której nic słyhać

nie było, tylko uderzenia serca Olgi i jej charakterystyczne westchnienia.

I cisza ta panowała nieskończenie długo. On był zmęczony i tem, co powiedział a

mówić nie lubiał i tem, co myślał, by to móżdż najkrócej wypowiedzieć.

Ona zaś była zmęczona tem, co usłyszała i tem, co jej to do myślenia dawało.

Oboje utopili oczy w ogniu kominka i bujali po światach, dalekich zapewne od

tego, w którym żyli. Oboje zdawali się cierpieć i cierpieć. Bo oboje czuli się

obopólnie ku sobie pociągani, a nie mieli jeszcze odwagi rzucić się sobie

bezmyślnie w objęcia. Wzrok Rowieńskiego tkwił wciąż w tlejącym ogniu, ale z

takiem wyteżeniem myśli, iż Olga, która często nań badawczo spoglądała, nie

mogła zrozumieć i odgadnąć przyczyn tej pochłaniającej go zadumy. Przypatrywała

mu się. Wyglądał, zdało się jej, demonicznie, a przecież rysy jego oblicza tak

były łagodne, tak spokojne, tak zmęczone... Sprawiałby przygnębiające wrażenie człowieka zblazowanego i spalonego, gdyby nie te oczy jego,

pełne rozumu, głębi i blasku młodocianej inteligencji, — gdyby nie te usta,

jakich ona nigdy nie widziała, z wargami namiętnymi, subtelnym rysunkiem

zgrubiałemi, do pocałunku stworzone i nęcące.
Hrabianka mu się przypatrywała, a on o tem może i nie wiedział.
Badała go fizycznie po raz pierwszy. Uderzyła ją jego czaszka
kształtna,
okrągła, jakby utoczona do uchwycenia w dwie niewieście dłonie.
Rowieński nie
był pięknym... ale mimo to głowa jego była tak szlachetną, tak
sympatyczną, tak
silnie odkrywającą finezyę schowanego w niej mózgu, iż przykuwała
oczy do piękna
tylko przywykłe, dysharmonją się brzydzące, w kulcie sztuki
wykształcone.
Rowieński nie był pięknym, ale taka harmonia panowała w całej jego
postaci, taka
jakaś okrągłość rysunku, niezdradzającego jednej ostrości, taka
miętkość barw i
tonów, taka męskość szlachetnych muszkułów w rozpuście nie
zanikłych, iż
interesował o wiele więcej, niż gdyby był klasycznie pięknym.
Olga dalej myślała i nie zastanawiała jej godziny, które mijały,
zostawiając ją
ciągle sam na sam z tym
mężczyzną, w półcieniu, za ledwie rembrandtowskim światłem
oświecającym ich
oblicza.
Był to typ ciekawy tego Jana z Gdowa i taki, jakim go sobie
wystawiała. Był to
typ nowy, tak rzadki, iż ona, która widziała tyle, niespotkała nic
podobnego.
Był to typ, który jednakże mimo to, zdawało się, jej, gdzieś widziała,
gdzieś
uchwyciła. Czy go sobie w wyobraźni stworzyła, czytając jakiś
romans, którego
bohatera autor zapomniał opisać? Czy ten był to ów Jan z Gdowa ?
Ale ona go gdzieś oddawna i dobrze знаła.
To był typ (In de siecle i dlatego jej się tak podobał może, bo ojciec
jej

przecież był raz powiedział, że i ona jest kobietą przyszłości. To był typ fin de siècle z tą inteligencją tak silną, iż odurzającą, z tą gorączką do życia i użycia, z tą namiętnością wieku pary i elektryczności, z tą subtelnością uczuć, wyrafinowaną w życiu Feuilletem, Mussetem i Bourgetem. To był typ schyłku wieku, którego cynizm zmusił do lekceważenia życia, któremu nauka kazała obalać odwieczne prawdy, którego pośpiech i gonitwa za jutrem zużywała. To był typ tego wieku, który się sam zużyje w tej pracy docieknięcia wszystkiego, zakosztowania wszystkiego. Gdy się obudziła z zamyślenia, Rowieński ją żegnał, trzymając zegarek w ręku, którego wskazówki stały na pierwszej po północy. — Przyjdź pan, jak dziś, jutro! — szepnęła, a w odpowiedzi na to uczuła na dłoni pierwszy pocałunek Edwarda, który palił jej delikatną skórę i który dreszczem, jakby prądem elektrycznym, przebiegł po całym jej ciele.

* * *

I tak codzień się schodzili i codzień zamknęci we dwoje, przy ogniu kominka, więcej milczeli, aniżeli mówili. A Odrowąż w swym gabinecie, położonym w drugim końcu apartamentu, to targał swą długą brodę, muskając ustami jej spiczasty koniec, to zakrywał twarz dłońmi i ścisnął głowę rękami, jakby chcąc ją zmusić do takiego wyteżenia myśli, iżby ta przeniknęła przyszłość. — Rowieński będzie mężem jego córki, czy też tylko jej admiratorem ?

Biedny starzec cierpiał szalenie, odkąd Edward spędzał długie wieczory w jego domu, tam w pokoju odległym, od którego on wszystkie drzwi zamykał, by nic nie słyszeć, by mózgiem nic nie wiedzieć. Nie przypuszczał nigdy, by go córka na takie naraziła cierpienia — ona dotąd ekscentryczna, ale... Nie pamiętał, aby w podobny sposób jakimkolwiek kiedy zachwycała się mężczyzną. A więc teraz nie mógł nic z jej fizyognomii wyczytać, on co w obliczu Olgi czytał jak w otwartej książce. Czy go obawy i podejrzenia zaślepiły, odbierając mu moc krytyki i przenikliwości? Czy też. Olga się tak skupiła i zamknęła w sobie, w pracy swego serca i mózgu, w ogniu swej namiętności, której ślady widział wciąż w zmęczonym obliczu córki. Czuł się nieraz tak tem pytaniem zmęczony, iż wolałby wszystko, niż tę wątpliwość. Wolałby może już wiedzieć, iż jego całego życia praca chybiła celu, iż zrobił jedno, wielkie, olbrzymie fiasko. Bo on szczęścia Olgi nie myślał seryo nigdy okupić zdeptaniem przez nią praw społecznych, kierujących od wieków ludzkością. Wolał, przyznawał to z rozpaczą, by Olga szczęście kupiła sobie jakąkolwiek inną drogą, niż niefortunnym małżeństwem, ale rezultatu tego nie przypuszczał nigdy. Cierpiał, a Odrowążówna zdawała się nie widzieć ani domyślać jego cierpień. I najspokojniej, z tą pozorną apatyą teraz większą niż kiedykolwiek, codzień przedłużała posiedzenia z Rowieńskim, który sam nieraz był zażenowany swoją rolą w tym domu, między tym poważnym ojcem a tą drgającą namiętnością kobietą.

Nieodpowiadała mu na jego pytania, a on o odpowiedź nie prosił.
Wolałby może
usłyszeć odmowę, bo chwilami bał się formalnie tej kobiety, od której
czuł to
gorąco, tak piekące, iż musiało niebawem płomieniem buchnąć. Czyż
on był dla
niej V On zużyty, zniszczony. On czujący w sobie jeszcze tyle sił, by
szaleć
namiętności zrównać się z tą kobietą, ale nie na długo.
On czuł, że miłość ta, która jego i ją ogarniała, ostatecznie powaliłaby
go, a
ją może jeszcze nie zadowolniła.
On się bał chwilami, bał śmiertelnie, by Olga mu nie dała odpowiedzi
na dawne
pytanie.
Czuł to i wiele jeszcze, ale siła, która go do tej kobiety ciągnęła, była
silniejszą od wszystkiego. Gdyby był o rok, dwa, młodszym, byłby ją
już dawno
miał. Jeżeli dotąd nieposiadł Olgi, to dla tego tylko, że namiętności
jego
jeszcze zupełnie nie odżyły po ostatnim ich zużyciu, że ona obudziła
w nim prócz namiętności jeszcze jakieś inne obce mu prawie uczucia,
które
głuszyły jego zmysły i morfinizowały je niejako, pobudzając do
silniejszego
drżania mózg i to serce, które dotąd uważał tylko za węzeł czysto
zmysłowych
nerwów. Raz zapytała go Olga:
— Nie mówiłam nic nigdy z panem o małżeństwie.
— O małżeństwie?
— Tak! o małżeństwie.
Kowieński długo milczał, tak długo, iż hrabianka westchnęła i
zagadnęła:
— Nic pan nie powiesz?
— Nie wiem... — podchwycił, ożywiając się Edward — małżeństwo
dotąd uważałem za
filisterski sposób wyzyskania życia. Nigdy nie myślałem się zenić...
chyba przez

posłuszeństwo dla ubóstwianej kobiety. Dotąd żadna odemnie tego nie zażądała,

stąd też i nad małżeństwem się nie zastanawiałem.

I gdyby nie ciemność, panująca w pokoju, gdyby Olga twarzy swej z pod światła

kominkowego ognia nie uchyliła, byłby mógł Rowieński zauważyć wyraz przestachu,

pokrywający jej oblicze. Po chwili zapytała:

— I teraz nawet pan nad małżeństwem się nie zastanawiasz?

— Owszem! Głęboko nad niem myślę i doszedłem do wniosku, iż jest dziwnie

niesprawiedliwą instytucję, łącząc po największej części dwoje istot, bardzo

rzadko fizycznie i moralnie dobranych... Owszem głęboko nad niem myślę od

pewnego czasu i przeraża mnie ono. A chcąc wyjść uczciwie z błędnego koła tych

myśli, nie widzę rozwiązania przedmiotu, tylko w bardzo wyjątkowych razach

— Te wyjątkowe razy? Edward zamyślił się.

— Gdy się dwoje istot spotka ze sobą, tak ku sobie wzajemnie pociąganych, tak

sobie pod każdym względem odpowiadających, tak intelektualnie dobranych, iż

obie nie widzą możliwości życia bez siebie, a czują się zdolnymi do abdykacji

dla tej spółki z wielu rzeczy... wówczas mogą się żenić...

— Do abdykowania z wielu rzeczy? — zapytała prawie przerywając Olga, czego nigdy

nie czyniła. Rowieński spojrział na nią ze zdziwieniem i odparł:

— Tak pani! Przedewszystkiem do abdykowania ze zaspokajania swych namiętności.

— Nie rozumiem pana...

— Wierzę!

— Dlaczego ?

Tu się Edward zapalił i ciągnął: — Bo należysz pani do tych kobiet, które

małżeństwo fałszywie pojmują. Zdaje ci się, iż szął ten, który cię
kiedyś rzuci
w objęcia mężczyzny i stulą ci zwiąże twoją rękę z jego dłonią, będzie
czemś
wiecznotrwałem, a przynajmniej... długotrwałem. Otóż nie! Szął ten
namiętności
mija bardzo prędko, a są mężczyźni, którzy tylko chwilę tego szalu za
życie
uważają, a są kobiety, które końca szalu nie przypuszczają. Wtedy,
wtedy...
niewierności i niezadowolenia, żale i zawody... szarpanie i ofiary.
Otóż w takim
razie tylko małżeństwo jest uzasadnione, gdy dwoje istot czuje się do
siebie
pociąganyymi nie zmysłami, tylko temi jestestwa ludzkiego fibrami,
które są od
zmysłów silniejsze, które się życiem nie zużywają. One to są temi
strunami,
które zachowują, swą świeżość i które małżonków dalej łączą już nie
zmysłami, bo
te u jednego lub drugiego się stargały lub zbladły, nie konwenansami,
bo te są
pętami, które wykształcony człowiek targa, nie koniecznością, bo ta
jest
kajdanem, który wpija się aż do wściekłego bólu w ciało człowieka,
myśli i
subtelne uczucia, tylko...
— Tylko?
— Tylko pociągiem płciowym inteligencji.
Nastąpiło milczenie. Olga prawie nie zrozumiała Edwarda, ale go nie
pytała,
wiedząc, że on tłumaczyć nie lubi. Zatopiła się, w zamyśleniu, które
trwało
długo, a oblicze jej pokrył rozpaczliwy wyraz zwątpienia.
— Nie rozumiem pana — zagadnęła — pociąg płciowy inteligencji
nie pociąga za
sobą małżeństwa.

— Pani mnie nie rozumiesz — przerwał Edward z werwą — pociąg ten jest tylko czystą elokubracją mojego mózgu i wyradza się, dopiero z tych wszystkich moralnych i czysto zmysłowych czynników, które nieprzepartą siłą dwoje istot łączą. Otóż tę nieprzepartą siłę zbadaj pani, zanim komukolwiek rękę swą oddasz. Zmysłom samym się oprzesz, zachwyty inteligencji nie oszołomią cię do utraty przytomności, ale te dwie siły razem? Te dwie siły razem rzucają cię dopiero w objęcia człowieka i nigdy mocy ich żałować nie będziesz, jeśliś dobrze charakter ich i genezę zbadala..... Na zmysły mężczyzny kobieta szybko przestaje działać i staje mu się obojętną lub nawet wstrętną, jeśli nie pozostanie dlań potrzebą całego jego moralnego jestestwa i wspomnieniem jego... jedyne, najgorętszego szału.

— To — podchwyciła Olga — napisałeś pan w "Maryi", ale ja się z tem nie zgadzam...

— Więc pani byś sądziła, że szału, który by dwoje istot dzisiaj splótł w namiętym uścisku zmysłów niepohamowanych, może długo istnieć i może być rozumnym motywem małżeństwa?

— Może...

— Ha! ha! ha!

I znów ucichło między nimi.

Więc ten człowiek, myślała Olga, wlepiając w Kowieńskiego swój przenikający, głęboki, namięty wzrok — myślał ją przestać kochać za rok, dwa... i sądził, że zaspokoi tą miłością czasową wszystkie jej pragnienia i żądze wspomnieniami krótkotrwałego, choćby zapamiętałego szału i pociąganiem ku niemu jej

inteligencji, czyli raczej jestestwa...

O nie! Ona pragnęła miłości aż do jej zużycia się w tejże... Ona,
gdyby mu się
raz oddała, toby żądała wciąż tego samego gorąca pocałunku, bo by
go wciąż
równie rozpalonemi wargi całowała.

Oh! nie! Albo się mylił, albo jej nie kochał.

Ona się nie myliła.

A Rowieński siedział, na pół leżąc w fotelu i myślał z przestachem,
że jeśli

się nie oprze pokusie pozostania
dalej przy tej kobiecie, to ją kiedyś uchwyci w swe objęcia w takim
uścisku,

który z niej zrobi jego kochankę.

Bał się tej myśli. Ale pocóż onago wzywała, jeśli żoną jego zostać nie
chciała

Wszakże jej nieraz mówił, że namiętność u niego była dotąd
huraganem, ślepym,

bezczelnym, przesilnym... Wszakże czuć była powinna, iż w danej
chwili spleciona

w jego gorącym uścisku byłaby tylko zmysłową kobietą, zmysłową do
utraty woli,

siły, pamięci i czucia.

* * *

A wieczora tego także więcej milczeli niż mówili. Oboje mieli
skłonność w sobie

ku kontemplacyi i oboje mieli, znajdując się razem, tyle do myślenia o
tem, co

czuli, że na rozmowy za mało było czasu.

Ale wieczoru tego jakoś bliżej siebie usiedli, tak blisko, iż Kowieński
chwilami

czuł gorąco, buchające od kobiety, a ją zalatywał zapach jemu
indywidualny,

czasem tak silny, iż. pytała się siebie, czy nie używa pachnidła.

A światło kominkowego ognia ich oświecało jak dwa flamandzkiej
szkoły portrety i

już to bladło, już błyskało. A ile razy drzewo płomieniem zaświe-
ciło to zastawało namiętne oczy Olgi wlepione w oblicze Edwarda i
pytające

szczerze, wyraźnie, czemu on tak daleko od niej usiadł.

I ona pochyliła się na swoim siedzeniu ku niemu i on opuścił swą
rozpaloną głowę

w jej stronę, jakby mimowolnym ruchem.

Potrzebowali się jeszcze tylko nieco zbliżyć, aby twarze ich się
spotkały, by

usta ich wzajemnie się zetknęły.

Ale się nie zbliżali. On siłą może tego nieuchwytnego uczucia, które
go

ogarniało przy tej kobiecie; ona siłą dumy, niepozwalającej jej rzucić
się

pierwszej w jego objęcia.

Nagle Olga westchnęła i szeptem, z trudnością uchylającym jej
namiętnością

gorejące usta, zapytała:

— O czym myślisz?

— O czym myślę? ha, ha! Myślę o tem, że dziwnymi są ci mężczyźni,
którym jakaś

wszechpotężna siła ugina kolana, by nimi rzucić do nóg kobiety, a
którzy jej

opór stawiają, jakby się tej siły bali, czy jakby jej niedowierzali.

Myślę o

tem, że głupimi są oni, dając się pożerać namiętności, która ich i tak o
bezprzytomne przyprawi szaleństwo, która im i tak do przesilnego
namiętnością

uścisku roztworzy ramiona. Myślę o tych isto-

tach, które godziny długie spędzają, przy sobie, nic sobie nie mówiąc,
bo już

oddawna tylko iedno do powiedzenia sobie mają, a zwlekają z tem,
jakby czas

mieli w swych rękach, jakby jutro do nich należało. Myślę o tych
istotach, które

dobrowolnie, jak sybaryty namiętności, rozgrzewają do gorąca żelaza
w sobie te

zmysły, których siłę czują, o których sile nie wątpią, że ona ich w jednym uścisku złączy, im później, tem bardziej spalonych żarzącym się w nich ogniem.

Myślę o nich... Olgo...

Urwał szeptem, głowę bezwiednie pochylił i oblicze jego dotknęło rozpalonej twarzy Olgi... ręce się ich splotły... usta się skleiły...

I tak długo spoczywali obopólnie sobie w objęciach, oboje jakby śpiący, spleceni w jednym długotrwałym uścisku, z ustami złączonemi jednym pocałunkiem

Edward obsunął się na ziemię, ramiona zarzucił na szyję kobiety, głowę swą oparł na jej kolanach, a ona wyprężonemi jak struny rękami zdawała się opierać na jego głowie, by razem z nim nie stoczyć się na dywan pokrywający podłogę.

Ale te ręce co chwila się w łokciach zginały, kolana jej zbliżały się do ziemi, do kolan klęczącego Edwarda, a oblicze jej coraz bliższem było rozpalonej jego głowy..

— Olgo ! Ja cierpię ! ja cierpię szalenie... — szeptał Rowieński — zbliż się, chodź tutaj... nie broń się, bo się nie obronisz, czuję to, wiem... Tyś tą samą siłą ku mnie pociągana, jaką ja ku tobie, ty musisz być moją, ty już nią jesteś, ty byś już nią była, gdyby nie obce mi uczucie, uczucie uchodzenia w twych oczach za człowieka panującego nad sobą... Ale ja nie zapanuję... ja. Tu zakaszlał i szeptał:

— Cierpię.. tak cierpię... Mnie kochać nie wolno. Mnie pożądanie ciebie zabije...

I ręce Olgi się złamały i zaraz ciała ich złączyły się w jednym uścisku a namiętność ich oboje onieprzytomniła.....

Ogień tlejący na kominku prysnął i i buchnął płomieniem. Hrabianka się obudziła i ujrzała z rękami, otaczającymi szyję Edwarda, z jego oczami wlepionymi w jej źrenicach z takim wyrazem, jakiego nigdy nie pamiętała, z jego ustami z siłą żelaza do jej ust przyległymi. Zerwała się jednym wysiłkiem elastycznego ciała i stanęła nad bezprzytomnie leżącym Edwardem, uwolniwszy się z jego objęć, ale pozostawiwszy swe ręce w jego dłoniach. — Wstań... wstań! — prosiła. — Olgo.... Olgo! — błagał Rowieński szeptem tak namiętym, iż zdało się kobiecie, że całą duszę w błaganie to włożył. A oblicze jego wyrażało takie cierpienie niezaspokojonej a szalonej namiętności, iż się bała, aby przeżył tę chwilę, on... jeszcze słaby... — Wstań! — powtórzyła, usiłując go podnieść szeptem mającym dykcję bezmiernej miłości — wstań !.. będę twoją ale wpierw jedno... Edward nie miał siły wstać, więc Olga usiadła na jego krześle, głowę mu na swoich kolanach położyć pozwoliła a dłońmi swojemi usiłowała ostudzić rozpalone jego czoło i policzki. — A więc tak... — mówiła — będę twoją... ale wpierw mi obiecasz jedno... — tu głos jej nabral nieco siły i ciągnęła — my mamy inne o miłości pojęcia, inne na małżeństwo poglądy. Będę twoją, jeśli mi obiecasz, że z dniem, w którym mnie tym co dziś uczuciem kochać przestaniesz, wolność mi zupełną powrócisz, że z dniem, w którym byś innej zapragnął kobiety, zwolnisz mnie.... ze wszystkiego! Urwała, bo z wysiłkiem mówiła, a Edward milczał.

— Obiecujesz ? — zapytała.

— Czyż ty nie widzisz szalona ? — nie czujesz, że obiecałbym
wszystko, wszystko
i na całe życie, byle cię mieć tylko ?

— Ale czy dotrzymasz obietnicy, raczej przysięgi głównej naszego
połączenia? Czy
dotrzymasz i bez żalu nieograniczoną mi powrócisz wolność w dniu,
w którym mnie
kochać przestaniesz ?

— Czyż ja mogę przestać cię kochać, ciebie? ciebie Olgo?...

— A więc obiecujesz ?

— Ja cię kochać chyba przestanę z ostatnim tchnieniem mych
zmysłów.

— A więc obiecujesz ?

— Obie... cuję...

Nastąpiło milczenie. Olga jeszcze myślała, a on pokrywał
pocałunkami jej rękę,
które nerwowo posuwały się po jego twarzy i głowie i paliły go jakby
rozpalone
żelazo.

Chciał znów pociągnąć ją ku sobie i twarze ich znów się spotkać
miały, gdy
hrabianka powstała i pociągnęła go za sobą.

— Wstań! — prosiła — Edwardzie... wstań i chodź za mną.

Rowieński z wysiłkiem się podniósł. Ta natura zmysłowa,
namiętnościami
osłabiona, chora... nie mogła przerzucać się z łatwością ze świata w
świat.

Olga ruszyła pierwsza i uchyliła drzwi od przyległego pokoju,
będącego jej
sypialnią. Światło rześiste, bo hrabianka nie znosiła półcieniów,
buchnęło z
komnaty i tak ją samą, silną, oszołomiło, iż przystanęła w progu, by
się połapać
i ochłonać.

— Jakże to różne światy — szepnęła — świat wyobrażeń i zmysłów,
a ten...

— A ty marzysz o ich pogodzeniu — odparł kroczący za nią Edward,
głosem
wysilonym, z zaschniętego gardła płynącym.
Weszli oboje. Ona usiadła przy swej toalecie. On przy niej na fotelu"
jakby
upity, jakby po jakichś zapasach, jak chory...
Olga jęła poprawiać nieporządki swej toalety i przyglądała się odbiciu
swego
obrazu w lustrze z największą, ciekawością. Bo jakże ona była inna,
jakże oczy
jej błyszczwały a otoczyła je zmęczenia obwódka. Jakże usta. jej własne
ją
dziwiły.. Po obu ich końcach utworzyły się dwie zmarszczki, zupełnie
jej
nieznane dotąd, a zmieniające tak bardzo wyraz posągowy jej twarzy.
Rowieński jej się przyglądał, ale już bez żaru w oczach. Spokój
kobiety go
zastanawiał do tego stopnia, iż ochłaniał. Co ona czynić zamierzała ?
Po co go
tu sprowadzała? Po co ta obietnica? Po co ta kokieterya?
— Która godzina? — zapytała.
Edward był tak zmęczony, tak zdenerwowany, iż niemal z trudnością
dobył zegarka
i odparł:
— Północ.
— Północ... — powtórzyła i wstała, jakby się jej spieszyło. Jeszcze
raz rzuciła
oczyma w duże lustro, gestem niedbałym, sobie właściwym,
poprawiła pukle swych
włosów, ułożonych na czole i rzekła ruszając:
— Chodź za mną...
— A pocałujesz mnie raz jeszcze dzisiaj ?
— Pocałuję...
Mijali kilka pokoi. Ona szła naprzód, on za nią. Wreszcie uchyliła
drzwi, za
którymi znaleźli się w komnacie Odrowąża. Hrabia siedział przy
dużym stole i

czytał. Wstał na ich powitanie ze swym wyrazem spokoju na obliczu, który jednakże tym razem zdradzał ukrywane zdziwienie, zastępujące troskę, dzielącą na dwie połowy czoło.

Spotkali się w środku komnaty. Hrabia zdobył się na uśmiech z trudnością, którą Rowieński zauważył, bo graniczyła ona z cierpieniem, ale on nigdy inaczej córki nie spotykał.

— Przypomniałaś sobie o starym ojcu — zagadnął — bo go bardzo w ostatnich czasach zaniedbałaś.

Olga w odpowiedzi zarzuciła mu na szyję swoje ręce, popatrzyła mu w oczy, następnie jedną rękę opuściła z ramienia ojca, a wyciągając ją do Edwarda, milczała chwilę, jeszcze go badając.

Wreszcie rzekła:

— Twój syn!

* * *

I zaczęły płynąć dnie, jakby potok z dwu rzek ze sobą w wylewie połączonych, szaleń twoch bezmiernych namiętności, dwóch rozbujających wyobraźni, dwóch pokrewnych sobie a rozszalałych inteligencji.

Przyspieszono ceremonię zaślubin do możliwie krótkiego terminu, a ta miała się odbyć w Wenecyi, bo morze lubiał Rowieński, w kościele św. Marka, pokrytym kameliami, bo kamelie lubiała Olga.

A narzeczem, jak w powieści z tysiąca i jednej nocy, fantazowali o programie dnia tego, który w wyobrażeniach rozkiełzanych naturą ich i namiętnością, niehamowanych żadną zaporą, przybierał znaczenie wypadku dziejowego,

nie dziejów, nie kronik, lecz namiętnych, schyłku tego wieku"
wyrafinowanych, w
sztuce rozmiłowanych, za oryginalnością goniących serc. Tarcze
herbowe z kwiatów
miały pokrywać olbrzymią nawę kościoła św. Marka, bo arystokratą
był Rowieński,
a kwiaty lubiała Olga.
Fiołkami miał być zasłany stół uczyty weselnej, bo tak stało w jednej z
powieści
Jana z Gdowa, a zachodziła obawa, by w cieplarniach wszystkich
stolic fiołków
nie zabrakło, bo nadmiar wszystkiego i wszystko en grand lubiała
Odrowążówna.
Suknia ślubna miała być szyta z. pereł, bo perły lubiał Edward, a
szablonu nie
znosiła Olga.
Gondolę, mającą ich przewieźć z kościoła do jednego z ad koc
kupionych pałaców,
miał wyrzeźbić Brodzki,. bo krajową sztukę wspierał Rowieński, a
Olga przepadała
za nią właśnie w przedmiotach użytku.
A Bourget miał wznieść toast na cześć państwa młodych, bo Bourgeta
lubili
oboje, a stary Odrowąż podjął się jechać do Paryża, aby go poznać i
zaprosić.
A miesiące miodowe spędzić mieli na yachcie, który na gwałt Anglicy
robili w Mentonie, bo Olga zazdrościła wrażeń pierwszej kochance
Edwarda, a tego
mózg tylko morze uspakajało, a on chciał widzieć tylko Olgę i nic
więcej.
Po sto dziennie wysyłali telegramów, każda fantazyja musiała być w
tej chwili
wykonaną, a im oryginalniejszy był pomysł, tem większą wywoływał
do wykonania
werwę.
A Odrowąż godziny poświęcał regulowaniu tych zachcianek
ukochanej córki z pogodą

na czole, pod którąby nikt nie odgadł trawiącej go troski o jutro,
wysyłał
krociowe przekazy i czeki na banki londyńskie, paryskie i włoskie,
pytając się
tylko ciekawie, do jakiego stopnia olbrzymie fantazyje mogą naruszyć
olbrzymie
fortuny.

— Papo! — zapytała go raz Olga — ile mogą kosztować nasze
zabawki?

— Milion już, dwa może, jeśli dobrze pójdzie..,

— To dużo?

— Na Europę bardzo dużo.

— Więc i na nas za dużo.

— Na ludzi zapewne! Na artystów... nie...

— Przecież raz tylko się człowiek żeni — odparła Olga i zażądała
równocześnie,

aby Odrowąż dał Rowieńskiemu jako podarek ślubny zegarek tak
wysadzany

kamieniami i takimi,

aby tenże stanowił prawie dużą fortunę.

— Dużą fortuną? — zapytał prawie z przestachem hrabia.

— Tak! — dużą polską fortunę.

— A Ia bonheure! — zawołał Odrowąż, obejmując wzrokiem oblicze
córki, z którego

wyrazu, zdawało mu się, czytał myśl i cel, tkwiące w tem życzeniu.

I zaraz napisał do Briqueta, aby sporządził zegarek taki, iżby tenże w
każdej

chwili faktycznie i dla każdego wart był milion franków. On mógł za
niego

zapłacić i więcej.

Ten szalony wir życia nie przeszkadzał staremu Odrowążowi w
głębokim

zastanawianiu się nad młodą parą, której fantazyja żadnych granic nie
miała. Nie

dziwił się jej, bo któżby, jeśli nie oni, mógł zaspakajać i

urzeczywistniać

marzenia. Rowieński beletrysta, Olga namiętna zwolenniczka piękna,
oboje razem

obopólnie się podniecający i tworzący.

Jeśli zaś urzeczywistniali, to siebie przedewszystkiem winiłby o to, siebie,

który sypał na ten cel krociami. Czynił to jednak bez żalu za ulatającem złotem,

wiedział bowiem dobrze, że tylko przesycenie się jego widokiem i dźwiękiem

uspokaja pożądanie tegoż. Dopóki szalone wybryki młodej pary nie czyniły poważnego uszczerbku jego kolosalnej fortunie, cieszył się niemi

prawie. Nie miał sposobności dotąd oswojenia córki z milionami, których miała

być dziedziczką, a wiedział, że to jedno mogło ją tylko na przyszłość zabezpieczyć. To też wolne chwile poświęcał wyłącznie psychicznym studjom nad

Rowieńskim i nad Olgą, odkrywającą mu w tej epoce osobę prawie nową w sobie.

Edward nie przedstawiał mu wiele trudności i pozwalał się zrozumieć i poznać.

Była to nawskróś artystyczna natura, oddana wyłącznie i jedynie bałwochwalczemu

kultowi zmysłowego piękna. Po za tem nic dla niego nie istniało" prócz świata

własnej jego wyobraźni, w którym bujał i w który przenosił namiętniejszą od

niego w urzeczywistnieniu Olgę, bo więcej realistkę.

Zakochany szalenie w hrabiance tem uczuciem, absorbującym wszechpotężnie ludzi

jego ustroju, żył nią tylko i bawieniem jej apatycznej a chciwej wrażeń, jej

próżniaczej a namiętnej natury. Stąd to płynęły szalone, zadziwiające niemal

Europę wybryki. Rodził je mózg pełnego fantazyi autora, a zyskiwały one aprobatę

zakochanej i ciekawej kobiety, urzeczywistniały zaś je miliony Odrowąza.

Studjum to dla Odrowąza było tak ciekawem, iżby je jeszcze drożej chętnie

opłacił. Rowieński robił na nim w tem wszystkim wrażenie autora,
tworzącego dla
przyjemności tworzenia, a bez aspiracyi wykonania. Ile razy podsunął
Oldze nowy
projekt, który ją naturalnie do natychmiastowego wykonania go
zapalał, popadał w
chwilowe zdziwienie, iż chciało się komuś projekt taki wykonywać. I
w tem
wszystkiem hrabia nie mógł własnej córki zrozumieć. Raz mu się
zdawało, że ona
się bawi tem niebywałem, artystycznym przygotowywaniem swych
zaślubin, to znów
sądził, że czyniła ona to wszystko tylko z chęci przypodobania się
narzeczonemu.
I to drugie zostawało więcej w harmonii z charakterem kobiety,
mającym pogłębię
nawskróś filozoficzne, odurzonej jednakże głębokiem i namięttem
uczuciem.
Odrowąż nie przypuszczał, aby córka jego mogła być tak rozkochaną,
jak była w
Rowieńskim. Zapatrzona w niego, przebywała w niemej kontemplacyi
swej apatycznej
natury całe godziny nieraz, zadowolając się zupełnie poczuciem
szczęścia, jakie
jej sprawiała sama obecność tego człowieka. Bo Rowieński, jak
wszyscy poeci,
miewał częste chwile przygnębienia i zwątpienia, jakieś paroksyzmy
tra-
wiących go wewnątrznie niepokojów, jakieś tęsknoty twórczych dusz.
Wtedy zmysły
jego marły uśpione pracą, wyobraźni, stawał się małomówny,
umysłowo nieobecny,
roztargniony, nieraz przykry i niezrozumiały. Odrowąż rozumiał te
momenty, ale
ich nierozumiała Olga. I hrabia cierpiał, widząc cierpienie córki, jakie
jej
zadawała wytężona praca mózgu, aby zrozumieć tego człowieka w
takich chwilach, w

których dla niej stawał się nieuchwytnym i dlatego może jeszcze droższym,
jeszcze bardziej kochanym.

— Słuchaj Edwardzie — mówiła raz do narzeczonego przy ojcu —
jakże ja bym cię
kochała, gdybyś nie był autorem.

— Cóż na to poradzę? — odparł jej melancholicznie.

— Przecież ja Rowieńskiemu oddałam mą rękę, a nie
powieściopisarzowi.

— Wypędź go więc ze mnie.

— Oh! jakże bym to chętnie uczyniła. Bo o czym ty myślisz? O czym?
Ty może

tworzysz sobie inne kobiety? Wiedźże więc, iżbym ci nigdy nie
pozwoliła stworzyć
innej prócz mnie niewiasty. Albo pisać nie będziesz, albo pisać tylko
będziesz o
mnie...

Rowieński zamyślił się. A Odrowąż z chmury na jego czole wyczytał
myśl jego. I

on się bał, by ta kobieta nie
była nieodpowiednią dla jego twórczej duszy, by wyłącznością swoją
nie narażała

jego duszy twórczej na cierpienia

Ale, jeśli cień tej troski rozpędzało w Edwardzie jedno dotknięcie
dłoni Olgi,

jedno jej namiętne spojrzenie, to nie tak łatwo się to działo w
Odrowążu.

On się bał tego ognia swej córki i pytał trwożnie: czy go moralnie i
fizycznie

ugasić potrafi Kowieński?

To była wielka troska hrabiego, wieczne pytanie, narzucające się jego
mózgowi. I

odpowiedzi nań nie znajdował i nie widział możliwości przeniknięcia
przyszłości.

Liczył tylko na to, że Edward potrafi swą inteligencją, mającą w
sobie coś

demonicznego, opanować zmysły i pojęcia kobiety, że potrafi je
odpowiednio do

swych widoków i celów nagiąć i że niemi zawładnie, choćby obalamucając je tylko.
Liczył na to, ale nie był tego bynajmniej pewnym, ani nie żywił też co do tego uzasadnionych nadziei. Jego córka była charakterem a charaktery — twierdził Odrowąż — są kwadratami stali. I te walczą odpowiednie maszyny, ale czy artystyczna inteligencja jego zięcia będzie tą maszyną., dość wyrafinowaną i mistrzowską, aby giąć stal nie siłą, ale sztuką?
Najwięcej jednak zastanawiała Odrowąża zmiana zaszła w Oldze. Ta kobieta od pierwszej chwili, w której jej serce prawdziwie zabiło uczuciem, traciła powoli wszystkie wybitne cechy swego indywidualizmu i stawała się jakby echem Rowieńskiego. O ile dotąd chciała coś i umiała coś chcieć w życiu, o ile miała swoje własne o rzeczach i świecie wyobrażenia i pojęcia, o tyle teraz stawała się istotą bierną w najzupełniejszym słowa tego znaczeniu. Pograżała się w tej apatii namiętności, w tej apatii odrębnej kreolki, z którą dotąd różniactwo miała tylko wspólne. Zaledwie miała dość energii i siły, aby brać udział w wykonywaniu życzeń Edwarda, o ile ich sam nie wykonał hrabia. Nietylko nie była zdolną do żadnej samodzielnej akcji, ale cierpieniem dla niej większym niż kiedykolwiek była samodzielna myśl i uchylała się jej stale. Ile razy Odrowąż ją o coś zapytał, o coś osobiście ją dotyczącego, choćby to było białym i nie wymagało zastanowienia, Olga zdawała się na Rowieńskiego odpowiedź.

Odrowąż rozumiał tę bierność kobiety w tych chwilach i jej genezę.
Jeśli ona
jednakże była przyczyną nie-
jednej chmury na jego czole, to z tego względu, że w Rowieńskim
niewidział tych
cech charakteru, których kobieta tak rozumiejąca miłość i
małżeństwo,
potrzebowała. Rowieński był artystą, artystą do szpiku kości, pełen
oryginalności, która oszałamiała Olę, pełen namiętności, która ją
zachwycała,
pełen rozumu, który ją intelektualnie podbijał, ale też był filozofem
nauczycielem, nie przywiązującym, do niczego znaczenia i wagi, nie
zdolnym do
wysiłków woli, lekko traktującym najpierwsze realne podstawy
stworzenia,
epikurejczykiem z wyższego zapewne, ale w wielu razach
nieodpowiadającego żadnej
kobiecie, stanowiska zapatrującym się na te rzeczy świata, którym
jeszcze dwie
półkule hołdowały.
I gdy hrabia przenikliwym wzrokiem myśliciela zapuszczał się w
przyszłość, drżał
na myśl jednej z tysiąca możliwych kolizyj, która musiała przecież
kiedyś tych
ludzi postawić oko w oko z rzeczywistością, wymagającą energii i
woli, z
zagadką, mogącą być tylko rozwiązana siłą męskiego i absolutnego
charakteru.
Ale Olga o tem nie myślała.
Widziała w Edwardzie odpowiadającego jej fizycznie i moralnie
narzeczonego, a
nieprzypuszczała, by tenże
mógł być kiedykolwiek kim innym, niż kochankiem, szalenie w niej
zakochanym,
wiecznie jej pragnącym i nigdy nie nasyconym. Takim go mieć tylko
chciała ta
kobieta, którą ojciec wychował dla hasła, że "miłość jest wszystkim",
której

umysł do zrozumienia go wyrafinował i usubtelnił. Jedyłą jej troską
były zadumy
Edwarda, zdradzające, że myślał o czym innym, niż o terażniejszości,
podróże
jego wyobraźni po światach, w których ona mu towarzyszyć nie
mogła, te ciągle
dowody fatalnej prawdy, że prócz niej, było jeszcze coś na świecie, co
go
interesowało. To ją męczyło i trawiło.
— Czyż ja ci nie wystarczam? — pytała ciekawie, ale z nutą żalu w
głosie — czy,
gdy mnie masz, potrzebujesz jeszcze,.. myśleć?
— Któż myśl uwięzi?
— Kobieta kochana.
— Dziecko... — szeptał Rowieński i wypędzał myśli i oddawał się
pieszczotom
kobiety, tak gorącym, tak odurzającym, iż w nich rzeczywiście
przestawał być
autorem i był tylko... zwierzęciem.
Tak zbliżał się dzień ślubu, upragniony przez wszystkich. Odrowąż
chciał
odetchnąć i wyjść z tego wiru przygotowań, sprawiających mu cza-
sem wrażenie fantastycznego, a zmianami dekoracyj nużącego
przedstawienia
wielkiej opery paryskiej. Nie to tylko, ale Odrowążowi się zdawało,
że przyszły
zięć jego był już kochankiem jego córki. Jakkolwiek usunął z
programu swego
życia formy i konwenansy, to przecież nie widział potrzeby
wypowiadania im
bezcelowej wojny.
Pragnął uniknąć możliwego skandalu, który by mu nie był bolesnym,
ale nie mógł
być miłym dla człowieka, który wszystko przeprowadził w ciszy
czterech ścian
swego gabinetu, nie dając światu okazji do wglądania weń.
Oczekiwał dnia tego i Rowieński, coraz bardziej zdenerwowany,
nieograniczonego

posiadania kobiety spragniony, przygotowaniami znużony,
wymagającą wyłącznością
Olgi moralnie a podróżami fizycznie zmęczony.
Oczekiwała go i Olga jeszcze trwożna tym indywidualnym i
niezmiernie ciekawym
rysem znamionującym prawdziwie kochające kobiety, by jej się nie
wymknął ten
człowiek, któremu miała jednym słowem oddać swą szlachetną duszę
i całą siebie
wraz z milionowym majątkiem. Ona się bała, aby w ostatniej chwili
Edward nie
wolał swej cygańskiej wolności od te-
go wszystkiego, przestraszała ją bowiem ta twórcza w nim jego
wyobraźnia z
błyskotliwością iskry elektrycznej przerzucająca się z jednego na
drugie, wciąż
czegoś chciwa i wciąż za nowem wrażeniem goniąca, nową myślą
zastanowiona,
namiętności nowych uczuć spragniona.
— Gdyby on nie był autorem? — myślała Olga, przekonana, iż w
takim razie nic by
już jej, ale to: nic, do szczęścia nie brakowało, do tego szczęścia,
jakim je
ona pojmowała, opartego na obopólnem widzeniu w swych duszach
całego świata
myśli i wyobraźni.
Ale dzień ten miał nadejść niebawem.

* * *

Działo się to na yachcie, który z wywieszoną barwną flagą, z
Edwardem i Olgą, na
swym pokładzie, już od czterech miesięcy pruł fale morza
Śródziemnego, nie
oddalając się zbyt od wybrzeży, ale i nie zbliżając się też do nich
nigdy.
Rowieński lubiał pełne morze, lubiał tę ciszę i monotonię, te
niezglobione

przestworza, te niedoścignione okiem przestrzenie, tę olbrzymią,
nabawiającą
melancholji zwykle natury, nigdzie tak, jak na morzu,
nieuzmysłowioną wielkość i
powagę świata.

Oddychał pełną piersią. Ta zewnętrzna cisza i monotonia odpowiadały
dziwnie jego

organizmowi, który wewnętrznie paliły i drażniły namiętności
zmysłów i głowy.

Ta nieskończoność, ta bezmierność, w obec której wciąż widział
swoją i ludzką

nicość, uspokajały jego nerwy i jego myśli, które drgały
normalniejszym tempem,

pracowały z większym, ale mniej wysiłajacem, bo niczem
niemaconem, wyteżeniem.

Było mu dobrze na tym pokładzie statku, przezwanym "Fellicita", a
który prócz

nich dwojga, unosił panią Duclos i kapitana La Scali a, młodzieńca
wieku

Edwarda, jego przyjaciela, który też podróżował po Atlantyku razem z
nim i panną

Delille.

Było mu nad wszelki wyraz dobrze. Ciało i dusza jego się krzepiły, a
to

zadowolenie potrzeby ciszy, wielkości, nieuchwytności, która
stanowiła cechę

jego jestestwa, koło jego chore nerwy jego namiętnością drażnione
zmysły.

Uczucie jego do Olgi powoli przechodziło w spokojniejszą fazę. Jak
ta rzeka,

która w miarę zbliżenia się do morza, rozlewa się coraz szerzej, a
płynie coraz

wolniej, tak też i miłość jego do Olgi zyskiwała obce mu dotąd i
niezmiernie go

cieszące sympto-

maty. Namiętność stygła, ale rodziło się w nim głębokie przywiązanie,
a jakieś

spokojne, szerokie, mające stopniowo wzrastać i nieprzerwanie
płynąć, uczucie,
Było mu dobrze w tej samotności z Olgą i przyjacielem, bo nie znosił
gwaru, bo
ludzi pragnął tylko rzadko i na krótko.
I jedno tylko czasem zachmurzało jego oblicze, to podejrzenie, niczem
nieuzasadnione, że Olga nie podzielała jego szczęścia. Olga, nim tylko
żyjąca, w
źrenicach jego wyrazu zadowolenia śledząca? Ale zdawało mu się, że
kobieta
upadała pod jakimś niezbadanym, a przygniatającym ją uczuciem, że
uśmiechała
się czasem tylko siłą woli, że popadała w rodzaj apatyj, graniczącej z
melancholią. Próżno jednak usiłował jej wydrzeć tajemnicę głęboko
ukrytą, bo
głęboko ukrywaną. Olga odpowiadała mu na wszystko, że go kocha
szalenie i
bezwzględnie i że jego tylko życiem żyje, jego uczuciami czuje i myśli.
Czy tak rzeczywiście było. Czy też spokój morza nie odpowiadał jej
naturze, jak
wszystkim tym, które nie miały dość życia w sobie, aby echem tegoż z
zewnątrz
nie potrzebować się zasilać — nie wiedział.
Pewnego wieczoru a była to cudna noc sierpniowa, bawili na
pokładzie: on, ona i
przyjaciel. Morze było tak spokojne, iż statek za ledwie się kołysał,
powietrze
tak ciche, iż za ledwie się posuwał. Siedzieli od chwili już wszyscy
troje w
milczeniu. Rowieński rozglądał się po widnokręgu i zdawał się badać
tajemnice
nieskończoności. Olga wpatrzona była w jego oblicze a La Scalla
opuściwszy głowę
ku morzu badał jego fale i jak zwykle marzył, może o tem, co się
nigdy
urzeczywistnić nie miało. Nagle ocknął się i zagadnął, zwracając się
do
Rowieńskiego:

— Czy pamiętasz Edwardzie? Była to taka sama noc.
— Fale tak samo się układały i wzajemnie pokrywały.
— Gwiazdy tak samo świeciły, mewy tak samo nam towarzyszyły.
Tak było cudownie
na morzu a panna Delille znajdowała to straszne, okropne.
Rowieński uśmiechnął się.
— Pamiętam! Wtedy pierwszy raz otworzyły mi się oczy....
Urwał i umilkł.
— Na co? — zapytała Olga.
— Na to, iż my mężczyźni, gdy kochamy, jesteśmy ostatni w
sposobieniu, że
nieodpowiadamy ukochanym przez nas. Czy uwierzysz? —
zawołał z werwą, — ta kobieta nie znosiła morza, nie znosiła tej ciszy,
tej
powagi, tego ogromu? Nie znosiła morza tak, iż tych kilka miesięcy,
które na
statku spędziła, były dla niej pasmem męczarni, torturami, w których
mnie
znenawidziła....
— I nie okazywała ci tego?
— Oh! — zaśmiał się kapitan.
— Oh! aż nadto! — zawołał Rowieński. Musieliśmy pełną parą
powracać do Anglii od
chwili, w której nie była już w stanie odgrywać dla mnie komedii.
Ale czemuż
wyjechała? czemu...?
Urwał a Olga westchnęła nutą głosu, która zastanowiła Edwarda, bo
odwrócił głowę
i wlepił swój wzrok w blade oblicze żony.
Milczeli długo, aż Edward obudzony się z zadumy, zagadnął
przyjaciela:
— Czy ty, który podobnie jak ja, lubujesz się w badaniu tajników dusz
ludzkich,
nie zastanawiałeś się kiedy nad jedną psychiczną zagadką niezmiernie
ciekawą?
— Mianowicie?
— My zawsze tylko jedną prawdziwie kochamy kobietę.
— Nie rozumiem cię...

— Zauważ tylko! — podchwycił z tą werwą Rowieński, z jaką się brał
iedynie do interesującej pracy myśli — zauważ tylko kobiety dwie,
trzy, czy
cztery, które mężczyzna prawdziwie kochał. Będą to te same kobiety.
Mogą one być
całkowicie inne, jedna z nich może być kokietą, druga wielką panią,
jedna
chłopką, druga literatką, jedna blondynką, druga brunetką, ale typ
niewieści
będzie ten sam... 'Tu się zapalił, podniósł skalę swego dźwięcznego
głosu, który
rozbrzmiewał daleko po morzu i ciągnął:
— Będzie to pokrewna inteligencja, będzie to ta sama w swym
rdzeniu natura,
będzie to podobnem tempem bijące serce, będą to analogicznie
powiązane nerwy.
Dalej będzie często nawet pewne trudno powierzchownie
dostrzegalne, ale głębiej
patrzacemu nieuchodzące uwagi podobieństwo fizyczne, jeśli nie
rysów i oblicza,
to ruchów, sposobu mówienia, czy głosu, tych tysiąca znamion,
którymi dusze na
zewnątrz się zdradzają! Pomyśl!
La Scalla zapuścił wzrok w bezdeń i myślał.....
Tak! Rowieński był inteligencją nadzwyczajną, wszystko poddawał
pod mikroskop
myśli i pracy mózgu.
Tak! Nie mylił się. Widział to i on z własnego doświadczenia. Jego
pierwsza
miłość, Marya z ulic Neapolu, była oczywiście siostrą moralną kobie-
ty, którą poślubił lat temu dwa i która czekała jego powrotu w
Palermo..
Milczeli wszyscy, bo uwaga Edwarda wszystkim snać do myślenia
dała.
La Scalla dalej dumał, bo nie próżno był jedynym przyjacielem
Rowieńskiego.
— Ale skąd jemu ta myśl przyszła teraz?...

Nieznacznie puszczając kłęby dymu z cygara, przypatrywał się Oldze, błędzącej
wzrokiem po zasianym gwiazdami firmamencie.
Tak! Rowieński się nie mylił. Olga była tym samym typem kobiety,
co panna
Delille... wyższym naturalnie, o wiele wyższym... ale tym samym!
Tanta morza nie znosiła i ta go nie lubiła...

Kapitan statku "Fellieita" oparł głowę o poręcz pokładu i zatopił się w
myślach.

Gdy się obudził, rozejrzał się dokoła i spostrzegł z największym
zdziwieniem, że
Edward sam tylko był przy nim.
— Nie zauważyłem, — szepnął — że twoja żona udała się już na
spoczynek.
Rowieński podskoczył na fotelu.
— I ja także! Olga! Olga! — zawołał.
— Ha! ha! — zaśmiał się La Scalla — marzycielu, powiedz mi, gdzie
się ci
zaczynają, a gdzie się kończą waryaci ?
Spojrzał na zegarek i powstał, mówiąc:
— Północ! Idę spocząć... — rozejrzał się po niebie i rzekł — jutro
będziemy
mieli wiatr, który nas przy pomocy żagli, bez użycie pary zapędził
pod wybrzeża
Ital.... Dziś ładnie... zadumaliśmy się i pograżyli w myślach! Masz bo
też
talent poruszania kwestyj absorbujących mózgi...
— Bo żywotnych i każdego obchodzących — dodał Rowieński
również powstając.
Rozeszli się. Edward pobiegł do kajuty, będącej ich sypialnią i tu
zastał Olgę
błądą, tak błądą, że to zwróciło jego uwagę.
— Co ci?
— Nic!
— Płakałaś? zapytał z trwogą..

— Nie!

Usiadł przy niej i pochwycił ją w swoje ramiona.

— Czemuż tak długo kazałeś mi na siebie czekać? — spytała z wymówką Olga.

— Bo nie wiedziałem, nie słyszałem, kiedy opuściłaś pokład. W tejże chwili Olga rozplakała się pierwszy raz, odkąd ze sobą żyli, tuląc głowę do piersi męża. Rozplakała się strumieniem łez długo tłumionych i powstrzymywanych.

— Olgo! Olgo! — szeptał Edward, który nie wyobrażał sobie, by jego żona mogła

popaść w taki stan rozstroju. — Olgo! co ci? mów! mów na Boga! bo ja łez nie

znoszę, bo łzy wyciskają mi również łzy, bo moje nerwy za słabe, aby je

ścierpieć a mózg za wrażliwy, aby ich powód badać. Olgo ! cicho! błagam! powiedz

co ci? Może cię już morze nudzi? może jego nie znosisz? może tęsknisz za ojcem i

stałym lądem ? Powiedz, to w ciągu dni kilku staniemy u portu. Powiedz! A może

było ci przykro, że wspominałem o tej kobiecie, ale daruj, ja tak przywykłem w

tobie widzieć wyższą istotę, ja tak głęboko cię kocham, tak ciszej a potężniej

codziennie, że myślę, iż chyba czujesz, że prócz ciebie nie istnieje i nie będzie

już dla

mnie istnieć żadna kobieta...

— Ach! Ty mnie inaczej już kochasz... — westchnęła przez łzy niewiasta.

— Oh! tak! inaczej ! całkiem inaczej ! ciszej i spokojniej, ale głębiej, szerzej! Wszakże ci mówiłem, Olgo, że szal nie trwa długo i że przechodzi w

wyższe o wiele uczucie. Moja miłość dotąd była tym rwącym strumieniem, pędzącym

z łoskotem i żądzą... dziś staje się tem morzem niezgłębionem, niespieszającym

nigdzie, ulegającym tylko odpływom i przyptywom, jak wielkie stałe uczucie

chwilom egzaltacji i spokoju. Dotąd rwało ono we mnie tylko namiętności, dziś

ogarnia mnie całego, rozum, serce, duszę, inteligencję...

Mówiąc to, tulił ją do siebie i obsypywał pocałunkami.

I Olga się uspokoiła pod namiętnością pocałunków Edwarda, w uściskach jego

nerwowych ramion, z ustami przytulonemi do jego ust, które jej szeptały cudne

słowa namiętnej miłości...

Olga już usypiając, zapytała jeszcze tego wieczora:

— O czym ty myślałeś.... złoty Edwardzie, żeś nie słyszał, gdy pokład opuściła

?...

— O wszystkim i niczem.

— Może o tem, że ja morza nie lubię? — zapytała szeptem i trwożnie, a że Edward długo nie odpowiadał, prosiła:

— Powiedz!

— Nie o tem, Olgo! O wszystkim i niczem, moja droga! O wszystkim, ale o niczem

takim, coby — gdybym głośno myślał — nie było dla ciebie jednym hymnem pochwały

i uwielbienia, jednym nieprzebranem, niezgłębionem uczucia morzem

— Ah! Ja cię chyba nigdy nie zrozumiem — szepnęła, zasypiając, kobieta, ale

jeszcze obejmując go w uścisku, jeszcze przykładając do jego oblicza swą

rozpaloną od łez twarzyczkę.

Usnęła, a Edward skorzystawszy z tego, pobiegł do kajuty kapitana i szepnął mu

przez drzwi:

— Franciszku! Zdaje mi się, że mojej żonie szkodzi morze... Postaraj się, abyśmy

co prędzej dobili do portu...

— Dobrze!

Edward powrócił do siebie, pełen jakiegoś zadowolenia, jakby po spełnieniu gwałtownego obowiązku.

— Że też ja tak długo nie spostrzegłem tego! - mówił do siebie. —

Dusza ludzka

im apatyczniejsza, tem silniej nie znosi spokoju natury i jej ogromu i jej jednostajności.

La Scalla zbudził tymczasem majtków, kazał palić pod maszyną, rozwinąć żagle i

całą siłą parowiec począł pruć fale, dążąc ku brzegom włoskim.

Nazajutrz Olga spostrzegła, że "Fellicita" inaczej niż zwykle płynęła.

— Edwardzie! — pytała — ty dla mnie robisz jakie ustępstwo?

— Wszakże i ty przez cztery miesiące je robiłaś ?

— Nie chcę! nie chcę!

— No powiedz ! powiedz ! że prawda — prosił Edward. — Autorzy niewymownie lubią

czytać w ukochanych duszach...

— Praw... da... więc.

— A widzisz! A oburzałaś się, gdym ci przed ślubem raz powiedział, że małżeństwo

tworzą wzajemna abdykacya, do których usposabia tylko uczucie nie jak potok

rwące, ale jak nasze spokojne i poważne...

IV.

Stary Odrowąż zamieszkał w swym pałacu w Florencyi, a młoda para odrębne znowu

sobie urządziła życie. Olga pragnęła błyszczeć w rozkwicie swej niewieściej

piękności, pragnęła zakosztować tych wrażeń, jakie nowoczesna Europa dać może

ślicznej kobiecie, wspartej na ramieniu kochanego i kochającego ręką, noszącej

milionowe fortuny na swej łabędziej szyi, w swych różowych uszach.

I

filozoficzny umysł Edwarda nęciły te nieznane mu wrażenia, za którymi gonili

śmiertelnicy, rozumni i głupi, wielcy i mali, wrażenia, jakich
doznawać musiał
pan wielkiego domu w wielkim świecie, mąż zadziwiającej urodą i
rozumem kobiety,
amfitrion uczt i zabaw, szafarz milionowych dochodów.
Osiedli więc na zimę, w Paryżu, w hotelu opuszczonym przez
powróconego do korony
króla wielkiego królestwa, — w pałacu, który nabywcy jeszcze ubrali
dziełami
sztuki i przemysłu, wyszukanemi gustem i znajomością Olgi, fantazyą
Edwarda.
"Jan z Gdowa" przypominał Paryżowi Balsaca, gdy w swym hotelu
urzeczywistniał
gorące sny swej wyobraźni, przez całą młodość kielzanej.
Osiedli w Paryżu, bo Olga lubiała wielkie życie, a Edward znosił tylko
wieś i
Paryż. Pół roku postanowili spędzać w kraju, o którego stepach i
płaszczyznach,
dziewiczych lasach i szarych niebach marzył Rowieński, a któremu
dług swój Polki
pragnęła spłacić Olga.
Mniej więcej schodzili się w swych gustach przy obopólnych
ustępstwach, i jeśli
Edward, który ostatnie dwie zimy spędził w Karpatach, zdecydował
się bez
przymusu otworzyć w Paryżu filozoficzno - artystyczno -
kosmopolityczny salon,
to i Olga bez przestachu widziała perspektywę spędzenia sześciu
miesięcy w
budowli, wznoszonej kosztem miliona, a leżącej na nieprzejranej
wołyńskiej
równinie, która, jak twierdził Rowieński, robiła na nim wrażenie
analogiczne
temu, jakiego doznawał na morzu.
I urządzono tę egzystencyj, nie krępowaną niczem a z której
zadowolenie mogło
zależać tylko od dobrego wzajemnego porozumienia.
I popłynęło życie pełne szumu i zajęcia.

I tak długo byli niem odurzeni i zdawali się być szczęśliwi, jak długo
nęciła
ich nowość pomysłu, jak długo turkot Paryża i wir ich życia nie
pozwolił im
nadstawić uszu głosom własnych jestestw, jak długo oczy, olśnione
różnorodnością, nie miały chwili, aby zajrzeć w głąb własnych dusz.
Pierwszy uczynił to Edward i zdziwił się, że ta kobieta wyższa, za
jaką miał
Olgę, znosiła długo tę mordegę światowego życia, podlegała tym
fikcyjnym
obowiązkom i zdawała się być w tem wszystkim zadowoloną i
szczęśliwą.
W chwili, gdy spostrzegł męczącą nicość owej egzystencji, usiłował
powoli
otworzyć na nią i Oldze oczy. Ale to mu się nie udawało. Kobieta
gustowała w tem
życiu, choć najwyraźniej widział Edward, iż pod ciężarem jego jej
apatyczna i
próżniacza z gruntu natura upadała.
Tu zachodziła zagadka, której rozwiązać nie mógł Rowieński i to go
męczyło
szalenie. Ta kobieta, o której wiedział, że go kochała wyłącznie i
wszystkimi fibrami, bawiła się pochodem wielbicieli swoich, których
za swoim
rydwanem ciągnęła. Ci wielbiciele męczyli też Edwarda. I w Paryżu
dopiero
spozstrzegł, że on, wyższy i filozof, on czytający w duszy swej żony,
jak w
otwartej książce, on przekonany o jej głębokim dla siebie uczuciu,
był
zazdrosny.
Nieraz miał szaloną ochotę po balu, który otoczył Olgę rojem
wielbicieli, który
nią jak piłką rzucał w tańcu z objęć jednych w drugie, otworzyć jej
swe serce i
przyznać się do tej ludzkiej słabości.
Nieraz był zdecydowany rozmówić się z nią i odkryć jej swe
cierpienia. Bo

cierpiał moralnie i fizycznie, cierpiał bowiem jako człowiek zazdrosny
i
cierpiał jako człowiek namiętnością zużyty, którego zazdrość
podniecała, szeroką
mu torując drogę do fizycznego upadku.
Ale nie czynił tego. Wstydział się przyznać do słabości ludzkiej i
niskiej i bał
się dać tej kobiecie kochanej i szlachetnej nad wyraz tak potężną broń
w ręce.
Jeśliby namiętna Olga się dowiedziała, że zazdrość w nim
podtrzymuje tylko
zapalonego, wciąż dowodów miłości łaknącego, nienasyconego i
wciąż gorejącego
kochanka?
Tej broni w ręce jej dać nie mógł, on, który łaknął codzien więcej
zacisza,
wypoczynku, tego cichego szczęścia, powrotu do swych myśli, do
swego tworzenia,
które stanowiło potrzebę jego jestestwa.
Nie mógł Oldze tego powiedzieć, jakkolwiek czuł, że ona szalenie go
kocha i do
poświęcenia dlań nawet jest zdolną, jakkolwiek czuł, że on życie
swoje strzępami
zostawia w tym piekielnym wirze.
Męczył się Rowieński, dotrzymując planu i łudząc nadzieją, że istocie
takiej,
jak Olga, życie to sprzykrzeć się musi, że nasycona sukcesem, z
zaspokojoną
ciekawością, z wyobraźnią zmęczoną, powróci do tego, co właściwie
jej
artystycznej i apatycznej natury było żywiołem, — do życia dla siebie.
Męczył się tak, iż raz — a było to w półtora roku po ich pobraniu się,
gdy
Odrowąż przybył do Paryża ich odwiedzić, — zwierzył się jemu ze
swych bólów, nie
odkrywając naturalnie wszystkich ich tajników.
— Wytrzymać już nie mogę — mówił do przerażonego hrabiego, to
życie mnie zużyło

do reszty, zużyło mi ciało i głowę.. A Olga nie ustaje.. Ja Olgi nie poznaję...

Odrowąż w odpowiedzi rzucił tylko kilka banalnych frazesów. Ale i on córki nie poznawał, doniosłość zwierzeń Rowieńskiego rozumiał, a o przyszłość truchłał.

Jeśli w tym człowieku miłość, której do życia, jak kania wody, Olga potrzebowała, zbladła lub zamarła pod wpływem nieustającego cierpienia ?

Miał zabawić dni trzy tylko, postanowił jednak zostać tak długo, dopokąd zagadki nie rozwiąże. Ta Olga goniąca z fety na fetę, otaczająca się zgrają trutniów, wysilająca się na wznieć mie admiracyi i zazdrości, — ta Olga nie była tą, którą on wychował, — ta Olga była sztuczną.

Odrowąż rzucił się w wir. życia Kowieńskich, w serye obiadów, przedstawień i balów i śledził tę piękniejszą wówczas, niż kiedykolwiek kobietę, która analizie jego się wywijała, ale o której nie sądził, aby się jej stanowczo wymknąć mogła.

Wszakże to on wychował tę kobietę, będącą obecnie lwicą salonów. Paryża. Ta lwica więc snąc tkwić musiała w zarodzie, który on sądził, że zna, który on rozbijał może.

I wziął się do dzieła.

Olga kochała męża nieustannie tem pierwszym namiętnem uczuciem, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

A więc, sądził Odrowąż, że skłonną byłaby do pewnych ustępstw dla niego, gdyby potrzebę ich. tylko widziała. Ale nie widziała jej odurzona widocznie zabawą, której każdy złożyć musiał w życiu swój haracz.

Tak by się zdawało. Ale Odrowąż zajęty wyłącznie badaniem kobiety, dostrzegł

wkrótce w niej symptomy, których absolutnie nie rozumiał. Olga robiła nań często wrażenie nie znudzonej tem życiem lalki salonowej, ale niem zamęczonej. Nieraz podchwycił jej charakterystyczne westchnienie nudy, dopadł jej wzroku, z jakimś tęsknym wyrazem puszczonego w bezdeń salonu, lub wlepionego w Edwarda. I nagle ta kobieta, jakby pod intuicyją jakiejś myśli, jakiegoś wspomnienia, jakby jakiegoś jej tylko znanego celu, ożywiła się, wykrzywiła z wysiłkiem do uśmiechu usta, rozpromieniała oblicze i zaczynała na nowo swą rolę banalnej lwicy. Starego hrabiego zaczynała własna córka intrygować. Obserwował ją jeszcze baczniej, jeszcze z większym skupieniem myśli i subtelności. Ta Olga była sztuczną, była taką, bo taką być chciała. Raz na tej drodze się znalazłszy, hrabia prędko posunął się w swych studyach. Często spostrzegwał, iż pani Rowieńska nagle i to wśród najbardziej ożywionej rozmowy z wielbicielami, szukała oczami męża, a wyraz ich był tak długo trwożny, dopokąd go nie znalazła. Nieraz zdawało mu się, iż unoszona szalonym wirem walca, podczas gdy niby słuchała madrygałów, które jej mówił tancerz, usiłowała dostrzedz Edwarda, stojącego gdzieś w kącie salonu i wyczytać wyraz jego fizyognomii. A manewry te odbywała genialnie. Nie domyślał się ich Rowieński, i ona z wyszukany sprytem w tym celu postępowała. Zależało jej na tem widocznie, aby gry jej nie podchwycił mąż, będący autorem powieści psychologicznych.

Ale podchwycił je Odrowąż, nie obudzający w niej najmniejszego podejrzenia, nie obchodzący ją w tym wypadku może wcale.

Wreszcie po dziewięciu dniach studyów, hrabiemu się zdawało, iż uchwycił koniec tej struny, pobudzającej Olgę do ciągłego drgania, które męczyło jej męża.

Przestał bywać w świecie, zatapiając się natomiast w zadumach i skierowując znowu swą uwagę na zięcia, który miał mu dostarczyć dalszych środków do rozwiązania zagadki. Wreszcie hrabiego spokojne, marmurowe oblicze, jego ułożona i nieszarpana już broda zdradziły, że myśl jego nie miała nic już do rozmotywania. I korzystając z pierwszego momentu, który mu pozwolił porozmawiać z córką, zagadnął ją:

— Jak wiesz, nigdy nie wchodziłem w pobudki, ani skutki twego postępowania. Nie wchodziłem w nie, gdy byłaś panną, nie wchodziłbym w nie tembardziej, gdy jesteś mężatką. Nie wchodziłem w nie jako ojciec, nie wchodziłbym jako gość... gdybym zarazem nie był przyjacielem tego domu.

— Ależ proszę cię ojcze, proszę! Nie przestałeś być ojcem, a okoliczności, które przytaczasz, dają mi do myślenia, że chodzi o rzecz bardzo doniosłą. Owszem, jestem dziś w trudniejszej roli, niż kiedykolwiek. Potrzebuję cię nieraz mój ojcze...

— Potrzebujesz mnie? mając męża? męża tak subtelnych uczuć?

— Są kwestye, w których mąż nie może być doradcą, właśnie dla tego, że jest mężem. Mów!

Odrowąż zaczął targać brodę. Jeszcze mu się zdawało, że zbacza z drogi, którą

całe życie spokojnie kroczył, zabierając się do pewnych insynuacji,
ale sądził,
że rola jego się zmieniła. Dawniej jego uwagi miały
charakter rady, dziś mogły być rodzajem rozmowy.
— Zdaje mi się — podchwycił — iż życie, które prowadzicie, nie jest
tą wodą,
której potrzebuje Rowieński. Zdaje mi się, iż to życie go męczy...
nudzi...
zabija...
— A czy sądzisz? — zawołała Olga, w pierwszym wybuchu swej
szczerej natury — że
i mnie nie męczy ono także ?
Odrowąż osłupiał.
Olga się spostrzegła, że wypadkiem postawiła tę kwestyę na
pochyłości spowiedzi,
której może całe jej jestestwo potrzebowało. Ale to nie była natura do
spowiedzi. Nastąpiło długotrwałe milczenie. Hrabia nie pytał, bo
widział, że
córka w zdziwieniu jego rysów czytała to jedyne zapytanie. Jeśli nie
mówiła
dalej, to widocznie mówić jeszcze nie chciała. Jeśli tyle
powiedziawszy, dalej
mówić nie chciała, to on i słyszeć możeby więcej sobie nie życzył.
— Pamiętaj — podchwycił — iż to jest człowiek piszący, myśliciel,
marzyciel,
którego wyrwałaś z elementu wręcz przeciwnego temu, w jaki go
rzuciłaś...
Olga westchnęła głęboko i ciężko.
— Pamiętaj — ciągnął dalej — iż kobietę zmienia małżeństwo, iż zmie-
nia częstokroć ich gusta i sposoby życia, ale nie wywiera ono tego
wpływu,
choćby zawarte z pobudek gorącej miłości, na mężczyznach
wybitnego charakteru, a
szczególnie na artystach, którzy są odrębnymi komplikacjami...
Artyści wszyscy
są wielkimi egoistami, jako ludzie powołania, którzy zawsze celiki
poświęcą dla

celu...

Olga zbladła, westchnęła i przerwała:

— Celikiem Edwarda byłoby ? — zapytała trwożnie dykcyą urywaną, zdradzającą, iż

myśl ojca nietylko zrozumiała, ale zadrżała nawet przed nią.

— Podobać ci się.

— A celem?

— Życ!

— Życ dla siebie? — zapytała niemal z trwogą.

— Artyści jednoczą życie dla siebie z życiem dla sztuki, dla społeczeństwa, dla myśli i wiedzy, dla świata!

Olga znów westchnęła tą nutą dobrze znaną Odrowążowi i nastąpiło długie milczenie.

Przyglądała się tylko ojcu i otwierała usta, aby je znów zamknąć i wzdychała i myślała.

Cierpiała.

Miała szaloną ochotę wypowiedzieć się ojcu. Miała szaloną ochotę powiedzieć mu, że i ją to życie zabijało ale straszną pracę jego podjęła, bo ujrzała

się raz, dzięki swemu męskiemu niemal finezyą rozumowi, u rozejścia się dwóch

dróg. Albo traciła tę pierwszą, namiętą, ogniem buchającą miłość Edwarda, bez

której żyć by nie mogła, albo ją kosztem swoich i męża upodobań przedłużała.

Albo Edward powracał do świata swej wyobraźni, w którymby więcej żył swemi

myślami, niż nią, albo przykuwała go całego sztucznie do siebie.

Miała szaloną

ochotę powiedzieć ojcu wszystko i mówiła mu to, ale milcząc i myśląc tylko.

Ona cierpiałaby niepojęcie, gdyby nie czuła Edwarda nią tylko wyłącznie

zajętego. Na morzu wtedy spostrzegła, że utraci panowanie nad jestestwem

Edwarda, jeśli nie znajdzie sposobu przykucia jego myśli — do siebie. Przypadkiem znalazła ten sposób, sposób sztuczny, ale skuteczny:

Artystów

opanowuje się, nie rzeczywistością tylko sztuką. Edward był szalenie zazdrosnym.

Zazdrość tylko wciąż podniecana, utrzymywała w ciągłej wibracji w jednym

kierunku jego zmysły, namiętności i wyobrażenia. A ona do szczęścia, do życia

potrzebowała tego ciągłego poczucia gorąca jego

pulsu, tego panowania nad całą, jego wyobraźnią, tego poczucia, że jest całym

jego światem. Gdyby zazdrość, ta zazdrość tylko w świecie owym możliwa do

pobudzenia, niezmuszała Edwarda do ciągłego nią zajęcia, toby powrócił do —

pisania! do bawienia się postaciami swych powieści a nie nią, do życia atmosfery

swej wyobraźni, a nie jej. A toby ją unieszczęśliwiło! Tegoby poprostu nie

ścierpiała...

Westchnęła i myśleć przestała.

Ale Odrowąż nie próżno spędził ćwierć wieku w czterech ścianach z książkami i

myślami, nie próżno odczytywał często godzinę jedną kartkę — romansu.

— Pamiętaj dalej — podchwycił prawie niedbale, ale tą swoją dykcją, która siląc

się na lekceważenia nutę, jeszcze była głęboką — że ten człowiek nie jest

atletą. Wzięłaś go po strasznej chorobie, którą spowodowały podniecane

namiętności. Miał się już lepiej... zdaje mi się, dziś jest mu znowu gorzej. To

życie nerwów drażnionych sztucznie — cedził, jak gdyby odpowiadał na argumenty,

których nie słyszał — może go kiedy powalić..... lub tak zmęczyć, iż ciebie

opuści, aby się od niego uwolnić..... O tem zawsze pamiętaj, jeśli ci zależy na utrzymaniu tego człowieka" nie tylko w fizycznym znaczeniu słowa.....

Byłby dalej Odrowąż nie mówił, gdyby nie widział, że córka połykała jego słowa, że pragnęła, aby wątku swych myśli nie urwał, że te brała w rachubę, że ich potrzebowała, jakby potwierdzenia swych własnych wątpliwości.
— Każda struna — mówił dalej — wyciągnięta zbyt mocno urywa się, ale najłatwiejszą do zerwania jest struna uczucia. Strasznie jest ona łatwo pękająca; jeśli zaś jest nadto struną uczucia napiętą, to już nigdy nie stawia oporu sztucznym usiłowaniom jej przeciągnięcia ? Nie wiem, czy byś wolała, czy zupełną utratę człowieka, który był potrzebą twego całego jestestwa, czy też utratę częściową jego, względną, fikcyjną... Małżeństwo składa się z obopólnych ustępstw. On dla ciebie!

Tu urwał i przeraził się. Olga pobladła i zmienił się jej wyraz twarzy. On zapomniał, że ona mu nic nie powiedziała, że za ledwie go tylko do mówienia zachęciła. Podrażnił ją. Mówił jej to, co jej kiedyś powiedział był Edward, co ją zmusiło do postawienia mu wówczas warunków.
— Mówimy o tem, ni stąd, ni zowąd - podchwyciła. — Czyżbyś dostrzegł w Edwardzie oziębienie względem mnie?
— Bynajmniej !
— Oh! bo ja... bo ja wzięłam sobie za dewizę życia: Tout, on rien!
Hrabia się uśmiechnął wyrazem, który genialnie osłaniał smutek jego duszy i

wstając szepnął tonem, którym najwyraźniej chciał swoje słowa utkwić w mózgu czy sercu córki:

— Ta dewiza nie licuje mi z głębokością i subtelnością Olgi Odrowążówny, którą znałem.

Zaśmiał się ze swobodą światowca wielkiego kalibru i wyszedł, zostawiając Olgę w zadumie.

W tydzień później powrócił do Florencji i tamże dowiedział się wkrótce, że

Rowieńscy opuścili Paryż i udali się do Warszawy. Edward zatęsknił za ojczystą

mową, której dźwięk nad wszystkie inne lubiał, jak pisała Olga, a ona pragnęła

poznać wielki świat warszawski, którego wyborem chciała się otoczyć w skończonym

już zamku Równa, dóbr niegdyś Rowieńskich, dziś znów przez Odrowąża do nazwiska

powróconych.

* * *

Wreszcie Rowieński uczuł się tak zmęczony, iż postanowił zrzucić pychę z serca i

przyznać się Oldze, iż go to życie, jakie prowadzili, nad wyraz męczyło, iż się

czuł do tego stopnia rozstrojony i zdenerwowany, że się obawiał recydywy

choroby, mogącej ostatecznie zachwiać jego słabym zdrowiem.

Organizm jego cały domagał się gwałtownie spokoju i ciszy, tych dni wpływających

monotonnie, tych godzin, mijających szybko na zajmującej rozmowie dwóch

rozumiejących się inteligencyj lub na nadśluchiowaniu szeptów natury, albo na

badaniu tajników stworzenia lub nareszcie na igraniu na skrzydłach wyobraźni.

Postanowił jej to wszystko powiedzieć, ale nie zamierzał jej przyznać się do tego, co go najmocniej może trawiło, co go zaczynało moralnie i fizycznie wycieńczać, co osłabione jego nerwy utrzymywało w stanie nienaturalnej ekscytacji i szkodzącego mu podrażnienia. Nie zamierzał i tym razem odkryć jej swojej słabości, polegającej na tem, iż był o nią zazdrosnym, iż go znudziło to ciągłe śledzenie jej, to wyrywanie jej z objęć wielbicieli, to niejako kradzenie jej uścisków i gorących pieścizot, które dziwne chorobliwe uczucie robiło wciąż bardziej pożądanymi i silniej drażniącymi. I gdy raz w Warszawie po balu, na którym Olga, zdawało się Rowieńskiemu, zajęła się pewnym młodzieńcem, mogącym być jego rywalem, uczuł się absolutnie bezsilnym do dalszego prowadzenia tego życia, gdy nadto wiosna, woniejąca już w atmosferze, usposabiała go, jak zawsze, silniej do twórczej pracy, możliwej dlań tylko w skupieniu i ciszy, -postanowił nie zwlekać. — Słuchaj Olgo! — zagadnął ją, zdejmując jej ze szyi brylantową riwierę. — Musimy pomówić pierwszy raz na seryo i stanowczo. Od chwili, jakżeśmy opuścili "Fellicitę", nie miałem po prostu ku temu sposobnej chwili. — Nie żądałeś nigdy odemnie rozmowy? — zauważyła Olga z wyrzutem. — Bo sądziłem, że się bez niej obejdzie — podchwycił Kowieński. — Sądziłem, że się domyślisz tego, czegoby się każda domyśliła kobieta, wlokąca za sobą wśród gwaru i muzyki salonów oświetlonych, iak skazańca jakiego, męża, który jej przed

ślubem niejednokrotnie powiedział, że małżeństwo uważa za
połączenie się z
wzajemnymi ustępstwami dwóch istot, mających
na celu wspólne życie, życie a nie bezmyślny szal!
— Nie mam pojęcia, o czym mówisz!
— Ah! — zawołał z rozpaczą Kowieński. — Czyż ja przypuszczałem,
abyś kiedyś mnie
nie rozumiała?
Olga była rozbrojoną. Ona tak kochała Edwarda. Ona pragnęła
wymódl na nim
wyznanie szalonej zazdrości, które czuła, ale nie miała serca do niego
go
zmuszać.
— Mów, mów! — zawołała Olga — twoja wola jest moją, ja jestem
twoją...
Rowieński podniecony winem, rozebrany melancholią, którą go
zawsze napawała
wiosna, gdy ją odczuwał w ciasnych murach miast, roznamiętniony
zazdrością,
która go zmuszała do bezustannego przekonywania się, że go Olga
wszystkimi
zmysłami kocha, rzucił się jej do nóg i mówił:
— Ja potrzebuję teraz natury, tylko natury i ciebie. Ja potrzebuję
morza, lub
zieleniejącego stepu Wołynia. Ja łaknę możem niegłuszonego
świergotu jaskółek,
do gniazd powracających, bladej twarzy księżycy, w którą mógłbym
się wpatrywać z
tobą przy boku, w tej ciszy zmęczonej po całodziennej pracy, natury,
w tym spo-
koju zadowolonych namiętności, w tem fizycznym zmęczeniu
nasyconych zmysłów i
wyobraźni... Ja potrzebuję odetchnąć ! Ja potrzebuję tworzyć! Czy ty
rozumiesz!
Ty! ty! rozumieć przecież musisz, co to jest twórczość autora? Jest to
potrzeba
całego jego jestestwa, potrzeba, której się oprzeć nie może, której
zwyciężyć,

ani zagłuszyć nie może!

Olga go słuchała z dziwną miną na obliczu, zdradzającą, iż jej nic nowego nie mówił, ale, że jej mało było to słyszeć, że łaknęła, aby dalej, dalej mówił.

On też, nie przeczuwając, jakby chcąc oraz wypowiedzieć wszystko, co tak długo w sobie tłumił, mówił:

— Ja potrzebuję tworzyć! a do tworzenia, do tego tworzenia, któremu ciebie

zawdzięczam, ciebie mój jedyny skarbie, moja ukochana istoto, potrzebuję innego

żywołu potrzebuję natury, widoków. lasów i gór, za nieprzejrzaniem stepami,

zamiast ścian pokrytych adamaszkiem. Potrzebuję nieba i księżyca, słońca i

gwiazd zamiast żyrandoli i Kinkietów, Potrzebuję ciszy, świergotu ptaków i

kwakania żab, zamiast orkiestr i szmeru tysiąca ludzkich głosów.

— A mnie ? — podchwyciła Olga, której pierś obnażona gwałtownie falo-

wała, której oczy błyszczały niewidzianym blaskiem, a nozdrza grały namiętnością.

— A ciebie! ciebie jednej! — zawołał Edward — potrzebuję zamiast ludzi, których

towarzystwo mnie zabija... Ciebie potrzebuję samej przy sobie z tem przekonaniem, że do mnie, do mnie tylko i wyłącznie należysz, z tą niepodzielnością z nikim, z tem poczuciem, że władam wszystkimi twojemi

zmysłami, że gram na twej duszy, jak na pełnym harmonii instrumencie, że mi nikt

cię odebrać nie może, że czujesz tak, jak ja czuję, myślisz, jak ja myślę,

kochasz, jak ja kocham... Potrzebuję ciebie w takiej ciszy, iżby mi ona pozwalała rozróżniać i rachować uderzenia twego serca, czy ono dla mnie bije,

czy cno zawsze jednomiernie dla mnie uderza Potrzebuję tego spokoju, który

płynie tylko właśnie z poczucia jednostajności i jednolitości bicia
twego
serca. Potrzebuję tej pewności jutra skąd właściwie płynącej,
potrzebuję —
kończył rozpaczliwym głosem — tego poczucia niezaprzeczalnej
własności siebie i
spokoju, spokoju duszy, który ona tylko mi da...
Przerwał, nie wiedząc, jakim cierpieniem napełnił serce kobiety. Ona
tego spokoju, płynącego z tych właśnie pobudek się bała. Bo ona
kochała go
namiętnie i namiętności pragnęła. Bo ona go tak, jak on ją, kochała i
podzielności nawet z wyobraźnią autorską się bała.
Ale ona, nie chcąc go zrozumieć, rozumiała go przecież.
— A więc dobrze! — zawołała. — Czemużeś mi tego wcześniej nie
powiedział? Czemuż
mi nie pokazałeś, że ci się moje życie... nie podoba?
Edward długo milczał, a wreszcie odparł:
— Bo małżeństwo z obopólnych składa się ustępstw.
— Ty mój najdroższy! — szepnęła Olga, przyciągając go do siebie.

I opuścili Warszawę i podążyli do Równa, gdzie stepy zaczynały się
zielenić,
gdzie jaskółki do gniazd powracały, gdzie bociany klekotem się
radowały, gdzie
żaby, to tu, to ówdzie zaczynały się odzywać niezrównaną dla
Edwarda muzyką.
Przybyli do Równa, liczącego sto komnat, sami. On z poczuciem
dawno
niepamiętanego szczęścia, ona z przestachem, jeśliby Edward nie
potrafił jej z
każdego kąta tej olbrzymiej rezydencji szeptać, że ją jedną wciąż i
namiętnie
kocha.
I bawili w Równie. On, pojący się jak pijak atmosferą wiosny, czujący
w sobie,
iż mózg jego stworzy coś niepospolitego, czem go natchnie ta
niezrównana kobieta

i ta błogość odzyskanego swojego żywiołu. Ona, wpatrująca się z
trwogą w jego
oczy, zapuszczające się z taką siłą myśli w niedojrzaną dal stepów i
pytająca z
rozpaczą, czego on tam szukał, tam, tak daleko..., gdy ona jest tuż
przy nim, ta
skarbnica nieprzebrana miłości, piękności i natchnienia.
I bawili w Równie. On, skupiający się codzień więcej w sobie,
zamykający się w
świecie swojej wyobraźni, oderwany od rzeczywistości, z przykrością
do niej
powracający, zadumany i jak geniusz natchnienia spokojny. Ona zaś,
w swej
biernej roli, czuła się co dzień więcej osamotnioną. Czulość tego
człowieka,
który nieraz zapominał o niej do niepojętego stopnia, zdawało się jej,
ulatała z
dnia na dzień z opuszczającą jego serce namiętnością.
Jej natura, nie lubiąca pracy mózgu, dość sprytna i inteligentna, by jej
nigdy
nie potrzebować, z ożywioną, błyskotliwą nawet, ale nie twórczą
wyobraźnią,
czuła się codzień więcej nieszczęśliwą.
W tej samotności i ciszy, która ją zmuszała do analizy odmiennego u-
czucia Edwarda, do spozregania i rozważania każdego jego niemal
spojrzenia,
dziwnie się czuła. Przywykła do życia dużego miasta, do ciągłego
towarzystwa nią
tylko zajętego męża, do tego pokarmu wymiany codziennej myśli, do
brio wielkiego
świata, — czuła się w Równie osamotnioną niewypowiedzianie,
zwłaszcza w
godzinach, które Edward pracy poświęcał. Ona nie pragnęła zgiełku,
ani ludzi,
ale żyć nie mogła sama, bez tego poczucia zajmowania wyłącznie i
namiętnie
wyobraźni ukochanego. Zdawało się jej, iż o wiele mniej była z
Edwardem w

Równie, w którym go od świtu do nocy tuż przy sobie miała, aniżeli w Paryżu, gdzie się dniami nie widywali. Ile razy myślał, czy pisał, siedząc tuż przy niej, a niesłyszając jej głębokich westchnień, zdawało się jej formalnie, iż o tyle setek mil fizycznie oddala się od niej, o ile się wyobraźnią oddalać musiał. A kochającej kobiety wysoką inteligencję trapiła też okoliczność, że Edwarda ustroju nie rozumiała. A nie zdawała sobie sprawy z tego, iż go nierozumiała, bo go zrozumieć nie chciała. I wmawiała w siebie samą, iż Rowieński był fenomenem, nienaturalną duszą, którejby nikt a więc i ona, zrozumieć nie mógł, z którą się więc liczyć nie potrzebowała. I w tej walce kobiety samej z sobą w tych potyczkach namiętnej kochanki z wyższą jej inteligencją, trawiła w sobie Olga głębokie i szlachetne swe uczucie dla Edwarda, które też w tej ciągłej analizie, w tem niezadowoleniu, ulegało koniecznym zmianom. Stygła jej namiętność nieraz w samej sobie przepalona, rwała się jej niespostrzegana czułość, ulatała jej nieoceniana przez zamkniętego w sobie autora dobroć. Cierpiała, cierpiała codzień więcej, a cisza nadawała cierpieniom głębszy charakter, a analizowanie ich je powiększało. Edward więc ją przestawał kochać. Jeśliby nie potrafiła jakimś sztucznym sposobem rozbudzić w nim gasnącej codzień namiętności, jeśliby go nie potrafiła znów do siebie całego przykuć, a wyrwać z błędnego koła chorobliwej wyobraźni,

toby go straciła ona, usychająca, jak roślina bez rosy w tej dusznej dla niej,
nie idącej w górę i nie opadającej, atmosferze, w tej monotonii
posuchy, nie
przerywanej jaśniejszymi dniami, ani burzą huraganów, ani
orzeźwiającą ulewą,
ani żadnym namiętności natury wybuchem.

Cierpiała tak, iż zaczynała nienawidzić to Równa, do którego się
codzień więcej
przywiązywał Edward, iż z przestraczem, nie mającym słów ani
określenia, zdawała
się w sobie dostrzegać jakieś miazma, mogące w jej sercu zmienić
naturę jej
uczucia dla Edwarda.

A ona żadnej zmiany nie chciała, każda by ją zabiła. Ona tak miłość
pojmowała i

wolała raczej... raczej wszystko, niż ustępstwa, niż przeistaczania
pojęć, jakie

sobie o miłości urobiła, w jakie bałwochwalczo uwierzyła.

Długo cierpieć nie mogła jej gorąca natura, — długo cierpieć nie
mogła Olga

Odrawążówna, którą ojciec tylko do szczęścia przygotował i
usposobił, w której

mimowolnie wykształcił silne podwaliny egoizmu, by ją uchronić od
losu jej
matki.

Długo cierpieć nie mogła Olga Odrawążówna, nierozumiejąca
poświęcenia, choćby

strzępków swego "ja", — kobieta tak dbała o swoje szczęście, będące
"bożyszczem"

jej pierwszej młodości, iż nie zapomniała o zabezpieczeniu go nawet
w chwili, w

której nieprzewyciężona namiętność rzuciła ją nieprzytomną w
objęcia

Rowieńskiego.

I zdało się jej naprawdę, że Edward jej ulatał, wymykał się z jej objęć,
ulatniał się jej zmysłom - ten Edward jedyny, którego pokochała,
jedyny,

któregoby kochać jeszcze, jak sądziła, mogła.
I ogarnęła ją bezmierna trwoga. I ujrzała jedną tylko deskę zbawienia.
I zwołała
świat do Równa, który wezwania jej tylko po stolicach Europy czekał.
I napełniła
przybytek szczęścia Edwarda zgiełkiem. I zagłuszyła szepty natury i
świergoty
ptaków ludzkimi banalnymi śmiechy. I wyrwała autora ze świata,
którym się
otoczył i rzuciła go znów w duszącą go i zabijającą atmosferę
pobudzonych
zazdrością namiętności.
Ale to uczucie Edwarda właśnie mówiło jej, że on ją tak samo kocha,
co dawało
jej to nieodzowne poczucie szczęścia, które może wypływało z jej
natury, a może
z hasła jej życia.

* * *

Tak minął znów prawie rok cały, który zmienił Rowieńskiego nie do
poznania. A
zmienił go nietylko fizycznie, ale i moralnie. Edward pobladł, stał się
więcej
niż kiedykolwiek nerwowym tym odcieniem, zdradzającym
wycieńczonego wewnętrznem
szarpa-
niem najżywotniejszych fiber jestestwa człowieka.
A co go najwięcej bolało, to nie to, iż marnował życie dla tej
światowej
kobiety, iż tracił zdrowie, zaspokajając jej zachcianki, ale to, iż mu się
zdawało, że ją mniej kochał, tę Olgę wybraną, dla której poświęcił
swe zasady
celibatu, niezbędnego autorom, tę Olgę, o której myślał, że jest istotą
wyższą i
że wreszcie skończy na zrozumieniu go i na ujrzeniu swego życia w
jego życiu.

Tak! on ją mniej kochał, bo coraz częściej świeciła mu w wyobraźni niemożliwość pogodzenia ich różnorodnych żywotów. A Edward analizował nie tylko świat i ludzi, ale i swoje własne najtajniejsze uczucia. Coraz częściej nasuwało mu się pytanie: czyby nie lepiej dlań było żyć bez tej kobiety, narzucającej mu tylko cierpienia, niżeli z nią, trwoniąc skarby swego talentu i jestestwa. To pytanie w nim się rodzące zastanawiało go. Jeśli pytał — to wątpił. Jeśli wątpił, to mógł się mylić. Jeśli się mylił, to nie ta kobieta była tą, z którą go jedynie mogła łączyć jedyna wymiana pociągających się płciowo inteligencji. Nie ona była tą, którą uszczęśliwić jego wyłącznym było powołaniem, ani też nie ona była tą, która jego uzupełnić miała. To pytanie go bolało. A zmoczenie jego fizyczne i moralne pozwalało mu zimniej badać swoją własną duszę, poddawać pod mikroskop myśli swe serce i swe pragnienia. On już miał dość tego życia. Jemu zagrażała moralna i fizyczna ruina, jeśliby nie odetchnął pełną piersią w żywiole, przyprowadzającym do równowagi jego rozstrojone zmysły. Jego charakter nawet się psuł i spostrzegł to sam, cierpiąc nad tem. Stawał się niezadowolonym ze siebie i z innych, zgryźliwym i złośliwym do tego stopnia, iż bywał często szorstkim nawet dla Olgi. Tracił tę jednostajność humoru, którą uważał za cechę ludzi wyższych i którą się szczylił. Tracił wreszcie tę podstawę równowagi moralnej, zadowolenia ze siebie i ze swego życia, a na zdrowiu jego

zaczynały się już wyraźnie uwidaczniać skutki sztucznego,
nieodpowiedniego,
denerwującego i podniecającego zmysły, żywota.
I wreszcie doszedł do tego, iż mu się zdawało we wszystkich chwilach
reakcji, że
Olgę kochać przestał, i zaczynał coraz częściej przemyślać nad
sposobem
możliwego ułożenia swej
egzystencji w sposób, któryby mu pozwolił odzyskać siebie samego,
choćby z
utrata kochającej go kobiety.
Nie zdawał sobie jeszcze dokładnie sprawy z genezy i konsekwencji
tego uczucia,
ale czuł, że siły jego moralne i fizyczne ostatecznie zostały
wyczerpane, że
dalej mu tak żyć byłoby niemożliwym. A że natura jego nie była
energiczną, a
więc i nie zdolną do żadnych stanowczych i radykalnych, środków,
oddalał od
siebie coraz częściej opanowujące go myśli, pozostawiając
wypadkowi ułożenie
tego, czego on ułożyć nie mógł. W chwilach zaś pobudzonej dla Olgi
miłości,
łudził się znowu, że i jej się wreszcie to wszystko sprzykrzy i że ją
odzyska
taką, jaką ją mieć chciał, jaką w gruncie rzeczy być musiała.
A Olga widziała naturalnie tę wewnętrzną burzę, która szalała w
duszy jej męża,
odczuwała jej zewnętrzne oznaki, spostrzegała zachodzące w nim
zmiany, ale,
jakkolwiek z rozpaczą, ogarniającą jej serce, tłumiała w sobie
wszelkimi siłami
cierpienie i trwogę.
Ona wciąż jednakowo kochała swego Edwarda i wszystkie zmiany,
jakie w nim
zachodziły, brała za oznaki, iż miłość dla niej z jego serca ulatała.
Dumna kobieta nie przyznawała się do rany już zadanej, tylko ją kryła
z

niepojętą siłą charakteru, maskowała swe straszne cierpienia. Jeśli dotąd obudzając uczucie zazdrości w tym człowieku, potrafiła podtrzymać skalę jego namiętności, to dalej, chcąc ją, utrzymać jako tako, musiała tylko tym samym środkiem działać.

Otoczyła się więc jeszcze większym rojem wielbicieli, których stale w zapalach i admiracyi utrzymywać, nie przychodziło trudno kobiecie jej piękności i rozumu.

Starła się być piękniejszą i powabniejszą niż kiedykolwiek.

Podtrzymywała z wysiłkiem, bo zajmować się swoją osobą nie lubiała, wyszukaność i zbytek swych toalet. Upadała ze zmęczenia pod ciężarem tych stworzonych sobie obowiązków, ale niezgłębione siły czerpała w sobie w tym celu swego żywota, polegającym na zachowaniu gorejącego miłością dla niej kochanka.

I w tych katuszach życia, również jej nieodpowiadającego, w tych cierpieniach

serca zakrwawionego stopniowem obojętnieniem Edwarda, nie odstępowała w niczem

od swych zasad i była przekonaną, że uczucie Edwarda zamierało a nie

przechodziło w inną naturalną w małżeństwie fazę, do której ją powieść Jana z Gdowa i on sam przygotowywał.

A cierpienia jej może były dotkliwsze, niż te, jakim ulegał Rowieński.

On

wiedział i czuł, iż jest kochany, a łudził się nadzieją uzyskania odpowiadającego mu elementu. Ona widziała w przyszłości czarną przepaść przed

sobą, niezgłębioną i nieuniknioną w chwili, w której sztuką na Edwarda, jak

morfina na chorego, działać przestanie.

Zależało jej jeszcze na miesiącach i dniach a i ona nie zatapiała się w tej

kwestyi, aby zimnej rozwagi nie zmuszać do przedstawienia jej
logicznego obrazu
przyszłości, mającej niebawem nadejść.
Nieraz stawała jej w pamięci uwaga Odrowąza, który zalecał, aby się
dobrze
zastanowiła, co woli, czy utratę męża, czy ustępstwa ze swej strony.
Ona nie
wolała tych ustępstw, bo nie wierzyła w możliwość i skuteczność tego
rodzaju
komplamacyj. Ona nie zastanawiała się nad tem pytaniem, bo uczucia
ludzkie skalą
swoich mierzyła, a czuła, iż tylko zamarcie w niej miłości dla
Edwarda ostudzić
by je mogło.
I grała z tym człowiekiem komedye, która tylko żalom rozszerzała w
jej sercu
miejsce. Udawała, iż nie
sposstrzega zmiany w nim zaszłej a tając przed nim swe własne rany,
nie pozwalała
mu ich opatrywać i
goić.
Tak stały rzeczy, gdy z wczesną wiosną powrócili do Równa, w
przeszło dwa lata
po ślubie.
On po prostu chory, ona walcząca z cierpieniem, którego zdradzić nie
chciała. On
nie mogący już fizycznie wytrzymać banalnego zgiełku dokoła siebie,
ona z
postanowieniem szukania zapomnienia w wirze świata, a lekarstwa w
dawnych
środkach.
Wiosna tego roku była późną, tak późną, iż dopiero w początku
czerwca mogły
lepić swe gniazdko jaskółki, które namiętnie lubiał Rowieński. Przylot
ich tej
wiosny nadto natchnął go pewną myślą, z której wysnuwał romans.
Jaskółki, jakby

się domyślając jego sympaty, zaczęły lepić gniazdo na werandzie pałacowej, dotykającej apartamentu Edwarda. A on przypatrywał się tej robocie i tworzył w myśli powieść, będącą naturalnie, jak każde dzieło natchnienia, odbiciem jego własnych chwilowych aspiracji i marzeń. Poleciał surowo swemu służącemu, aby nie niszczył gniazdka, które tak niefortunnie ptaszyny poczęły mu lepić nad perskim dywanem krytej werandy u złoconego gzysmu. I godziny całe spędzał na tej werandzie, przyglądając się pracy dwóch tak małych a tak rozumnych stworzeń, tak małych a tak szeroko i logicznie i poetycznie pojmujących życie. We dwoje wszystko robiły, świat cały w świergocie swoich dwóch dzióbków i w pracy własnej zamknęły. Co one Edwardowi do myślenia dawały? Snuły mu romans, o którym był pewny, że będzie najpiękniejszym z tych, jakie napisał, a przedmiotem jego mieli być młodzi ludzie, pojmujący świat jak jaskółki, widzący wszystko w gniazdku, którego on nie miał, opowiadający sobie wzajemnie wszystko i rozumiejący się tak wybornie i schodzący się w gustach tak życia całego, jak jego celu i w chwilowych zachciankach. Dumął godzinami i nieraz, gdy mu fantastyczniejsza myśl przyszła, gdy wysnuł z wyobraźni nowy oryginalnością obraz, czy nową z życia jaskółek prawdę, to się zrywał, aby biec do Olgi i podzielić się z nią świeżym wrażeniem myśli, tym cennym brylantem swego jestestwa. Ale zaledwie uszedł kilka kroków, powracał i bezsilny opadał na krzesło z

rozpaczliwym wyrazem swych zmęczonych a tak młodych myślą
rysów
Gdzież on jej miał szukać? czemu wyrywać z kółka bawiących ją
ludzi? czemu ją
przenosić w świat, któregoby niezrozumiała? czemu ją zasmucać
dowodem, że nie o
niej, tylko o jaskółkach myślał?
O, bo Edward już wielki uczynił postęp w poznaniu tej zamkniętej i
skombinowanej
duszy Olgi. Już wiedział, dlaczego nie lubiała morza, a dlaczego
zmartwiłby ją,
mówiąc jej o swym romansie z parą jaskółek. Ona lubiałaby morze i
jaskółki,
gdyby on ich nie lubiał. Ale była zazdrosną o morze i jaskółki, bo one
jego
zabierały, jego myśl, jego wyobrażenie, jego zmysły nawet,
uspakajając je.
I brak mu było tej towarzyszkii życia, niezbędnej powieściopisarzowi,
który się
boi zadaleko fantazyją swą oddacie od rzeczywistości. I cierpiał
skutkiem braku
tej towarzyszkii, dla posiadania której poświęcił swą wolność i przyjął
na siebie
tyle obowiązków, zatracił zdrowie i zaangażował przyszłość. I łaknął
w tym
zgiełku ludzi, siadających u jego stołu po kiladziesiąt osób, jednej
duszy,
któraby z nim razem w ciszy pracującej wiosny chciała się przyglądać
zakładaniu
gniazdka przez jaskółki, wsłuchiwać w szepty natury, a dzielić się z
nim tymi
skarbami, którymi rozumiecie
tych właśnie szeptów, duszę ludzką zasypuje.
I łaknął kobiety takiej, jak Olga w domu, w którym była Olga. I łaknął
takiej
inteligencji i w takie przyobleczonej ciało i takimi na świat patrzącej
oczyma.
I czemuż jej nie miał?

— Ach! — rozpacział wieczna zagadka niedoścignionych aspiracji
ludzkich!
nieuchwytnych mrzonek, niezrealizowanych marzeń!
Miał ją tutaj taką, jaką mieć chciał, jaką wymarzył i nie miał jej.
To zaostrzyło jeszcze jego cierpienia, rozkrwawiało jego subtelną
ranę,
drażnioną wciąż i przez uczucie zazdrości, którem tak został już
zmęczony, iż go
się jakimkolwiek kosztem pozbyć pragnął.
I jednego z tych dni, gdy ulegał wyjątkowemu rozdrażnieniu, bo
poprzedniego
wieczora przybyło znów do Równa kilka osób, a między nimi i
Rakuski, z powodu
którego zazdrość jego na poważne próby w Warszawie przez ostatnią
zimę
wystawioną została, obudził się z niesmakiem, równającym się
poczuciu
nieszczęścia.
Miał już tego wszystkiego dosyć. Był poprostu skazańcem. Pisać nie
mógł w swoim
gabinecie, bo go tam dolatywały echa życia, pełnego gwaru
i bezmyślnego śmiechu. Dumać nie mógł na swej werandzie, bo mu
śpiew słowika
zagłuszały krzyki i podniesione głosy jego gości, rozprószonych po
pałacowych
galeryach i parku. A po takim dniu mordegi i w nocy usnąć nie mógł,
wycieńczony
wybrykami sztucznej namiętności, wywołanej trawiącą go zazdrością.
Obudził się z taką goryczą w sercu, z takim obrzydzeniem do tego
życia, z taką
pogardą dla swych dni i godzin, swych namiętności i uczuć, iż
postanowił zamknąć
się u siebie, wyteńczyć swój mózg i wymyślić sposób uwolnienia się z
tych kajdan i
wstąpienia na inne tory życia.
Te inne tory zdawały mu się z Olgą niemożliwe, ale zdawało mu się
też, że on jej

brać w rachubę nie potrzebował, bo on jej przecież już nie kochał. Ta zazdrość,
która go pożerała i trawiła, nie była już zazdrością kochanka, tylko ludzkim
samolubnem uczuciem męża-filistra, męża hołdującego przesądom. On już jej nie kochał. Ona już w w nim wypaliła wszystkie fibry,
które łączą się
w węzeł tego uczucia, zwanego miłością, a te, których nie wypaliła, wyciągnęła
tak, iż stały-się nieczułemi.
Tak było, sądził, i to go pocieszało. Mogł spokojnie wyjść na werandę, kazać
sobie podać śniadanie i korzystając z ciszy, panującej jeszcze o tej rannej
porze dokoła pałacu, obmyślić plan dalszego życia. Olgą nie widział potrzeby się
krępować. Kobieta z jej pięknnością i jej milionami, nie potrzebowała do
szczęścia męża a tem mniej zużytego doszczętnie.
Wyszedł na werandę i rozejrzał się po cudownym parku, utworzonym z niebotycznego
lasu, napełnionym woniami bzów i kwiecica, traw i kwiatów, pełnym harmonii barw,
tonów i życia.
Odetchnął.
— Ach! Jakżeby tu błogo było samemu, lub z samą Olgą...
Ta myśl świdrowała mu wnętrzości. By ją przerwać, spojrzął ku gniazdku
jaskółek, aby się przekonać, czy one postąpiły w pracy, czy skorzystały z
poranku dziwnej urody natury, czy się dziś radowały i świergotały, czy się
dąsały, czy z pośpiechem lepiły swój pałacyk ?
Spojrzął i pobladł. Pobladł śmiertelnie. Oczom nie wierzył. Usta zacisnął
wyrazem furii tak mu obcej, iż fizyognomia jego doń się nie nagiwała. Gniazdka
nie było, a widocznie ręka ludzka je zniszczyła i zatarła wszel-

kie po nim ślady i oczyściła gzems złocony.
Rzucił się jak dziki zwierz. Cierpiał tak, jak tylko cierpieć mogą
zdenerwowane
doszczętnie natury. Kipiał tymi wyciągniętymi i drażliwymi nerwami.
Podbiegł do
dzwonka i na guziku jego trzymał palec bez przerwy, a gdy mu się
zdało, że
służący za wolno nadbiegł, rzucił się ku drzwiom i tu spotkał Jana.
— Gniazdo jaskółek! — zawołał dykcją pełną bólu — gniazdo
jaskółek!
Jan stanął wryty, ale fizyognomia jego zdradzała rozstrojonemu
autorowi, że
wiedział, co się z nim stało, że go objaśnić zamierzał.
— Mów! Wszakże poleciłem ci go nie ruszać — podchwycił — któż
mi tę krzywdę
wyrządził? kto mnie tak skrzywdził? mów! — pytał głosem, jakby
mu się na płacz
zbierało.
— Wczoraj wieczorem wyszedł pan do lasu, — mówił Jan — ja
oddaliłem się na
chwilę... Tymczasem jaśnie pani chciała pokazać hrabiemu
Rakuskiemu obrazy
wizujące w tym pokoju.
Jan urwał, bo w tejże chwili Kowieński wycieńczony uderzeniem krwi
na mózg,
poprostu ze zdenerwowania tak chory, iż go irytacja zabić mogła,
obsunął się na krzesło i dopiero po chwili odpoczynku rozkazał:
— Mów!... mów...
— Zaszli państwo i na werandę — ciągnął dalej służący — tam jaśnie
pani
zobaczyła nieczystość na dywanie z Turcyi i na atlasowym białym
fotelu...
Zadzwoiła... Mnie nie było... nadbiegł jeden z kozaków... Jaśnie
panie zgromiła
marszałka dworu... Gdy wróciłem...
— Dosyć! — huknął Rowieński — dosyć! Ruszaj z oczu, żebym cię
za życia mojego
nie widział, boby mnie twój widok zabił.

I Jan uciekł z komnaty, bo pan jego tak dziki miał wzrok, iż
wszystkiego po nim
można się było spodziewać, iż sam truchlał faktycznie, by niestał się
przyczyną
piorunującej katastrofy. Rowieński bowiem powstał i szedł ku niemu
z wyciągniętą
pięścią a tak słaby, iż się chwiał na nogach, a tak blady, jak chusta...
Olga ulegała wrażeniom, których genezy uchwycić, ani zrozumieć nie
mogła. Od pół
godziny Edward jej robił scenę, pierwszą w życiu, niepojętą,
mieszającą jej
zmysły i wyobrażenia o tym człowieku. Wpatrywała się w niego
błędnym i
przestraszonym wzrokiem, bo chwilami myślała, że oszalał, to znów
się bała, aby
nie
zasłabł w tym paroksyzmie niepojętej
furyi.
Spokojnej i apatycznej kobiecie pomieścić się to w głowie nie mogło,
ale
wreszcie pod lekką obrazą jej osobistości zbrakło jej cierpliwości i
wybąknęła:
— Oszalałeś z twemi jaskółkami.
Od pół godziny mi się zdaje, że popełniłam bezwiednie zbrodnię...
— Nie co innego — podchwycił Rowieński, nie dający poprostu
przyjść do słowa
kobiecie, potrzebujący tego wybuchu, tłumionego w sobie od tak
dawna, znajdujący
dziką przyjemność w wypowiedzeniu żonie rzeczy, którychby na
zimno nigdy nie był
powiedział, a które go teraz wzburzonego dusiły w gardle.
— Popełniłaś zbrodnię i nie pierwszą i nie ostatnią, bo nie ma
lepszego
materiału na zbrodniarki, jak kobiety właśnie twego rodzaju,
zaślepione
egoizmem, niezdolne myśleć, nieczułe na piękno natury i poezji...
— Oszalałeś ! — zawołała Olga, powstając i wskazując drzwi
Edwardowi z dumą,

która się w niej pod wielką obrazą obudziła, ze złością zrodzoną w tej
scenie,
której oszalamiające przypisywała znaczenie. — Wychodź!
— Oho! — zakipiał Rowieński. — Cierpię lat dwa w milczeniu i
pokorze,
ale się przebrało miarki. To zburzenie mi gniazda jaskółek otworzyło
mi
wszystkie rany, bo mi je zburzyła ta sama ręka, która mi te rany
zadała. Cierpię
lat dwa z powodu tych właśnie cech charakteru twego, które z
najzimniejszą krwią
wydały rozkaz zatraty dla dwóch żyć i serc. Ha, ha! Ja się dziwię, że
ty mnie
mordujesz, ty! mnie, który się mogę bronić? I ja głupi ludziłem się, że
tych
cierpień moich nie widzisz, cierpień, spowodowanych tą twoją
bezwzględnością dla
cudzych żyć, tem twojem samolubstwem, poświęcającem dla plamki
na dywanie,
życia, twoim szalonym, zaślepionym, potwornym egoizmem, który ci
nawet nie
nasunął pytania, czy te jaskółki mnie nie były miłe, skoro tam były.
Nie
spytałaś się o to, bo przez dwa lata nie pytasz się, czy mi jest miłe
życie,
które mi prowadzić każesz. Przez dwa lata włączysz mnie za sobą po
bezmyślnych,
wstrętnych mi salach głupstwa i egoizmu, pychy i jałowizny. Otaczasz
mnie
ludźmi, których idyotyczne czaszki psują nerwy mego wzroku,
których czcze
paplanie kaleczy bębenki mego słuchu a paraliżuje duszę... Piekło
Dantego dałaś
mi za żywioł przez lat dwa i nie pytałaś o to, czy to mi się podoba i
nie
przyszła
ci myśl uwolnienia mnie, cienia człowieka, jakim jestem...

— I byłeś! powiedz! — wtrąciła nieszczęśliwie wzburzona Olga, by tylko więcej jeszcze podrażnić męża.

— Oh! Co ja tym jaskółkom zawdzięczam. Otworzyły mi one dopiero

— wołał dalej —

oczy na ciebie. Dzięki im poznałem cię dopiero w jednej chwili i przeniknąłem do szpiku...

Olga postanawiała milczeć, zamiar ten dostrzegł Edward, spokój jej go jeszcze

rozstrajał, a duma rozwścieczała.

— Tyś mnie chciała poświęcić twym niskim namiętnościami, twemu samolubstwu. Tyś

we mnie odkryła niemożliwe uczucie i użyłaś go jak doktor nowoczesny, z zimną

krwią nożem prujący ciało ludzkie, aby mi serce i duszę krajać bez żadnej

litości, bez przerwy, z potwornym egoizmem, z wytrwałością niepojętą. I tobie,

potworze, nieczuły na piękno stworzenia, zdawało się, że ty mnie kochasz, a tyś

siebie tylko kochała, i grając na mej nieszczęśliwej, roznamiętniającej mnie

zazdrości, byłaś podobną do tej Messaliny, zarzynającej z najzimniejszą krwią

ludzi... Tyś siebie tylko kochała i to potwornie !

Urwał, by nabrać tchu tylko i odchrząknąć, bo czuł dziką potrzebą w wypowiedzeniu wszystkiego, co mu się na język tłoczyło. Nie czekając, aby

blada Olga, tak osłupiała, iż traciła przytomność, się odezwała, ciągnął:

— I ze zdziwieniem mi się teraz przypatrujesz, że mając tak poważne zarzuty, nie

występowałem z nimi dotąd ? Wierzę, ha, ha ! Musi cię to oszalać, — ciebie,

która mnie poświęciłaś wśród śmiechu i gwaru, która mnie doprowadziłaś do

ostatecznego upadku, jakim jest dla mężczyzny zatracona własna
godność i wola.
Znikczemniłaś mnie tak, iż przez lat dwa nosiłem z rozpaczą w duszy,
ale z
pogodą na czole i uśmiechem na ustach, straszne jarzmo, niszczące mi
ciało i
duszę! Ha, ha, ha! I to ja tak upadłem, ja, pod siłą twego systemu. Ja !
codzień
upadający, ale jak wół karmiony, ja, codzień morfinowany i odurzany,
ja, tak
wycieńczony, abym tylko jeść i żyć był w stanie... Ale już nie mogę!
Nie mogę,
nie mogę!
Upadł na krzesło wysiłony, bez tchu, pokryty potem, trupio blady i
zachrypnięty.
Olga wodziła błędnym wzrokiem. Nie mogła się połapać. Z początku
rozśmieszona,
potem rozłuszczona —
przechodziła teraz w straszną fazę, w której zdawało się jej, że
Edward
mógł jej i prawdę mówić, prawdę ubraną w słowa żalu i wściekłości,
ale prawdę.
Zaledwie w oszołomieniu jej spokojnej natury, która nigdy w życiu
nie słyszała
wyrzutów i podniesionego głosu, zaczęło następować ochłonięcie,
Kowieński znów
odzyskał głos i siły:
— Te jaskółki były mi do szczęścia potrzebne, bo one powiadały
moim spaczonym
zmysłom, że są inne, niż to, jakie ja prowadzę, życia.
One mi powiadały, że natura łączy pary, by im ulżyć w pracy, by im
łatwiejszą
uczynić drogę do celu, by się wspólnie cieszyły każdą chwilą życia i
każdym
błyskiem słońca... Raz samiec niósł za ciężką odrobinę, mającą służyć
do
ulepienia gniazda. Gdy samica to zobaczyła, to poleciała pomódz mu
i we dwoje

ją przymocowali... Raz samiec był zadąsany, czy słaby, czy
zniechęcony, to
samica tak długo dokoła niego fruwała, tak długo na różne nuty
świergotała, tak
długo się przymilała, aż nie zbudziła w nim energii do pracy i wiary
do życia...
A gdy ulepili gniazdko, to cały dzień siedzieli ci ptasi, ale prawdziwi,
tacy,
jakich Bóg chciał mieć małżonkowie, wysileni pracą i spoglądali
sobie w oczy i
rozglądali się w milczeniu po świecie i podziwiali naturę, której do-
tąd podziwiać czasu nie mieli i przerywali zadumę i zachwyt tylko po
to, aby się
siebie wzajemnie spytać, czy jeszcze nie wypoczęli...
Te jaskółki mnie pogodziły z życiem — kończył rozpaczliwym i
prawie zażawionym
tonem — one mnie zwątpiałemu dały uczuć, że ja byłem wyjątkiem, a
cały świat
nieszczęśliwym. One mi dały przekonanie, że małżeństwo natura mieć
chciała, ale
małżeństwo łączące dwie istoty tego samego pragnące, tem samem się
zachwycające,
sobą i naturą żyjące... One więcej mi powiedziały, one więcej mnie
nauczyły, bo
nauczyły mnie i tego, że samiec musi mieć wolę i musi umieć kazać
samicy
zastosować się do tej woli. Gdy gniazdko było skończone, samica weń
wejść nie
chciała, trzeba było widzieć niezadowolenie samca i jego złość i jego
sposoby...
Urwał i zawołał rozpaczliwie: — Ale ja woli nie miałem. Ja
ustępowałem ! Ja
ciebie nie złamałem, bo cię głupio kochałem. Ja cię nie zmusiłem do
upatrywania
życia w moim życiu i zato mam słuszną karę... Ja przystąpiłem do
małżeństwa,
nie zbadawszy praw jego, jako naturalnej instytucji i dla tego ono
mnie

zdruzgotało.

I byłby może ustał, bo i głosu mu brakowało i słabe siły zdawały się porwane w tym potoku nie bezmyślnych słów. Ale widział, co się działo w kobiecie, widział że jej zadawał ciosy, które jednakże zaczynał rozumieć i sądził, iż jej wyświadczy olbrzymią przysługę, otwierając jej oczy na braki jej jestestwa.

Podchwycił więc spokojniejszym tonem:

— Bo genialny twój ojciec źle cię wychował. Popęłił bezwiednie błąd, jak wszyscy ci, którzy coś za dobrze wykonać usiłują. Zapomniał o jednym, o jednym tylko, ale to jasno jest przyczyną twojego niezadowolenia ze siebie, bo i ty nie jesteś szczęśliwą... To jedno jest przyczyną, że mnie uszczęśliwić, może nawet pragnąc tego, nie zdołałaś... To jedno jest przyczyną, że ja dzisiaj przeklinam chwilę, w której cię poznałem... żeś mi zburzyła gniazdo jaskółek. Wychował cię nadzwyczajnie, uczynił cię niepospolitą kobietą, dał ci wszystko, byś mogła być szczęśliwą, usubtelnił twój rozum i serce, wyrefinował twoją duszę, dał ci poczucie piękna, intuicję dobrego i szlachetnego, — ale przecież zapomniał o jednym, a tak ważnym. Zapomniał, że stworzenie ludzkie, człowiek, musi być równomiernie czułym na piękno sztuki i wiedzy, jak na piękno dzikiej natury. Otóż ty rozumiesz wszystko, finezyę inteligencji, sekreta sztuki, odczuwasz piękno literatury i przenikasz subtelne myśli filozofów i psychologów, a nie rozumiesz piękna natury, nie odczuwasz jej wpływu, jesteś głuchą na szepty jej i

stąd płyną wszystkie twoje cierpienia. Bo stąd pochodzi, że mnie
zrozumieć nie
możesz, że zapłonąć nie możesz mojemu aspiracyjom, niezdolałaś
szczęścia i
zadowolenia znaleźć we wspólnym ze mną życiu i zainteresować się
światem
człowieka, którego przecież kochałaś.
Ustał, a Olga zagryzała do krwi usta, aby nie płakać, aby nie
wybuchnąć łzami,
które ją pierwszy raz dławili, do tego stopnia, iż nie wiedziała, czy je
zdoła
opanować. Ten człowiek, ten ukochany Edward mówił jej takie
potworne rzeczy. Nie
pojmowała go, ale przecież ciemna otchłań, która się przed nią
otwierała, nie
robiła na niej niespodziewanego wrażenia. Zdawało jej się, iż patrzyła
w
przepaść, której istnienie czuła, której tylko jeszcze własnymi oczami
nie
widziała. Rwało się coś w niej na drobniutkie strzępy. Edward jej
złorzeczył,
przeklinał ją, fałszywie tłumaczył jej błędy, posądzał ją o uczucia,
które,
jeśli miała, to je miała bezwiednie. Ogarniało ją niepojęte obu-
rzenie na tego człowieka, który w ten sposób wywdzięczał się jej za
miłość
iedyną i bezmierną. Serce jej wzbierało takim żalem, iż czuła, że nie
łatwo
byłoby go rozwiązać i z głębi jej wyrwać. I była przekonana, że
znieawidziła na
zawsze tego człowieka, który miał serce tak do niej przemawiać, który
ją od
dawna już zimno analizował, który ją o nikczemne posądzał pobudki,
który jej
zarzucał bolące ją braki, który wreszcie, jeśli się nie myliła, to jej dla
tego
właśnie nie kochał.

Aby nie zalać się łzami, aby się nie upokorzyć, aby się nie przyznać do niczego,

zapytała:

— I nic więcej nie masz mi do powiedzenia ?

— Nic...

— A więc stało się — ciągnęła drżącym głosem — com przewidziała. Inaczej

pojmujemy małżeństwo..

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się nerwowo Edward. — Inaczej je pojmujemy...

Te słowa dodały siły kobiecie:

— Śmiech twój robi przykre wrażenie i obraża dumę moją jako kobiety, która

widzi, że źle trafiła. Zwalniam cię z danego słowa i proszę o zwolnienie mnie.

— Czyż ja cię trzymam? Czyż od dwóch lat nie robisz to tylko, co ci się podoba?

Czyż...

— Dosyć, sądzę! — zawołała Olga, powstając. — Chyba już mi wszystko

powiedziałeś, co powiedzieć mogłeś. Nie myślę ci ani odpowiadać, bo nie

zamierzam się ani uniewinniać, ani bronić. Jesteś wolny i ja nią jestem. Jeśli

ja dla ciebie jestem nieodpowiednią, to i ty dla mnie.

— Wierzę, gdyż mnie... — podchwycił śmiejąc się Edward. Ale Olga nie pozwoliła

mu dokończyć. Majestatycznym gestem przerwała mu, mówiąc:

— Nie kompromitujże się do ostatka, do nitki... Przedstawiłeś mi się chorym i

słabym. Nie przedstawiaj że się kretynek.

— Kretynem? mówisz?

— Kretynem jest mężczyzna, który wyrzuca kobiecie to, coś chciał mnie w tej

chwili zarzucić...

Rowieński opuścił głowę. Może w furii za wiele powiedział? Może zadaleko go

uniosły nerwy?

— Kretynem zostałem — jęknął — kretynem ? zapewne ! skoro niepotrafiłem cię
sobie przyswoić, skoro dziś obelgę tę usłyszeć mogę...
— Nie mogę opuścić Równa z godziny na godzinę — przerwała mu
głosem drżącym, ale dykcją pełną, siły i woli. — Wdzięczną atoli
panu będę, gdy
mi oszczędzisz swego widoku, co ci trudno nie przyjdzie...
Głos jej załkał. Wyszła, zostawiając ogłupiałego Edwarda.
Nie zrozumiał jej, ale się nie spodziewał takiego końca. Ta zimna
duma w
kobiecie dobiła go moralnie. Ta siła duszy do reszty go rozczarowała.
Kobieta
powinna być słaba...
Wybiegł z szumem w głowie, z dźwiękiem ostatnich słów Olgi w
uszach. Miał jej
oszczędzić swego widoku? Dobrze! dobrze!!
Pospieszył do siebie, a w godzinę później wyjechał z Równa.
I wyjechał bez żalu za tą kobietą, którą kochał szalenie, i którą
tłumiącą łzy
opuszczał, bo czuł, że dalej przy niej w tem położeniu rzeczy
zwaryowałyby, bo
czuł, że każdy dzień tylko pomnażałby ich obopólne żale i rozstrajał
jego
kompletnie chore nerwy.
Wyjechał bez żalu i nie wiedząc, jakie uczucia dla tej kobiety w swem
sercu
żywił. Zdawało mu się, że istota ta jest dlań całkiem obojętna, że
łączyły go z
nią tylko zmysły, dziś zużyte i bez czucia
I rozpędzał wszelkie myśli, aby go nie męczyły, bo poczucie
samozacho-
wania zabijało w nim wszystkie inne uczucia.
Jeśliby nie odetchnął inną atmosferą, toby zginął, w obłęd popadł, lub
w
recedywę choroby mózgowej.
Trzeba mu się było ratować.
To życie w nim wszystko strawiło, tylko nie tknęło zwierzęcia i jego
instynktu

zachowawczego.

Kilka dni później Odrowąż siedział w swym gabinecie i jak zwykle czytał. Okna

otwarte, ale osłonięte żaluzjami nie zagłuszały odgłosów miasta, a stary hrabia

tak był zajęty lekturą, iż nie słyszał, jak powóz 'wjechał w brukowane podwórze

jego pałacu i zatrzymał się pod kolumnadą.

Dopiero gdy doszły do niego pewne odgłosy ruchu wewnątrz samego domostwa,

odłożył książkę i zastanowił się. Jego żywot tak spokojnie i monotonnie płynął

od dnia, w którym go opuściła Olga, ta dusza jego życia, to słońce jego

jestestwa, iż zadziwiła go o tej porze ta niespodziewana wizyta, o której go nie

uprzedzano.

Nadśluchiwał. Służba wyraźnie była poruszona. Wydawano rozkazy.

Dochodziły go

echa głosów i bieganiny, jakiej od dawna nie pamiętał. Wtem drzwi się otworzyły

i stanęła w nich Olga. Odrowąż się zerwał i podbiegł ku niej. Spotkali się w

pośrodku ol-

brzymiej komnaty, i po pierwszych uśmiechach, gdy ojciec objął czułym wzrokiem

panią Rowieńską, lekko pobladł. Fizyognomia jej wydała mu się tak inną, iż na

razie połapać się nie mógł, doznał tylko piorunującego wrażenia, że coś w życiu

Olgi zająć musiało i z przestrawieniem w głosie zapytał:

— Przybyłaś tak niespodzianie? My starzy nawet takich miłych boimy się

niespodzianek... A twój mąż?

Kobieta lekko pobladła, choć oblicze jej zmęczone tylko oku hrabiego odkrywało

odbicie jej duszy.

— Przybyłam sama... odparła z widocznym wysiłkiem, by kwestyę swego przyjazdu jasno i stanowczo postawić, aby o niej najkrócej mówić — przybyłam sama, bo odtąd jestem w życiu sama... Hrabia wypuścił jej dłonie z rąk, obejrzał się za krzesłem, podszedł do tegoż i usiadł na nim, bo mu nogi odmawiały posłuszeństwa. Olga to spostrzegła i podchwyciła:
— Nie tworz się mój biedny ojczy.. Przybyłam sama, bo mnie mój mąż opuścił... — wybelkotała z wysiłkiem, bo łzy zdawały się cisnąć ją w gardle. — Przybyłam i jeśli to możliwe, tobym pragnęła zająć ponownie to miejsce w tym domu, które dawniej zajmowałam... Odrowąż ochłonał. O nic więcej pytać nie chciał, odcienie katastrofy, którą czasami i przewidywał, nie interesowały go w tej chwili. Zależało mu tylko na tem, aby córce wydać się takim, jakim zawsze był dla niej, aby jej osłodzić widoczne cierpienia, o ile ojciec tego rodzaju cierpienia osłodzić może. Powstał, usiłując całą potęgą woli udać, iż nieszczęście Olgi, które ją i jego dotknęło, brał tak naturalnie, jak człowiek każde nieszczęście brać winien.
— Dom ten jest twoim. Nic się w nim nie zmieniło. Nic, ani jeden obraz nie został poruszony z miejsca, w którym go oczy twoje mieć chciały. Ani jeden sługa nie został zmieniony, porządek godzin nie uległ zmianie. Wszystko jak relikwię utrzymałem, niczego nie tknąłem, bo każdy drobiazg mi ciebie przypominał, chciałem bowiem, aby mi się wciąż zdawać mogło, że tam, w swych panińskich

pokojach bawisz... Jesteś znowu! Dobrze. Gdybym z wyrazu twojej twarzy nie czytał,
że powróciłaś do mnie drogą cierpienia, tobym był najszczęśliwszym z ludzi, toby
twój powrót był ostatnim promieniem słońca mej starości... Bądźże więc panią tutaj. Nic się nie zmieniło, tylko to jedno, że
dawniej miałaś w tym pałacu ojca, a teraz będziesz mieć w nim tylko gościa!

— Ależ ja ojca potrzebuję! — zawołała Olga, rzucając się w jego objęcia i
zalewając się łzami i wybuchając spazmatycznym płaczem.

— Moja biedna Olgo! — szepnął stary Odrowąż, kryjąc swoją brodę w bujnych
włosach kobiety i połykając łzy, których za powiekami utrzymać nie mógł.

I od tego czasu kwestyi tej nie poruszali, a dnie w pałacu Odrowąży zaczęły
płynąć tak, jak płynęły przez lat dwadzieścia i pięć, w których duszą jego była
Olga.

Stary hrabia śledził tylko cichaczem zmiany zaszły w córce, a nietylko nigdy nie
starał się dociec genezy jej rozłąki z mężem, ale pieczołowicie oddalał każdą
sposobność, któraby ten przedmiot wyłonić mogła.

Ale cierpiał szalenie, tem więcej może, że nie wiedział, że w ciemną przyszłość
zajrzeć nie mógł. A cierpienia jego powiększał jeden szczegół, który nie uszedł

jego uwagi: Olga kochała swego małżonka...

Zmieniła się nie do poznania, nietylko w porównaniu z tą kobietą, która ten dom w swoim czasie opuściła, ale i z tą, którą po zamążpójściu corocznie

widywał przelotem to u siebie, to w Paryżu, to w Równie.

Nie odnowiła żadnych światowych stosunków, a tryb jej życia przedstawiał

Odrowążowi usposobienie kobiety, zdruzgotanej katastrofą sercową i pragnącej w ciszy i spokoju rekonwalescentki, odzyskać równowagę i ukojenie bólów.

W kilka dni po przybyciu swem powróciła do pielęgnowania panińskiego talentu, który jeszcze w ostatnich latach we Florencji zaniedbała a urządziła sobie tryb życia jak w klasztorze.

Rano do południa przy pomocy artysty Giovanni rzeźbiła, po śniadaniu czytała, po obiedzie odbywała przejażdżkę a wieczór spędzała na werandzie pałacowej, przytykającej do jej apartamentu, na której ją zwykle o jedenastej w nocy

zostawiał Odrowąż, zatopioną w zadumie i gdzie ją jeszcze z okna swej sypialni

nieraz do późna w nocy śledził, zapatrzoną w błękit nieba zasianego gwiazdami i

wzdychającą tak głęboko, że westchnienia dolatywały jego uszu.

— Była więc nieszczęśliwą — mówił do siebie Odrowąż — skoro mogła tak rozmyślać,

jak nigdy nie rozmy-

ślała dawniej, skoro w samotności znajdowała ulgę i lekarstwo.

Nieraz miał dziką chęć rzucenia jej zapytania, zmuszenia tej dumnej damy do

zwierzenia się, aby jej przynieść tę ulgę, którą duszom wywnętrzenie się z

cierpienie przynosi. Zresztą usposobienie Olgi zdradzało mu, że mogła potrzebować

radę, że może błędziła w jednym z tych błędnych kół, w jakie uczucie małżeńskie

czasem kobietę wtrąca.

Ale się powstrzymywał. Cierpienie potrzebowało jak wino wytrawienia i wtedy

dopiero stawało się zdolnym do przyjęcia lekarstw. Zostawiał więc samej sobie tę

zamkniętą naturę, tę wstydzącą się może opuszczenia, kobiecą dumę,
— to
krwawiące się jeszcze a więc nie mogące być gojonem serce.
Zresztą gubił się w domysłach. Rachował, iż ona prędzej czy później
uczuje
potrzebę zwierzeń. Sądził, że Kowieński wytłumaczy mu, choćby
listownie,
niezrozumiałe dlań wypadki. A tu czas mijał, a nic nie wiedział, nic,
kogo
winić, czemu katastrofę przypisać, czego na przyszłość się
spodziewać. Nic nie
wiedział i niczego się domyśleć nie mógł. A gdy praca przenikania
zbyt go
męczyła, oddalał ją od siebie a cieszył się spokojem, z jakim
Olga znosiła swe cierpienia. Bo Odrowąż był zdania, że cierpienie
tylko wskazuje
zbląkanym ludziom nowe i prawdziwe drogi.
Aż raz, po wielu miesiącach pobytu Olgi we Florencyi, nadarzyła się
sposobność,
która niejako zmusiła hrabiego do poruszenia pośrednio okrytej
tajemnicą
kwestyi.
Plenipotent dóbr wołyńskich Równy, zwracał się do niego z
zapytaniem, co ma
począć wobec okoliczności, iż właściciel tychże, Rowieński,
niezbędnie w pewnych
interesach potrzebny, a bawiący w Zakopanem, na wiele jego zapytań,
odpowiedział
wreszcie, że żadnych rozkazów dawać nie myśli, gdyż dóbr tych
fikcyjnym tylko
był właścicielem i prosi o zwolnienie go ze wszelkich trudów a
obowiązuje się do
podpisania tego tylko dokumentu, którym własność dóbr tych, na
właściwą ich
właścicielkę żonę swoją, przeleje.
Odrowąż przedstawił Oldze tę kwestyę, motywując swoją interwencję
okolicznością,
iż chodziło tutaj o poważne sumy.

Pani Rowieńska odparła z wysiłkiem, jękając się i mieniając:

— O ile wiem, pan Rowieński nic nie ma... Opuścił Równa z jednym kuferkiem...

Jest może w nędzy — za-

pytała, bledniejąc i z przestraczem. Ale zaraz się połapała, ochłonęła i ciągnęła:

— Równa było jego własnością. Otrzymał je i przyjął, zdaje mi się, jako podarek

ślubny od ciebie...

— Od ciebie...

— Odemnie więc... - jęknęła, by podchwycić: — Dopóki ja nie żądałam separacji

majątkowej... i on jej nie zażądał... dopóki ja nie zwróciłam podarków jego...

Urwała, zmięszała się i dodała:

— Plenipotent Równa jest porządnym człowiekiem. Niech robi, jak mu uczciwość i

prawo każą... Ja Równa w żadnym razie — ciągnęła z naciskiem — ani odbiorę, ani

przyjmę...

I dzięki tej rozmowie, dowiedział się Odrowąż, iż Rowieński Równa i Olgę w nim

opuścił, iż separacja nastąpiła nagle i bez porozumienia się małżonków, iż Olga

truchlała, by Edward nie pozostawał w braku, iż sama pierwsza węzłów, łączących

ją z mężem, jeszcze zrywać zdawała się sobie nie życzyć.

I dzięki tej rozmowie, Odrowąż przeniknął część tajemnicy i jej genezę i popadł

w większe jeszcze cierpienie, bo córka jego kochała człowieka który ją opuścił i

do powrotu pod rodzinną strzechę zmusił. Ona więc widziała tylko możliwość życia z nim, z Rowieńskim, lub z ojcem. A

więc, jeśli by on do niej nie powrócił, toby jej życie zламаł. I Odrowąż uczuł

głęboki żal do zięcia, który postawił jego córkę w trudnej pozycji kobiety

opuszczonej, a opuszczenia może nie pragnącej.

I uczuł głęboki żal do tego człowieka, którego cenił i jak syna kochał,
a który
cierpiał, by córka jego, pełna życia i namiętności, noce długie
spędzała w
zadumie, pytając gwiazd i bladego księżyca, jaką jej przyszłość
wywróżą, czy
może... jej Edwarda powrócą?
Ta myśl trapiła starego hrabiego i narażała go na cierpienia, jakich
jeszcze nie
zaznał.
Czy ta córka, której cierpienia słodzić musiał, miała być ekspiacją za
te
cierpienia, które trawiły jej matkę, a których on nie spostrzegął i nie
pojmował?
On może teraz nad tem więcej niż Olga bolał.
V.

I tak mijały miesiące, a Olga nie zmieniała trybu życia, tylko z
wzrastającym
ciągle zapalem pielęgnowała sztuką.
Oddała się rzeźbiarstwu z takim zamiłowaniem i taką wytrwałością,
iż wróżyła na
tej niwie siłę pierwszorzędną. Ale nie to, jak sądził Giovanni,
podniecało jej
pracowitość i dodawało jej bodźca.
Ona przywiązywała się do sztuki, bo w oddaniu się jej
bałwochwalczem znajdowała
jedynie chwile zapomnienia i ulgi w cierpieniach. Modelując
popiersie z natury,
usiłując mu nadać życie, wyraz czy podobieństwo, "więcej ciała", czy
"więcej
siły", pozwalała się tak absorbować zamiłowaniu swemu,
kształconemu w niej od
dzieciństwa, w tem dążeniu do doskonałości, iż zapominała o sobie.
Zapominała więc o swój niedoli kobiety opuszczonej przez
ukochanego męża, o
próżni swego życia, o zamglonej przyszłości.

Zapominała. nawet o najgłębszej ranie swego jestestwa, jaka tkwiła w tem, iż
pani Rowieńska powoli traciła żal do męża, a w sobie, w swoim
ustroju, coraz
więcej widziała przyczyny swej niedoli.
Tak! Ona własnymi rękami, widziała to codzień jaśniej, zburzyła
gmach swego
szczęścia, silny w podwalinach, na mocnych wsparty arkadach. Ona
sama i to
wskutek cech swego charakteru, który przecież mogła nagiąć, skoro
jej ukochany
mąż i ojciec, do którego tak nieograniczone żywiła zaufanie, oczy
otworzyć się
starali.
Ach! Ile razy sobie przypominała Edwarda, jak był wyłuszczał swoje
poglądy na
małżeńską miłość słowami, którym tylko przez upór i egoizm nie
przyznawała
bezwzględnej siły, aby im się nie dać pokonać.
Ileż razy brzmiały jej w uszach słowa Odrowąza, wypowiedziane
wtedy, gdy przybył
odwiedzić ją do Paryża, a zwracające jej uwagę na to właśnie, co
przez nią,
ogłupiałą szczęściem, niezdolną do myślenia i poświę-
cenia, nieuwzględnione, doprowadziło do katastrofy.
— Ach! Gdyby te chwile wrócić mogły! Gdyby one wrócić mogły
dzisiaj, gdy
widziała, że bez Edwarda, tego pełnego życia, jak pełny kwiat, nie
odzyska, —
gdy. ślepo już wierzyła ojcu i jego poglądom. Gdyby one wrócić
mogły, te chwile,
w których ratunek był możliwy, jakżeby ona teraz z nich skorzystać
potrafiła.
Jakżeby ją to mało kosztowało, wobec cierpień, które teraz
przeżywała,
zastosować się do upodobań Edwarda, do wskazówek ojca.
Ale wszystko przepadło! Była samą i opuszczoną przez człowieka,
którego

zameczyła, i nie wiedząc nawet, czy i nie zabiła w nim tego potężnego uczucia,
jakie w jego sercu dla niej tkwiło i żyło, nie wiedząc, czy on utraty jej żałuje, czy ona na powrót jego kiedykolwiek liczyć może.
Powoli rozżalenie jej się zatarło w tej pracy myśli, cierpieniem wywołanej, a
przekonywującej jej wyższą inteligencję, że nawet żal do tego człowieka byłby
niesprawiedliwym, że to ona swoją bezwzględnością zmusiła go do kroku, przeciw
któremu lat dwa się bronił, ustępując jej, to zagłuszając i omamiając siebie
samego.
Oh ! Bo ona teraz jasno widziała, przejrzała jasno w tej gorączkowej przeszłości
w ciągu tych długich, samotnych wieczorów, w których wlepiła wzrok w księżyc i
gwiazdy na norenckim niebie i w którychby była wszystkie skarby świata oddała
za to tylko, by mieć przy sobie Edwarda, choćby wyobraźnią bujającego po obcym
jej świecie i choćby niemego i beczujnego na jej wdzięki i zatopionego w
podziwianiu natury i jej ciszy.
Przejrzała jasno i zrozumiała wszystko.
Zrozumiała tak wszystko, iż kochała szalenie i jedynie jeszcze tego Edwarda,
który ją, zapoznał w furę i za zburzenie gniazda jaskółek i przeklinał chwilę,
wiążącą, jego z jej życiem.
A tu nikomu się przyznać, nikomu się zwierzyć.
Gdyby Rowieński był blisko niej, toby niejednego z tych tak długich, tak
bolesnych wieczorów, pobiegła do niego i przyznała się do winy i na kolanach
zebrała przebaczenia. Gdyby wiedziała, że Rowieński zatęsknił za nią, że uczucie

jego całkowicie się nie wypaliło, że żywi szczątki jego tylko, to mimo całej
swojej kobiecej dumy, odszukałaby go na drugim
końcu świata i była pewną jeszcze, że to szczęście, które straciła, siłą
głębokości i prawdziwości swego uczucia odzyska.
Ale ona nic nie wiedziała, Kowieński znaku życia nie dawał.
Rowieńskiego
podstępem nawet do odezwania się zmusić nie mogła. Kowieński
więc o niej może
zapomniał, może doszczętnie zużył to uczucie, które go przecież
wszechpotężnie
do niej przykuwało. Może je spalił tak, iż wspomnienie namiętności
bezmiernej,
rozkoszy odurzających, nie było już w stanie go z popiołów
rozbudzić.
Olga cierpiała, ale już nie tem cierpieniem bezmyślnem, tylko tym
wyższym
fizycznie i moralnie jego stopniem, tem cierpieniem wytrawianem w
pracy mózgu,
powiększonym wyrzutami, nie widzącem końca, a tem okropnem,
przypisywaniem sobie
tylko jego przyczyn.
Ale czuła, że te cierpienia kształcą jej duszę. Ona, co nigdy zrozumieć
nie
chciała Edwarda, dziś go rozumiała. Ona, co jego do siebie nagiąć
usiłowała,
dziś by się do niego tak łatwo nagięła. Ona, co nigdy nie umiała
odczuć uroku
ciszy nocy, pokrytej firmamentem gwiazd złotych, dziś go rozumiała.
— A więc cierpienie tworzyło autorów? — myślała. — Ale Edward,
czy tak w życiu
cierpiał? Nie! A więc przenosząc się w cierpienia cudze, myśleć się
nauczył i w
myślach tych czar odkrył?
Co ona cierpiała, zmuszona do wyęzającej pracy myśli, by w jej
ogniu swoje
odkryć braki i zrozumieć człowieka, nad którego ustrojem,
nieodpowiadającym jej

egoizmowi, zastanawiać się nie chciała.
Co ona cierpiała, nim sama wreszcie przyznała, że kocha wciąż
Kowieńskiego, tego
kochanka, który nią wzgardził i opuścił, obrzuciwszy ją
złorzeczeniami i
zanalizowawszy jej tajne i niskie, bo samolubne pobudki.
I nie poznawała siebie samej. Doznawała wciąż, dziesięć razy na
dzień wrażenia,
że rodziła się w niej nowa osoba, zaledwie do niej podobna, powstała
z nowych i
zdrowych w niej części, a starych zmiążdżonych.
A cierpiała tak, iż chwytiała za dłuto, zaledwie oczy otwarłszy i nie
puszczała
go z dłoni tak długo, aż czuła, że zmęczone ciało nie pozwoli
zmysłom zadawać
zbyt srogich ciosów.
I jednego z takich dni, w których czuła nieprzewartą potrzebę
zwierzenia się ze
swych myśli, odezwała się
do Odrowąza, dotrzymującego jej towarzystwa, a szanującego jej
milczenie:
— Co dzień więcej widzę w tobie, mój ojczy, olbrzymi rozum, który
zrozumiał
życie i naturę ludzką. Im więcej posuwam się naprzód, im więcej
nabieram
doświadczenia, tem więcej przypominam sobie prawdy, którychś rai
w różnych
czasach udzielił, a którym tej co dziś nie przyznawałam głębokości.
— Wierzę ci — podchwycił Odrowąż, obejmując córkę nad wyraz
ciekawem spojrzeniem
— życie zwykle bywa pochodem na drodze cierpień, a cierpienia
tylko kształcą
myśl i duszę...
— Jakie to smutne...
— Ha!
Po krótkim milczeniu, Olga zaczęła:
— I tak, pamiętam, Jakżeś mi raz tłumaczył praktyczny cel
zamiłowania do sztuki

i przewidział chwilę, w której ona mogłaby mi osłodzić życie i długie dni..

Cobym ja dziś poczęła bez mego rzeźbienia, które mnie absorbuje, daje mi iluzję celu, promienie zadowolenia.....

— Moja biedna Olgo ! — westchnął hrabia i niepowstrzymał dwóch łez.

które mu spłynęły po policzkach i które widziała Olga. Ale one nie rozbroiły

silnej kobiety. Chwilę tylko miała ochotę rzucić się w objęcia ojca i wypowiedzieć mu się wcześniej z tajonych bólów. Ale powstrzymała się. Cóż jej mógł

powiedzieć ojciec? Czyż wiedział, czy ją Edward choć trochę kocha jeszcze ? Nie

! nie wiedział. A więc po cóż mu miała odkrywać swoją ranę, a jątrzyć tem jego

ranę tylko? Mogła bez tego zasięgnąć jego rady w tem. w czem potrzebowała. Pocóż

miała być słabą w nieszczęściu ? To się wydało jej niegodnem wyższości,

wykształconej i samodzielnej duszy; kto własnymi rękami zburzyć umiał gmach

szczęścia, powinien umieć go własnymi odbudować.

Odrowąż pierwszy podchwycił, skoro odgadł genezę milczenia córki:

— Tak ! Pamiętam. Mówiłem ci to, choć nie przypuszczałem, by prawda ta miała ci

się przydać. Wyjawiłem ci ją, usiłując ci rzucić właściwe światło na wszystko,

ale nie sądząc, byś i tej prawdy doświadczyć miała. Niestety stało się inaczej i

wielkie zaiste szczęście w nieszczęściu, że ci sztuka osłoda...

— Ale — podchwyciła prawie przerywając Olga — czyż nie ma jeszcze innego środka,

czyniącego lżejszem

cierpienia ? — pytała, obejmując Odrowąża tak ciekawym wzrokiem, iż tenże się

zastanowił — czy nie ma potężniejszego jeszcze zamiłowania od tego do sztuki i

odpowiedniejszego do gojenia ran serca.

— Nie... rozumiem cię — bąknął hrabia, wysoce zaciekawiony, bo widział głęboką myśl, ukrytą w znaczącym treścią i dykcją pytaniu pani Kowieńskiej. Ale ia nie

odpowiadała, więc po pauzie zagadnął:

— Z doświadczenia mojego własnego życia i mojej obserwacji, przekonałem się, iż wysoce wykształcone dusze, dotknięte cierpieniem, koła najskuteczniej nauka i sztuka. Sam cóżbym był bez nich począł ? Ty, gdy się znalazłaś w położeniu, w

którem nas ludzie męczą, hałas boli, uciekłaś sama, własnym instynktem do

sztuki... przypomniałaś sobie, żeś miała być rzeźbiarzem...

— Nie przeczę — odparła Olga znów tym tonem pełnym głębi, zastanawiającej

Odrowąza. — Ale czy prócz sztuki nie ma jeszcze innego środka, może

potężniejszego, na subtelne rany skuteczniejszego? Środka, szczególnie dla

kobiet odpowiedniego? Kobieta przeciętna rzadko kiedy bywa dość wykształconą, by

się w sztuce rozmiłować do tego stopnia, iżby w pielęgnowaniu jej mogła znaleźć absorbujący myśl i wyobraźnię cel.

Więcby nic nie

pozostawało dla ludzi o niewyrafinowanych gustach ? o nieczułych. na piękno

sztuki duszach ?

Hrabia opuścił głowę ku ziemi" zmarszczył czoło, ściągnął krzaczaste brwi i

zaczął szarpać swą białą brodę i muskać ją w spiczasty koniec. Myślał z

wyężeniem rzadko go już opanowującym, a mimo to jakąś dziwną igraszką myśli nie

trafiał na tę strunę, w którą, czuł, że uderzała Olga, To go męczyło i niemal

przestraszało tem uczuciem, jemu tylko dostępnem, a tak indywidualnem. Czyżby, wysiliwszy się, by Oldze dać wszystkie środki do życia, był o czem przepomniął ?

Pani Rowieńska podchwyciła:

— Musi być jeszcze inny środek, naturalniejszy, prostszy, nie potrzebujący tu pomocnicy, zależnej jak sztuka, od pieniędzy, bo przecież siłą pieniędzy otwiera się dusza, a kształcą oczy, aby zrozumieć sztukę. Ten środek będąc naturalniejszym, mógłby być skuteczniejszym?

Odrowąż formalnie cierpiał. Już widział, że córka jego zmierzała wprost do czegoś, a nie macała na ślepo. A on trafić nie mógł. Różne przychodziły mu myśli, ale o każdej czuł, iż nie była w tej chwili równoległą z myślą kobiety. Czyżby więc nie rozumiał jej,

nieodgadzał? dziś? gdy przenikliwości jego i trafności więcej niż kiedykolwiek potrzebowała?

Prawie zniecierpliwiony zawołał:

— Są różne środki, ale dla ciebie one niedostępne.

— Niedostępne?

— Są obowiązki, które koją bole serc i dusz, ale trzeba je mieć naturalne, a nie fikcyjne... Jest praca, ale na to trzeba być mężczyzną i rzemieślnikiem rąk czy

myśli... Są poświęcenia, ale na to trzeba mieć chorobliwą egzaltację, lub wyszłe

z mody a więc i ze krwi naszego społeczeństwa ideały... Są.... są....

Urwał i otarł pot z czoła, występujący drobnymi kroplami.

Olga spostrzegła znużenie ojca i podchwyciła:

— A miłość i rozumienie natury ?

Odrowąż podrzucił głowę, wytrzeszczył wzrok, który nadał jego fizyognomii wyraz

osłupienia i przestachu. Długo, bardzo długo nie spuszczał z oka kobiety i

pochłaniał ją na pozór bezmyślnym spojrzeniem, bo w mózgu jego
taki zapanował
war myśli, taki chaos niepojęty.
Grobowe panowało milczenie..
I wreszcie Odrowąż, który ukrył oblicze od dawna już w swych
dłoniach, westchnął
i zawołał z dykcją pełną bólu, ale i siły:
— A więc, mimo takich wysiłków myśli, byłem jeszcze ślepy i prze, -
pomniałem o
tak potężnym środku, którym cię uzbrajając do walki z cierpieniem,
możebym był
uchronił od tegoż....
Odrowąż w jednej sekundzie zrozumiał genezę nieszczęścia Olgi, a
ona odczuła, że
ją rozumiał, z wyrazu jego zgnębnego, zastraszonego i walczącego
przeciw
sobie samemu, oblicza.
Wstał i wyszedł. W głowie mu szumiało. Rozmowa z Olgą nappełniła
go wrażeniem
niepojętej katastrofy. On ją źle wychował, fatalnie, skoro zapomniał,
że zanim
była dzieckiem wieków wiedzy, nauki, humanitaryzmu, sztuki i
postępu, była
dzieckiem dzikiej natury. On był przyczyną nieszczęścia, które
wy płynęło z tego,
że zrozumieć nie mogła Kowieńskiego, a zrozumieć go nie mogła, bo
drganie tak
potężnej struny w człowieku, była niższą od niego.
I uczył, że teraz dopiero zacznie się dlań życie prawdziwego
niepojętego
cierpienia.

* * *

Od dnia tego nie mówili prawie ze sobą, ojciec z córką. Ona dalej
wiodła swe
życie zamknięte w sobie a on zagłębiał się w zadumach, które o mało
nie
przyprawiały go o szaleństwo.

Jeśli wadliwość wychowania Olgi była przyczyną, że natura jej nie harmonizowała
z naturą człowieka wszechstronnie wykształconego jak Kowieński;
jeśli dziś Olga
sama spostrzegła, że brak jej było tego odczuwania wpływów natury;
jeśli brakowi
temu przypisywała swoją niedolę, to przecież on był tylko temu
winien, on
wyszukujący najsubtelniejsze odcienia, którymi by mógł
skompletować jako kobietę
Olę, zapomniał o — naturze!
Bo tak rzeczywiście było. Zapomniał o niej jakimś dziwnym zbiegiem
okoliczności,
jakiemś zaślepieniem, nie znajdującem wytłumaczenia, jakąś
abnegacją umysłu,
podobnego do żołądka, który głodny spoglądał na deser, a nie widział
mięsa,
jakąś igraszką życiowej, a ciężącej nad nim Nemezys.
Tak! On sam ją wychodował w taki sposób, który wprost prowadził
do unieważnienia
przemoznych i prześwieatnych wpływów natury. Wszakże ją
wychował w Florencyi,
otoczył zbytkiem, poddał wpływom wyrafinowanych substancyj
umysłowych, nauki,
wiedzy, postępu filozofii i sztuki, a
nie poddał jej, ani przez dzień jeden świetnym wpływom szerokiej,
cichej i
orzeźwiającej natury.
Popełnił zbrodnię, o której nawet genezę nie pytał, ale której cały
ciężar i
całą odpowiedzialność jednakże odczuwał.
W ciągu dni dziesięciu zmienił się nie do poznania. Zbladł, wychudł
w tych
cierpieniach obarczonej wyrzutami sumienia czy rozumu — głowy,
A dziesiątego dnia wszedł do gabinetu Olgi, zajętej rzeźbieniem i
odrazu
siadając tak ją zagadnął:

— Otworzyłaś mi kiedyś oczy na wadliwość twego wychowania pod pewnym doniosłym
względem.

— Uczyniłam to bez celu! — odparła zaraz Olga, która cierpienia toczące wewnątrz
ojca widziała — a w każdym razie uczyniłam to bez myśli
zaprzątnięcia twej głowy
niepotrzebnymi troski.

— Przeciwnie błogosławię godzinę, w której ei myśl przyszła
podzielenia się ze
mną twem wrażeniem. Nie ma doskonałości na świecie, to też i ja nie
zdołałem być
doskonałym...

Popełniłem błąd, popełniłem olbrzymi błąd, wypływający z
relatywnej
jednostronności mego umysłu, skorego do brania tylko w rachubę
wyników wiedzy.

Urwał, zamyślił się i ciągnął dykcyą zboląłą, pełną wyrazu i intonacyi
z powagą
wzruszającą:

— Błąd ten mój spowodował nieszczęście, które na ciebie spadło.

Byłoby do niego
nie doprowadziło może wychowanie całkiem losowi pozostawione,
ale doprowadzić
doń musiało wychowanie twoje, tak wykończone w subtelnościach, a
zaniedbane w
kierunku tak pierwotnym i silnym, jak natura!

— Ależ ojczy mój ! — zawołała Olga wzruszona.

Odrowąż skinął ręką.

— Nie mów mi, nie przecz! Ja przejrzałem jasno. Ja wszystko wiem...

— Ależ papo!!!

— Ja wszystko wiem! — powtórzył grobowym głosem hrabia.
Zapanowało milczenie w komnacie, które przerwał, zaczynając
zwyczajną, gdy

poważnie mówił, dykcyą:

— Otworzyłaś mi oczy w bardzo stosownej chwili. Nigdy dusza
ludzka nie jest

bardziej skora do poddania się wpływom natury, bardziej podatną do
zrozumienia
jej i odczucia jej piękna, a uchwycenia jej cudownych tajemnic, jak
wtedy, gdy
cierpi! Lud biedny, który cierpi całe życie, nie cierpi właściwie
dlatego tylko,
że ro-
zumie pierwotnie, ale głęboko, naturę.....
Urwał, odetchnął i z energią podchwycił:
— Teraz jest najodpowiedniejsza chwila, byś przystąpiła do
wypełnienia braków
twojej tak strasznie jednostronnej edukacji. Teraz jest ten
najwłaściwszy moment
ku poznaniu natury, przejęciu się nią i ku naprawieniu w ten sposób
twego
moralnego organizmu. Z gruntu on jest wadliwy ani ciębie, ani nikogo
uszcęśliwić nie zdolny, bo podobny do żołądka młodego człowieka,
tak popsutego,
iż pragnie zaspokoić głód ciastkami i winem szampańskim,
kawiorem i koniakiem,
a nie, jakby się należało, mlekiem, chlebem i owocem. Winnaś
dołożyć wszystkich
starań, na jakie twe jestestwo zdolne, iżbyś w krótkim czasie
odzyskała czas
stracony i zdołała z całą świeżością nowej duszy osiąść błogie
skutki,
wyływające ze zrozumienia dzikiej, pierwotnej, nieokiełzanej,
poważnej natury,
jej nadewszystko piękna, jej odurzającego czaru, jej szeptów i płaczu i
śmiechu.
Urwał, bo Oldze łzy w oczach stanęły. Ona sobie przypomniła
Rowieńskiego, który
jej niejednokrotnie to samo choć innemi słowy mówił. W jej
oczach stanęło morze, które on tak lubiał, a którego piękno ona teraz
dopiero
odczuwała. Przypomniało się jej Równno ze swemi równinami, które ją
dawniej tylko

zasmucały, a które dziś, w wspomnieniu, smutkiem swoim zachwycaly.

— Mów ojcie! — zawołała. — Raz tylko w życiu dałeś mi wprost radę, a raczej

wskazówkę, której nie uwzględniłam i czego do dziś dnia żałuję.

Ślepo ci więc

wierzę...

Odrową chwilę pomyślał, ale chwilę tylko, bo zaraz odgadł, do jakiej wskazówki

Olga aluzję zrobiła i podchwycił:

— Teraz jest ku temu pora. Cierpisz ! I gdyby to było możliwe, toby mnie

cieszyło to twoje cierpienie, bo ono tylko jedno pozwoli ci naprawić błąd mój i

przynosząc ci prawdziwą ulgę, pozwoli ci tyle wiedzy życia

zaczepnąć z czulego

przyglądania się naturze, ile być może, nie byłabyś zaczęła w ciągu całego

twojego żywota z miliona doświadczeń i tomów...

— Mów!

— Słuchaj mnie!... Radziłbym ci więc bezzwłocznie, korzystając z pory

odpowiedniej, osiąść na wsi, w jednej z tych okolic, w których wspaniała i

pierwotna natura najgłośniej przemawia

do duszy ludzkiej, w których roztacza się taki jej przepych, iż musi on

zachwycić i taką, jak twoja, głuchą duszę... Radziłbym ci tam osiąść w skromnym

otoczeniu na przykład pani Duclos i kilku sług tam wziętych, a wystawić sobie,

że jesteś zwykłą śmiertelniczką, pragnącą odetchnąć świeżym powietrzem i zagoić

twoje rany... Dźwięk pieniędzy nie harmonizuje z szeptem natury. To dwie muzyki,

które się nie znoszą, bo jedną stworzył wielki Bóg, a drugą mały człowiek.

Wyobraź więc sobie na czas tej edukacji i próby, że nie jesteś bogatą..

Nie

wiem, co wolisz: góry czy równiny, lasy czy też łąny...

— I ja nie wiem — westchnęła Olga.

— Jak to?

— Nie wiem... Gdy byłam na morzu, morze mnie pognębiało, a Edwarda...

Urwała, ale hrabia z nagłym blaskiem w oczach podchwycił:

— Edwarda?

— Jego ona zachwycało, odurzało! W Równie to samo. Równina

mnie doprowadzała do rozpacz, a dziś...

— Dziś?

— Dziś w wspomnieniu mi się... podoba.

Hrabia głęboko odetchnął. To był rodzaj pierwszej spowiedzi, jaką mu córka od

urodzenia uczyniła. Cierpienie i uczucie przetrawiało tę dumną duszę.

Była na

dobrej drodze. Żeby mu tylko Bóg pozwolił uczynić ją zdolną jeszcze do

szczęścia.

— Usposobienia pełne wewnętrznego ognia i wyobraźni, stąd też umysłowo namiętne

i niespokojne, lubią naturę wspaniałą, monotonna, spokojną, która jak balsam na

nią działa... morza, równiny... Taką naturę lubią namiętni marzyciele, jak

Malczewski... Taką, szerokie charaktery, jak Rowieński...

Usposobienia

apatyczne, nie bawione własną wyobraźnią, nie sięgające w nieprzejrzaną dal,

lubią bawiące je różnaitości, a więc góry i lasy, wąwozy i tę feryę natury. Tę

drugą nazywają właściwie piękną naturą, ale nie dlatego, aby była od poprzednio

wspomnianej piękniejszą, tylko dla tego, że dużo jest ludzi potrzebujących być

bawionymi, a mało bawiących się samymi sobą. Prawdziwie
wykształcony człowiek
powinien jednakowo kochać, rozumieć i oceniać pierwszą jak i drugą,
ale takich
naturalnie jest jeszcze mało, jak mało jest tych wyrafinowanych
znawców sztuki,
którzy jednomiernie lubują się i w rzeźbie i w malarstwie.
Olgę porwał ten przedmiot rozmowy, pierwszy raz między nią a tym
człowiekiem,
znającym tajemnicę przenikania, poruszony. Zapomniała się da tego
stopnia, iż
znów podchwyciła:
— Rowieński wszakże był człowiekiem wszechstronnie
wykształconym a przecież
wolał morze i równinę.
— Nie! — zawołał Odrowąż głosem stanowczym, który jeszcze
więcej przykuł uwagę
kobiety — nie wolał on nic, a najlepszym dowodem, że opuścił
Równo, aby osiąść w
Zakopanem, w krainie zupełnie odmiennego piękna natury. Gdy
namiętności w nim
kipiały, to potrzebował spokoju i powagi morza. Gdy niezadowolenia
szarpały mu
duszę, to lubiał uspokajające wrażenie równin, które mają dar
rozmarzania
serc... A gdy uczuł potrzebę nie życia swoim własnym wnętrzem,
pełnym smutku,
domagającego się zewnętrznych wrażeń, pełnym cierpienia, które
zawsze, jeśli
głębokie, jest spokojnem, zapragnął przygniatającej różnorodności, to
jest
oszałamiających wyobraźnię swą fantazyą gór.
— Wybierz-że więc dla mnie ojciec odpowiadającą mi naturę... —
szepnęła po
długiej pauzie Olga.
— Czy tylko trafię? Wszakże nigdy nie odkryłaś mi stanu twej du-
szy... — podchwycił hrabia smutnie, a Olga zaraz wtrąciła z
wysiłkiem:

— Ale go znasz pewnie lepiej odemnie.

Nastąpiło długie milczenie. Oboje zatopili się w zadumie, wypływającej tym razem z tych samych pobudek. Olga zagłębiała się w samej sobie i nie mogła sobie wyobrazić pejzażu, któryby koił jej nerwy i łagodził myśli. To sądziła, że w Równie byłoby jej dobrze. Ale czyż ona mogła jechać do Równa? Czy wspomnienia Edwarda nie dusiłyby jej tam? To znów jej się zdało, żeby nie zniosła w obecnym swem stroju moralnym tej nieprzejranej równiny, której monotonię zmieniały tylko zieloności tony.

Nie! Doprawdy! Ona nie wiedziała czego potrzebuje w chwili tego przejścia, w której wiedziała tylko, że nie zniosłaby ludzi, ale i nie zniosłaby też ciszy, zmuszającej ją do wnikania w siebie i nie przerywającej niczem jej smutnych myśli.

Odroważ dopiero po długim namyśle odezwał się:

— Sądzę, że odpowiadałaby ci jakaś miejscowość, wybrana w ludnym i górzystym

Tyrolu. Szwajcarya jest już zbyt strojna i ręką ludzką ubrana. Nie znosisz

ludzi, a ludzie uzupełniają naturę, bo razem z nią powstali i są jej koniecznością. Tyrolczycy przystojni, typowi naturalną pierwotnością i pięknnością swych natur, pogodzą cię w zasadzie z ludzkością..

Potrzebujesz natury barwnej, rozmaitej i uroczej. Potrzebujesz tej feryi dzikiej

natury, potrzebujesz jej tak jak ten wyrefinowany człowiek naszej epoki

potrzebuje wieczór dla wypoczynku po całodziennych wysiłkach myśli i nawale

wrażen, bezmyślnej operetki. I ty także od roku nadmiernie wyteżyłaś swój mózg i

w sobie żyłaś. Potrzebujesz natury, któraby cię wyrwała z błędnego koła... Ale potrzebujesz i natury, któraby cię zmusiła do odczucia jej czaru, tak potężnego w Tyrolu, iż zawsze od lat jest ona skarbnicą dla tych, którzy tezę potęgi natury zbadać psychicznie i przeprowadzić usiłują... Ta tyrolska natura tworzy ludzi najnormalniejszych. Kozak ukraiński, zdolny nie odczuć nudy, gdy całą dobę, siedząc na swym koniu pomyka równym stepem i nuci smutną piosnkę, ani też włoski bandyta, znajdujący niezrównany urok w kryciu się po górach i skałach a czychający na mord i złoto, nie są normalnymi typami w porównaniu do ptasznika z Tyrolu, który rzemiosł* swego za żadne skarby na świecie nie porzuci... Widziałem chłopów poleskich, będących kelnerami w Paryżu. Widziałem kataryniarzy czeskich przygrywających na śniegu rosyjskich stepów, widziałem murzynów otwierających drzwiczki karet, widziałem Włochów zakładających restauracje w Polsce.. ale nie widziałem Tyrolczyka opuszczającego swój kraj dla zarobku czy zaspokojenia swych zachcianek... Oto przykuwająca potęga tyrolskiej natury, która jest tak piękna i ludziom odpowiadająca, iż nawet w naszym stuleciu im do szczęścia wystarcza.

— A więc Tyrol! — zawołała z zapalem Olga.

— Wyjeżdżasz?

— Choćby jutro!

— Doskonale!

— Ale ty ze mną? — zawołała Olga.

— Nie, moje dziecko — odparł Odrowąż. — Im więcej będziesz samą, tem więcej

będiesz z naturą, a tem samem coraz mniej samą.
— Ale cóż ja bez ciebie pocznę? bez ciebie, który mi ciągle jesteś
potrzebny do
uchylania zasłony na rzeczy, wydające mi się jeszcze...
— Właśnie potrzebujesz być sarną — podchwycił Odrowąż — w tej
nowej szkole i w
tej pracy myśli, której siłą sama uchylisz sobie każdą za-
słonę... Zresztą będę cię często odwiedzał...
Olga w odpowiedzi westchnęła tylko. Jeśliby kiedy Rowieński do niej
powrócił,
toby ją znalazł może z wypełnionym tym brakiem jej jestestwa, który,
jak
twierdził, był przyczyną jej i jego nieszczęścia.

* * *

Pani Rowieńska bawiła od pół roku w Tyrolu. Nie była szczęśliwą, ale
była
szczęśliwszą.
Urządziła się w ten sposób, aby fizyczne zajęcie jej godzin nie
zostawiało jej
ani chwili na rozmyślanie i żale. Wzięła pod swoją opiekę szkółkę
dziewczyn w
pobliskiej wiosce i otworzyła tamże zakład rzeźbiarski. Prócz tego
pracowała
sama prawie z namiętnością, wykonując wizerunki typowych
Tyrolczyków w
terrakocie, których całe legiony stały w jej improwizowanej w lecie
pracowni.
Pozujący jej modele rozmawiali z nią, jak z równą sobie i
wtajemniczali ją w
pełne czaru swoje legendy i gusła.
Na świat cały nowy, wonny i uroczy uchylała się przed nią codzien
szerzej i
wyżej zasłona.
Dobroczynność jej ściągała setki ludzi, których zdziwienie na widok
zwykłej,
skromnie ubranej kobiety,

miasto jakiejś czarodziejskiej królowej, bawiło Olę.
Nie tylko z namiętnością, właściwą jej naturze, wzięła się do życia
naturą, ale
nawet z indywidualną jej werwą, graniczącą bardzo blisko z
ekscentrycznością.
Tak się zajęła młodym, przystojnym ptasznikiem, który jej sprowadzał
ptaki w
celu oddawania im wolności, iż zaniepokojona pani Duclos uznała za
stosowne
wezwać Odrowęża. Ten też rzeczywiście nadjechał i uśmiechnął się
tylko na
podejrzanie starej przyjaciółki domu.
— Cóż mam począć — odparł — jeśli ptasznik jej się podoba?
— Ależ... — zawołała pani Duclos, wznosząc oczy ku niebu.
— Ptasznik jest mężczyzną tak dobrym jak wszyscy...
Pani Duclos więcej słuchać nie chciała. Ona nigdy nie podzielała
zapatrywań
hrabiego.
Olę zdawała się powracać do zdrowia i życia. Nie przeszkadzał jej,
bo -dzień
pani Kowieńskiej był zapełniony.
Olę wszystko bawiło do tego stopnia, iż hrabia nie poznawał jej
apatycznej
natury. Od świtu do nocy na nogach, krzątała się po domostwie,
dozorowała krów i
kur, wglądała w potrzeby i stosunki sąsiadów, u których
w ciągu tak krótkiego czasu, zyskała nieograniczone zaufanie.
I Odrowęż nawet zbadać nie mógł, czy ta kobieta oddawała się tym
zajęciom z tych
samyh pobudek co rzeźbiarstwu we Florencyi, czy też porwaną
została urokiem
życia wiejskiego.
Nie mógł zbadać, bo i Olę nie umiała rozwikłać przyczyny tego
entuzjazy, który
w swem sercu dla natury czuła i nie wiedziała doprawdy, czego w niej
więcej
szukała, czy zapomnienia, czy zadowolenia.

Czasem miała ochotę spocząć i pomyśleć o przeszłości, o Edwardzie,
ale wtedy
zwykle przypominała sobie obowiązek niecierpiący zwłoki, a
powołujący ją do
jednego z tysiąca zajęć, którymi dzień wypełniała.
Czasem wieczór siadała na zanurzonej w zwojach winograd u
dzikiego werandzie i
odurzona zapachami ziół leśnych i drzew, kołysana niezrównaną
melodyą śpiewu
ptaków, postanawiała myśleć o sobie — o Edwardzie! Postanawiała
pytać się gwiazd
i księżycy, czy go jej oddadzą, żaliła się im, że go przy niej nie ma...
Wspierała głowę na dłoni i smętnym wzrokiem wodziła po przestrzeni
nieba,
unikając rozrywającego ją widoku gór i lasów.
Ale wtedy, zanim zdołała przenieść się całym swym jestestwem w
przeszłość, zanim
zdołała wszechpotężnie narzucić swej wyobraźni Rowieńskiego,
zmęczone fizycznie
jej członki brały górę nad wyobraźnią i... usypiała.
Nieraz pani Duclos musiała kazać przynieść Olgę z werandy do
sypialni, tak
zmęczoną, iż niezdolną się obudzić.
I opowiadała za widzeniem Odrowążowi:
— Gdy tylko ją napada tęsknota, to całe szczęście, że usypia... Usypia
zaraz,
podczas gdy we Florencji, ileż razy wschodzące słońce zastawało ją
na tarasie ?
Ileż razy westchnienia jej dochodziły mnie tam w nocy... ?
A hrabia odpowiadał:
— Staraj się pani, aby zawsze tak była zmęczoną.
Ale nikt nie wiedział o tem, że gwiazdą przewodnią w tej nowej
szkole życia był
Oldze — Rowieński. Pokochać naturę, aby się zbliżyć do niego, aby
się podobać
jemu, który się o nią nie pytał, o którym nie wiedziała prawie, czy
żyje i czy

go kiedy zobaczy. I każdy dzień, w którym zapoznała się z jakimś nowym tonem natury, uchwyciła jaki nowy jej szept, czy barwę, przynosił jej niewypowiedzianą rozkosz tem uczuciem tylko, że się zbliżała do Edwarda, że sądziła się być taką, jakąby mu się podobała.

Ach! Jakże ona teraz żałowała nieraz tych rzadkich posiedzeń z Edwardem na

pokładzie "Fellicity", na terasie w Kownie, gdy on jej usiłował otworzyć duszę i

oczy na czary przyrody. A ona wtedy czując, iż zrozumieć go nie potrafiła,

zrozumieć go nie chciała, że nierozumie, udawała.

Te myśli takie jej zadawały cierpienia, iż nieraz i one bodźcem były do tego

zajęcia, graniczącego prawie z ciężką pracą fizyczną. Zameęczała się, aby wieczór

módz usnąć, a nie myśleć. I błogosławiła tę czarodziejską potęgę natury, która

zadanie to nad wyraz ciężkie, gdyby nie okraszone wzrastającą miłością przyrody,

łatwem i znośnem czyniła.

— Cóż sztuka? — nieraz mówiła — rzeźbiąc, myślałam i cierpiałam... Tutaj...

cierpieniu uciekam.

W tej epoce Odrowąż postanowił zrobić ubóstwianej córce niespodziankę i zajechał

raz do willi.

Nie zastał nikogo w domu, prócz służby. Pani Duclos i Olga były na weselu

chłopskiem. Protegowany jej ptaszniak żenił się z wybraną mu przez Olgę

pastuszką.

Ponieważ była to już późna godzina popołudniowa, a ślub odbył się rano, więc

Odrowąż, spodziewający się niebawem powrotu córki, polecił nie
uprzedzić jej o
swoim przyjeździe.
Bawił w dużym salonie i obserwatora okiem śledził zmiany zaszłe w
domu od
ostatniej jego bytności. Te zmiany bowiem były wskazówkami jego
życia. Dumna
kobieta nie zwierzała mu się nigdy z niczego. Z tych zmian, na pozór
nic
nieznaczących drobiazgów, Odrowąż nauczył się przenikać stan jej
duszy, stopień
jej cierpień, interes jej życia.
Nic prawie nie uległo metamorfozie. Przybył tu jakiś haft wiejski, tam
ptak
wypchany, tu książka, ówdzie rzeźba z drzewa czy terrakoty.
Olga więc żyła dalej tem samym życiem.
Stary hrabia siedział i rozglądał się badającym ale charakterystycznym
wzrokiem
obserwatora, gdy oczy jego padły na numer polskiego dziennika,
który był
nowością w tym domu. Uchwycił go i przejrzał, ale nie znalazł w nim
nic
ciekawego. Posmutniał.
Polska dała mu wszystkie jego cierpienia. I teraz, gdyby nie
Rowieński... A Olga
widocznie ją wciąż lubiła. Gdyby Rowieński nie był Pola-
kiem, to byłby innym może... A może by nie był innym, ale zawsze
dlaczegoż
Polska mu dała tego fenomenalnego zięcia, któremu nic nie mogąc
zarzucić, musiał
doń czuć żal, że cierpieniem i troską zatruwał mu dnię kresu jego
żywota.
Odłożył obojętnie dziennik i nie tknął licznych innych jego numerów.
Ocknął się i zadziwił. Na zadumie upłynęło mu sporo czasu. Słońce
zbliżało się
do gór i miało się wnet za nie schować, a Olga nie wracała. Powstał i
postanowił

udać się na wieś. Ta myśl go ucieszyła. Czemuż wcześniej nie wpadł na nią?

Wszakże toby rozkoszą dlań było zająć niespodzianie Olgę, bawiącą na weselu,

może śmiejącą się, a może nawet tańczącą? Jakże on był starym i już...

Wyszedł przyspieszonym krokiem i zasięgnąwszy języka co do miejsca pobytu córki,

udał się wąwozem w stronę wsi.

Spotkał w drodze lokaja, który spieszył z paczką w ręku i listami nadeszłemi

poczta.

Odrowąż go zatrzymał i przejrzał korespondencję. Paczka zawierała dwie lub trzy

książki, a nosiła na swym grzbiecie firmę krakowskiej księgarni.

Lokaj się odezwał:

— Pani kazała mi dać znać sobie, gdyby paczka nadeszła.

— Pani więc czeka na tę paczkę ?

— Tak! Książki z Krakowa. Wszakże to książki z Krakowa?

— Książki z Krakowa? — powtórzył Odrowąż i dodał — ja idę i powiem pani.

Rozeszli się.

Hrabia to przyspieszał kroku, to go znów zwalniał, ile razy się zatopił w

zadumie. Olga czekała z niecierpliwością, jej zupełnie obcą, książek z Krakowa... książek chyba tylko Jana z Gdowa?... Ona więc jeszcze o nim potężnie

myślała... Jakież temu koniec będzie?...

Myśląc zaszedł do chaty, w której brzmiała muzyka tak harmonijna, jaką się tylko

w Tyrolu słyszy.

Hrabia wsunął się do obszernej izby, w której tańczono i stanął w progu,

usiłując być niespostrzeżonym. Udało mu się to, jakkolwiek to ten to ów znał go

i poznał. Ale w zgiełku i hałasie rozbawionego chłopstwa, nie zwrócono nań

uwagi.

Dostrzegł panią Duclos zabawnie wyglądającą, na ławie między dwoma starymi góralkami, ale nie mógł zobaczyć, Olgi. Nie mógł jej dostrzedz długo i zapytał stojącego obok niego mężczyzny:

— A pani z willi ?

— Jest! — odparł z dumą góral.

— Ale gdzie?

— Tańczy!

— Gdzie?

— Z moim synem.

— Gdzież jest?

Stary wskazał Odrowążowi młodą góralkę, w której ojciec z trudnością poznał córkę.

Usunął się i usiadł na ławie, aby nie być spostrzeżonym. Onże miałby Oldze,

przebranej za Tyrolkę, przeszkadzać w rozrywce? w takiej rozrywce? Stary góral miał zamiar uprzedzić panią Rowieńską o jego przybyciu, co hrabia

spostregłszy, zatrzymał go.

— Nic ! nie trzeba.

— To bardzo dobrze.

— A z kim teraz tańczy?

— A jeszcze z moim synem.

— A twój syn?

— Pan młody, a u nas zwyczaj, że całe wesele pan młody tańczy z drózką, a drózką jest pani.

— A pan młody ? twój syn ?

— Ptasznik? I ja ptasznik... Odrowąż powstał. To był więc ten sam, który tak trwożył panią Duclos. Olga go żeniła. Hrabia chciał go widzieć,

bo nie widział go nigdy, a był ciekawy prawie.

Para jeszcze tańczyła. I hrabia utopił wzrok bystry w góralu....

Przypatrywał mu się bardzo długo. Ten ptasznik mu kogoś przypominałten ptasznik

był do kogoś podobny.

Ten ptasznik miał melancholijne i poetyczne oczy Rowieńskiego.

Hrabia usiadł ponownie na ławie i długo, bardzo długo myślał, aż muzyka cichnąc,

obudziła go. Wtedy dopiero przywitał się z Olgą.

— Ale a propos — zagadnął Odrowąż cudowną w swem ożywieniu i tyrolskim

kostymie Olgę — zapomniałem ci powiedzieć, że nadeszła paczka z książkami, o

której się kazałaś uprzedzić, jak mi mówił twój lokaj...

Pani Rowieńska nie próbowała nawet ukryć swej radości.

— Jako ? nadeszła ? — zawołała, wybuchając prawie zadowoleniem.

— Nade... szła?

I w takiej chwili oczy jej czarne zapalały dawniej częstym jej, dziś rzadszym

wyrazem i niebawem skończyło się dla niej wesele,

Opuścili górali. Ale Oldze tak się spieszyło z powrotem do domu, iż nadażyć jej

nie mogli Odrowąż i pani Duclos. Szła więc naprzód, zatrzymując się co chwila, by przystanąć i zaczekać na starszych, ale nie miała cierpliwości, by się z nimi zrównać i dotrzymać im kroku.

Szła więc naprzód i nie widziała czaru przyrody, jaką, ta dokoła niej wśród

jasnej nocy roztaczała i nie słyszała miliona szeptów natury, napełniających

powietrze i nie zwracała uwagi na zadumę ojca, tak głęboką, iż przerażała ona

krocząc poważnie panią Duclos

Odrowąż myślał i kombinował jedno i to samo w kółko. Te książki, co tak

interesowały jego córkę, czy nie były nowymi powieściami Jana z Gdowa ? A

ptasznik tyrolski przypominał czemś Rowieńskiego...

Wreszcie znaleźli się w domu. Ale Odrowąż był sam bez Olgi, dla której

przyjechał, która go zwykle, gdy przyjeżdżał, na krok nie opuszczała.

Olga

uchwyciła paczkę i wybiegła, by się zamknąć w swojej komnacie. Puni Duclos zażenowaną była tym sposobem zachowania się swej samowolnej

wychowanicy i wzdychała, dotrzymując towarzystwa bynajmniej niezdradzającemu niezadowolenia hrabiemu.

Ten był jak zawsze mało mówny. Nagle zapytał obojętnym tonem:

— Ten polski dziennik?

— Sprowadziła go Olga, cały rocznik.

— Cały rocznik?

— Cały rocznik i siedziała w nim. kilka dni...

Znów umilkli i idealna cisza panowała. I tym razem ją hrabia przerwał.

— Olga musiała dostać interesujące listy? — zapytał podstępnie, bo nigdy nawet

przed panią Duclos całych głębin interesu, jaki przywiązywał do wszystkiego, co

dotyczyło Olgi, nie zdradzał.

— Ona te książki pochłania...

— Jakie książki?

— Te, które dopiero co nadeszły...

— Są to nowości?

— Zdaje się... nowości polskie...

— Nowości polskie? — podchwycił hrabia tym razem tonem, który nie umiał

zamaskować ciekawości.

— Nie wiem — zmieszła się pani Duclos. — Olga mi dała kiedyś do wyeksperymentowania

telegram, pisany po polsku, którego więc nie rozumiałam, ale adresowany był do

księgarni w Krakowie... Temu cztery, pięć dni... To muszą być te książki.

— Tak! to są te książki?

— Wiesz pan?

— Widziałem firmę na paczce.

— Oh! — westchnęła pani Duclos.

— I żądała ich telegraficznie — szepnął Odrowąż, powracając do swych myśli,

ogarniających wszechwładnie całe jego jestestwo.

I myślał długo bardzo, bo bardzo długo nie zjawiała się Olga. A zjawiała się dnia tego dopiero do wieczery, danej późno, bo upały skrócały noc. A przy wieczery nie mówiła prawie.

Była roztargnioną, ale ożywioną do nieopisanego i tylko Odrowążowi dostrzegalnego stopnia. Widocznie pragnęła jak najprędzej pozbyć się ojca r

powrócić do swego pokoju. Dotrzymywała mu towarzystwa przez wzgląd na

konwenanse, których, jak zdawał się zauważać hrabia, coraz bardziej przestrzegała. Czyżby obcowanie z naturą dawało jej uczuć względną potrzebę

tychże w życiu ?

Gdy Odrowąż spostrzegł przymus Olgi, udał zmęczonego podróżą i pożegnał ją. A

działo się to o godzinie jedenastej w nocy. Nigdy nic zasypiał przed północą,

więc niewiedział, co z sobą zrobić, a myśleć niechciał. Przypomniawsobie polski

dziennik i odszukał go w salonie. Wziął cały komplet i z nim się położył na

spoczynek. Przeglądał numer za numerem, jakby czegoś szukał, jakby był pewny, że

to, czego szukał, znajdzie, bo tak

zdawał się być spokojnym, a cierpliwym.

Nieczytał, tylko oczami połykał wiersz po wierszu cały numer od deski do deski.

Wreszcie oczy jego nabrały wyrazu wyteżenia. Fizyognomia ożywiła się zadowoloną

ciekawością i utkwiał, cały w swym wzroku, na karcie zawierającej ogłoszenie.

To ogłoszenie opiewało:

Księgarnia M. Asta

otrzymała na skład główny dwie nowości

Jana z Gdowa
mianowicie
Nemezys życia
tomy.
Historia jednej
tom.

Hrabia długo nie spuszczał z oka tych kilku wierszy i me wypuszczał z rąk
arkusza zadrukowanej bibuły.
Nieruchomy leżał na łożu jak skamieniały i myślał z wyteżeniem,
które nie
pozwalało mu nawet spostrzegać biegu czasu.
A więc ten człowiek, który przez lat dwa przeszło pożycia z Olgą, nie
pisał,
który, jak mu się zdawało, złamał pióro, znów tworzył..... Czy, aby
pisać, nie opuścił jego córki?..
Jakże on poznawał w tych dwu tytułach człowieka.
Ileż to myśli pomieścić by można i rozwikłać i roztoczyć pod hasłem,
tylu duszom
niedostrzegalnej, a przecież tak potężnej życiowej nemezys ?
W tym tytule tkwił cały człowiek, myśliciel, humanitarnie
wyrafinowany artysta,
jakim był Kowieński....
A "Historia jednej" jednej?...

On był ciekawy. Dlaczegoż Olga nie miała być ciekawą?.

Mogła go nawet już nie kochać, a być jeszcze ciekawą?.

Ale ten ptasznik tak przypominający Edwarda ?.

Stary Odrowąż się ocknął. Zdało mu się, że ktoś zapukał. Ale nie! To
być nie
mogło. Musiał się zdrzemnąć i doznał tego ciekawego objawu,
trafiającego się
ludziom, gdy zmęczeni wysilającą pracą mózgu zaczynają usypiać.
Wtedy każdy

hałas dziesiątkuje się w ich wrażeniach. Spojrzał na zegarek, którego wskazówki

stały na drugiej po północy.

Chciał zgasić świecę, gdy znów zapukano, a tym razem rzeczywiście.

— Kto tam?

— Ja! — odezwał się głos pani Duclos.

Hrabia uszom nie wierzył.

— Pani? Pani Duclos?

— Ja.

— Proszę! — zawołał, przerażając się hrabia i lekko bledniejąc. —

Chyba Oldze

mogło się coś przytrafić i temu zawdzięczał tę pierwszą w życiu wizytę.

Pani Duclos weszła, a ubraną była zaledwie.

— Nie mogłam przemódz na sobie, by pana nie uprzedzić! — mówiła, zajmując

miejsce na fotelu, który jej przy swem łożu wskazywał zastraszonego Odrowąż.

— O czym ?

— Wyjeżdżamy dziś pociągiem o piątej rano.

— Kto?

— Ja i Olga.

— Gdzie?

— Do Równa...

Zapanowało krótkie milczenie. Hrabia odetchnął a oblicze jego bledniejąc z

sekundy na sekundę, odzyskiwało równowagę i swą męską siłę. Pani Duclos pierwsza podchwyciła:

— Przed godziną obudziła mnie Olga, by mi oznajmić, że stanowczo pragnie

wyjechać pierwszym pociągiem... do Równa... Pana ma uwiadomić listownie. Gdy

widziałam z mojego okna, że u niej zgasły światła, ubrałam się i obudziłam

pana...

— Bardzo dobrze zrobiłaś pani... bardzo wdzięczny jej jestem — szepnął Odrowąż

dykcją pełną jęklivosti ze wzruszenia. — I wyjeżdża na długo ?
— Jak mi powiedziała, zamierza w Równie zabawić dzień tylko, a listownie prosi pana, bo wiem, że pisała, byś jej powrotu tu czekał...
— Dzień tylko ?
— Tak mi powiedziała. Powiedziała mi: "Nie bierzemy prawie żadnych rzeczy ze sobą, zabawię w Równie tyle, ile potrzeba czasu do zobaczenia czegoś..."
— I nie żądałaś pani od niej wytłumaczenia tego nagłego projektu ?
— Nie! Wszakże poleciłeś mi pan ślepo być posłuszną woli Olgi, gdy była dzieckiem... Dziś...
— Dziś pani nie polecam.
— Ale to już weszło u mnie w naturę...
— To bardzo szczęśliwie — bąknął hrabia, który z niewypowiedzianą trudnością ochłaniał.
Milczeli oboje.
— I nie wiesz pani przypadkiem — zapytał hrabia — czy może Kowieński jest w Równie?
— Nie wiem... ale wątpię — dodała pani Duclos.
— Dlaczego?
— Natura tak dumna i... cicha...
— Cicha... — powtórzył Odrowąż dykcją pełną bólu. — Olga była cichą w cierpieniu, jak jej matka...
Nastało znowu milczenie.
— Cóż mam zrobić ? — zapytała pani Duclos.
— No jechać, naturalnie... — obruszył się Odrowąż.
Wkrótce został sam, zgasił świecę, ale nie usnął. Nie spał i wtedy jeszcze, gdy słońce wstawało z za gór i lasów, gdy turkot powozu, uwożącego na kolej Olgę, oddalającej się tam, ku północy, ku Polsce, której nie lubiał hrabia, zadzwieczał szybami jego pokoju.
Nie usnął i długo jeszcze potem.

* * *

Odrowąż siedział w Tyrolu i czekał z tą jedną myślą w mózgu i w całym

jestestwie:

— Olga kochała wciąż jedynie i namiętnie Kowieńskiego.

Pierwszy raz w życiu był zaciekawiony, bo pierwszy raz nie mógł przeniknąć

tajemnicy, i zdawało mu się, że zaspokojenie swej ciekawości mogłoby się może w

skutkach przydać jeszcze i innym.

Ten stosunek Olgi do Rowieńskiego zdawał się być z tego rodzaju rzadkich

stosunków, które potrzebują pośrednika. Olga i Edward były to dumne natury,

niezdolne do pierwszego kroku. A może zachodziła tu jedynie potrzeba tegoż

właśnie z jednej czy drugiej strony?

Był ciekawy i pragnął osiąść tajemnicę separacyi tych ludzi.

Wyjazd Olgi go zastanawiał. Nie mógł przeniknąć pobudki, która ją skłoniła do

przedsięwzięcia z godziny na godzinę podróży do Równa. Że tę pobudkę znalazła w

lekturze nocnej książek, że te książki były owemi ogłoszaniem powieściami Jana z

Gdowa, to wiedział, ale chodziło mu o charakter tej pobudki, tak namiętnie

poruszającej apatyczną Olgę i to po dwóch latach blisko rozłąki.

Gubił się w domysłach. Ciekawość jego wyjątkowo doszła do tego stopnia, iż

przeszukał dom cały, by odnaleźć owe powieści Jana z Gdowa. Czyby je Olga

schowała? Czyby ich

nigdy nie było? Nie wiedział, bo ich znaleźć nie mógł.

I spokojny, wytrawny Odrowąż czekał niecierpliwie jak młodzik powrotu córki i

truchlał na myśl, że ta powrócić może zamknięta w sobie i nic mu nie odkryć z

tego, co się w jej sercu dziać musiało, by ją skłonić do tej, zastanawiającej myśliciela, podróży.

Tak minęło dni kilka, z których każdy powiększał gorączkę hrabiego.

Może on się

i mylił? Wszakże on Olgi niewidział przed samym wyjazdem i nie mógł niczego

dopatrzeć na jej fizyognomii, która przecież mogła być nielada wskazówką?

Może ona wyjechała pędzona rozpaczą? Może Rowieński bawił w Równie?

Cierpiał uczuciem mu zupełnie nowem, bo wskutek otaczających go ciemności,

których przedarcie zdawało mu się tym razem potrzebnem do szczęścia, jeśli nie

bytu ubóstwianej córki.

Wreszcie najniespodziewaniej zjawiała się Olga, nieuprzedziwszy o powrocie

hrabiego, piechotą przyszedłszy z dworca kolei.

I stanęła przed nim pełna ożywienia i szczęścia, buchającego niejako z jej

wyrazistego oblicza. Stanęła ta-

ką, jakiej Odrowąż od lat nie widział, jakiej jej nie widział od dnia ślubu.

Uradowało się serce ojca i w jednej chwili pierzchnęły jego niespokojne uczucia,

pozostawiając za sobą, tylko zwiększone uczucie ciekawości.

— Cóż to była za sytuacją psychiczną? — pytał ten człowiek, zdolny do

analizowania dniami całymi jednej kartki romansu.

I rzuciła mu się w objęcia i przycisnęła go do łona z tym wybuchem serca

zadowolonego i ulzonego, udzielając ojcu jakby prądem magnetycznym tego odczucia

jej szczęścia.

— Wróciłam i nienudziłeś się bezemnie i nie bałeś się o mnie?

Hrabia zatopiony swym czułym wzrokiem w Oldze, odparł pierwszy raz w życiu z wymówką i jej dykcją.

— Nudziłem się bez ciebie, bo się bałem o ciebie.

— Bałeś się o twą rozumną córkę ? o córkę, którąś ty wychował?

— Bałem się o córkę, której postępki nie licowałem z jej naturą.

— Czyż tak?

— Tak!

— Bo może ta natura się zmienia... — szepnęła Olga i niedokończyła w gorącym uścisku.

I nic więcej mu niepowiedziała, prócz tego, że była szczęśliwą, szczęśliwą nad wyraz... To szczęście rzuciło jej inne promienie światła na życie jej

i położenie. Zaledwie przyjechawszy, zapragnęła widzieć swych Tyrolczyków i

pokazać im pierwszy raz rozpromienione, swe zwykle spokojne oblicze. Wybiegła z

tą werwą pierwszej młodości, którą odradzają w człowieku promienie słońca duszy,

do swych zajęć, do szkoły, do pracowni, do lasu i gospodarstwa.

Wszystko ją

interesowało więcej niż kiedykolwiek, tak jak nigdy, bo chciała widzieć wszystko

oczami swej duszy, która dotąd smutną była, a dziś wesołą.

Odrowąż był także szczęśliwy, bo jakżeby nim niebył, gdy pierwszy raz w tem

życiu, widział na twarzy córki ten wyraz, którym cała niejako dusza została

przepełniona nagle nań spoglądającym i niespodziewanem szczęściem.

Gdy się wreszcie znalazł sam z panią Duclos, zapytał, zdumiony jej milczeniem.

— I nie masz nic pani do powiedzenia ?

— Nic!..

Hrabia wytrzeszczył prawie osowiały wzrok, a niewiasta ciągnęła:

— Byliśmy w Równie. Bawiliśmy tam same dwa" dni... I wróciliśmy z pośpiechem...

Olga możeby była zaba-
wiła dłużej, ale bała się, byś pan się nie niepokoił.
— Jakto? I niewytłumaczysz mi pani ani jednym słowem... szczęścia
Olgi? —
zapytał coraz bardziej zdumiony hrabia.
— Nie... nie... Dla mnie jest ono jeszcze większą niż dla pana
zagadką...
Naprawdę usiłowałam ją przeniknąć... Ale nierozumiem pana, który
się trapisz,
zamiast się spytać... Bywają serca, co potrzebują, by je otwarto...
— Tak! — bąknął Odrowąż, którego i ta myśl pani Duclos
zastanowiła — ale nie
serce Olgi... zbyt ona dumną, by się przyznać do cierpienia.
— Ależ ona wygląda dzisiaj szczęśliwą ?
— Ale to szczęście ma w gruncie cierpienie...
Umilkli i po chwili znów Odrowąż. zapytał:
— I pani niczego się nie domyślasz ?
— Niczego. Ja pierwszy raz byłam w Równie... Gdybym tamże kiedy
była z Olgą, gdy
był Kowieński...
— Ale wrażenie pani ? Wszakże ciągle z nią bawiłaś ?
— Jadąc tam — podchwyciła niewiasta z poспіechem — Olga ulegała
widocznym
niepokojom... jakby uczuciom bladej nadziei. Przybywszy, uda-
ła się najprzód do pokojów męża i bawiła w nich dość długo...
— Jakże długo ?
— Może godzinę... Powróciła mniejwięcej taką, jaką ją pan dziś
widzisz,
promieniejąca szczęściem... To uczucie zdawało się w niej tylko
powiększać.
Potem obiegała dom i park. Zatrzymywała się to tu, to owdzie...
kazała mi
podziwiać to to, to tamto... Ona bardzo się zrobiła teraz czułą na
piękna
przyrody i to na smętne piękna. Zwracała mi uwagę kilkakrotnie na
powagę i urok
stepu. Nie rozumiałam go, przyznam prawdę. Zresztą w ciągu tych
dwu dni

siedziałyśmy najwięcej na terasie idącej z pokoju ongi pana Rowieńskiego...

— A teraz ?

— Teraz są one takimi, jakimi były ongi. Musiało się w nich nic nie zmienić.

Olga bywała często i długo zadumaną... ale szczęśliwą, jak jej nigdy nie widziałam.

— I nie wpadłaś pani na żaden domysł? — zapytał prawie z rozpaczą Odrowąż.

— Nie... nic! Przypuszczam... Chciała odżyć wspomnieniami. Ona kocha widocznie

swego męża... — westchnęła, wzniosła oczy do nieba i dodała z wyrazem głębokiego smutku — bie-

dna kobieta! biedne kobiety!... zbrodniarz !

— Kto?

— Ależ Kowieński. Nastąpiło znów milczenie.

— Równie podobało się pani ? — zapytał hrabia.

— Wspaniałe i smutne.. Nie czułabym się tam szczęśliwą.

— A Olga ?

— Olga... ona ma pociąg do melancholii, ona zawsze dzieckiem lubiała zadumy.

I znowu umilkli.

— I nie dowiedziałaś się pani nic ?

— Nic!

— Rowieński czy był kiedy w Równie ?

— Nigdy. Raz tylko...

— Raz tylko ?

— Raz tylko — opowiedział mi plenipotent — przysyłał służącego po rzeczy,

których zabrać zapomniał.

— Rzeczy ?

— Rzeczy! drobiazgi! nie wiem... jakiś obraz...

— Obraz?

— Nie umiem panu powiedzieć... coś zasłyszałam...

I Odrowąż nic nie wiedział. I byłby długo nic nie wiedział, gdyby się Olga nie

była na nim ulitowała. Bo ona widziała indywidualne cierpienia pochodzące z niezrozumienia usposobienia córki, ale ulegała uczuciu pospolitemu w subtelnych radościach serca, któremi człowiek sam niemi rozkoszować się pragnie.

Gdy raz późną nocą znaleźli się sami na werendzie willi i gdy Olę z długiej zadumy zbudziło głębokie i ciche westchnienie ojca, stanęło jej w myśli żywo jego cierpienie i zrozumiała jego smutek.

— I ojciec mnie się nie pytasz — zapytała Olga — po co jeździłam do Równa ?

— Nie, moje dziecko, — odparł zaraz hrabia, przewyciężający trawiącą go ciekawość — sądzę, iżbyś mi była powiedziała, gdybym to wiedzieć potrzebował, lub gdybyś pragnęła, bym wiedział.

W odpowiedzi na to Olga wstała i zniknęła, by zaraz powrócić z książką w ręku,

którą wręczyła ojcu, całując go w czoło i mówiąc:

— Z tej książki się dowiesz... A teraz dobranoc ci... jestem zmęczona...

To powiedziawszy wybiegła, a Odrowąż został sam z książką w ręku, której tytuł

przy bładem świetle księżyca odczytał. Brzmiał on: "Nemezys życia" Miał więc posiąść tajemnicę, która go tak trapiła.

Udał się do siebie, by czytać choćby noc całą, ale musiał wiedzieć najrychlej

nie to, co opromieniało oblicze Olgi, ale to, co ją w przyszłości od życia

czekało, nie to, czego był ciekawym, ale to, czy nie mógł być w czym

potrzebnym

i użytecznym.

I czytał noc całą. Jan z Gdowa studyował w tej powieści psychicznie

mężczyznę-

artystę, który żonę opuszcza w przekonaniu, że uczucie jego zamarło.

Po upływie

pewnego czasu, uczucie to się z popiołów budzi (a chwilę tę autor z
niezrównaną
znajomością duszy ludzkiej i niepospolitą głębią odmalował), odżywa,
zmartwychwstaje, wzrasta i pierwotne niemal prześciga rozmiary. Oto
była treść
powieści psychologicznej, a przeprowadzonej z mistrzostwem
właściwym Janowi z
Gdowa, z przykuwającą intrygą, wysnutą z bujnej indywidualnej jego
wyobraźni, z
tendeneyą, opartą na prawach nemezis życiowej, która tym razem nie
pozwoliła
bohaterowi odzyskać utraconego szczęścia.
Oto była treść powieści.
Odrowąż już w połowie lektury wiedział, że Jan z Gdowa, nieopisując
bynajmniej
ani siebie, ani Olgi, ani analogicznych sytuacji, wziął pod mikroskop
swej myśli
własne swoje wrażenia i uczucia, i że te we wszy-
stkich swych odcieniach pragnął przedstawić czytelnikowi
prawdziwie, psychiczne
konsekwentnymi, a subtelnością zadziwiającymi.
Udało mu się to.
Odrowąż nad ranem wiedział wszystko.
Rowieński kochał Olgę i tęsknił za nią całą siłą uczucia tęsknoty za
żyjącą
kobietą, z którą go rozdzieliła nieprzewyciężona siła, tkwiąca w
charakterach
czy okolicznościach. Rowieński bawił w Zakopanem wciąż i ogień
swojej tęsknoty
gasił wyteżającą twórczą pracą, będącą potrzebą jego jestestwa.
Rowieński zużyty
namiętnością Olgi, targającym mu fibry życiem, jakie z nią prowadził,
powracał
do sił a te siły budziły w nim zmysły, którym jedynie jedna tylko
kobieta
jeszcze odpowiadać mogła, a tą była Olga.
Odrowąż nad ranem wiedział wszystko.

Olga jeździła do Równa, by się dowiedzieć, czy Edward rzeczywiście
lat temu dwa
w chwili rozdrażnienia, żalu i goryczy, nieomieszkał przecież wziąć
jej
fotografii. Olga jeździła do Równa by się przekonać, że Edward
rzeczywiście rok
temu zateśknił za jej portretem, który wisiał w komnacie, a malowany
był przez
mistrza według jego wskazówek i że portret do Zakopa-
nego cichaczem i podstępnie sprowadził.
Olga jeździła do Równa, by uwierzyć, że Edward w Zakopanem miał
jeden właściwie
tylko promienny dzień od dnia, w którym ją opuścił, a to ten, w
którym mu wierny
sługa portret jej przywiózł, w którym go zawiesił i w którym
naprzeciw niego do
twórczej pracy usiadł, jakby z nią przy sobie.
Odrowąż wiedział wszystko.
I dnia tego samego jeszcze, gdy go z Olgą połączyła cudna i cicha noc
tyrolska,
zapytał milczącej córki:
— Ty więc wiesz, co mąż twój o tobie myśli... jak żyje, co czuje...
Czybyś nie
pragnęła, by on co o tobie wiedział ?...
Olga długo milczała, a wreszcie odparła:
— Mój dobry ojczy! któżby zrywał kwiat z drzewa, który się zrodził i
kwitnął, w
chwili, gdy on okwita, może zapach traci, barwne liście wiatr porywa,
ale
jagódki owocu tworzy?
I Odrowąż zdumiał się i wlepił w córkę wzrok, tą głęboką myślą
rażony. Czyżby
nią Olgę natchnęła już była przyroda? To była dusza zbyt inteligentna,
by on
interweniować potrzebował.
Nazajutrz wyjechał. Niechby Olga została samą. On nie chciał
przeszka-

dzać liściom i kwiatom tyrolskich drzew i roślin, które ją tak prędko a tak
subtelnie uczyły praw życiowych.

* * *

Ale w niespełna pół roku później, a było to w początku bardzo
świetnego
karnawału we Florencji, Odrowąż dostał depeszę, uwiadamiającą go
o powrocie
Olgi z Tyrolu do Florencji.
I rzeczywiście nazajutrz zjawiła się z całym swoim dworem i
nappełniła pałac
hrabiego nowem znów życiem.
Pragnęła się bawić i z tem się zupełnie nie kryła.
— Cały rok — rzekła do ojca — siedziałam w górach, rok cały, który
mi minął
błogo i względnie prędko, ale już zaczynałam odczuwać nudę,
zatęskniłam za
ludźmi mojego świata, za zabawą, będącą przywilejem jeszcze
mojego wieku, za
rozmową, za życiem intelektualnem nerwów i zmysłów.
— Nie naturalniejszego — podchwycił Odrowąż, głęboko
zastanowiony zmianą zaszłą
w Oldze od ostatniego widzenia się z nią.
— Jeśli ci to nie będzie przeszkadzać — mówiła dalej — tobym
pragnęła bywać w
świecie, przyjmować,
otworzyć nasze podwoje ludziom i pozwolić tym salonom zakipieć
dawnem życiem,
którego potrzebę odczuwam...
— Ah! — zawołał hrabia najniespodziewaniej temi kilkoma słowy
dotknięty —
szczęśliwy jestem, że odzyskałaś siebie samą, jak widzę, i że
pragniesz odbić te
lata, które poświęciłaś samotności, sztuce i naturze elementom,
odpowiadającym
raczej późniejszym latom naszych żywotów... Baw się, baw...

Urwał, uderzony nagłą zmianą, zaszła na obliczu Olgi, która zaraz podchwyciła:

— Odzyskałam siebie samą — zaczęła dykcya pytającą i dziwnie smutną — ha, ha!

Musiałam... Przecież... przecież nie byłabym w stanie dziś już abdykować ze
wszystkiego, co życie daje...

Tu zmieniła wyraz fizyognomii. Ożywiła się wysiłkiem woli i ciągnęła dalej:

— Przecież niepodobna, bym się na zawsze zamknęła w Tyrolu i poświęciła
uszcześliwianiu innych. Jestestwo moje potrzebowało tej samotności i
ciszy od

lat dwu, bo one zbawienie mi przynieść miały... zapewne...
przyniosły..

I więcej o tem nie mówiła, tylko z werwą zupełnie u niej nową a nie-
naturalną prawie, rzuciła się w wir świata i wielkomięjskiego życia.

Odro-wąż

nie poznawał swej apatycznej Olgi, lubiącej świat w
homeopatycznych dozach w
epoce swego panieństwa.

Wprawdzie była ona nielada światowczynią w czasie swego pożycia z
Rowieńskim,

ale chwile te uważał hrabia za chorobliwe, szczególnie zbadawszy z
biegiem czasu
ich genezę.

Co teraz pchało Olgę do tego życia? Co teraz było pobudką, iż je
pojęła w

analogiczny sposób, jak poprzednio z Rowieńskim?

Zmiany tej się niespodziewał. On raczej sądził po ostatniej swojej
bytności w

Tyrolu, że Olga powróci do męża. Tymczasem powróciła do niego i
niczBm nie

zdradzała w tem konsekwencyi usposobienia, które jej kazało
przedsiębrać podróż
do Równa.

Hrabia pracował wyteżajaco myślą, ale nie wchodził na szeroką i
otwartą drogę.

Zamknięta w sobie Olga bawiła się z zapalem niemal, a Odrowąż,
który śledził ją
każdej chwili, nie mógł rozróżnić, czy zapal ten był szczerym czy
sztucznym,
skąd wypływał i co mu dodawało podniety.
Czuł tylko, iż znajdował się w przededniu ważnej dla siebie chwili,
jakiegoś
stanowczego i decydującego kroku kobiety, który może w ciszy ob-
myślała, do którego ją może parła jej natura a może wola i reakcja.
Jeśli Olga rzucała się w wir świata, to czegoś w nim szukała. Jeśli się
weń
rzucała w pół roku po romantycznej podróży do Równa, to nie szukała
w nim
Rowieńskiego, o którym wszakże sądził, że zajmie później czy
wcześniej przy
córce swe miejsce.
Męczył się stary Odrowąż w tych kombinacjach, a zasady jego nie
pozwalały mu się
o nic córki spytać, ani niczem, choćby insynuacją, decyzji jej
przyspieszać.
Gdyby był Olgę studyował w ciągu tego czasu, który od przeczytania
ostatniego
romansu Jana z Gdowa upłynął ?
Gdyby był ją studyował, dzień po dniu, w tych szczęścia miesiącach,
które swoją
pracą na łonie spokojnej natury, zmieniły jej meloncholją zabarwione
oblicze,
jej smutne oczy, ścigające przeszłość i Rowieńskiego...
Ale jak nie wiedział co zaszło, tak nie mógł sobie nawet wystawić
momentów tej
metamorfozy, którą teraz już odbyła, mógł badać.
Czy pani Rowieńska szukała tego samego w wirze zabaw, czego
szukała w
samotności, rzeźbieniu i obcowaniu z ludem i naturą, to jest
upomnienia i
rozpędzenia bolesnych myśli?
Czy też szukała zastępcy Rowieńskiego?

Hrabia nie wiedział. Nie wiedział, jakkolwiek Olga bawiła już od kilku tygodni w Florencji, jakkolwiek ją studyował godzinami całymi. Widział ją otoczoną rojami wielbicieli, dla których w tej nowej fazie separatki, czy rozwódki, ponętniejsza była, niż kiedykolwiek, i widział ją samą z sobą, bawiącą go rozmową, czy lekturą.

Ale nie wiedział nic, a czuł instynktem, z którym zawsze skrupulatnie się liczył, że jeśli kiedy, to teraz wszystko wiedzieć był powinien, wszystko znać, i wszystko zanalizowawszy, w skutkach i konsekwencyach badać. Wszakże Olga mogła ni stąd ni zowąd zapytać go najniespodziewaniej o radę lub wskazówkę, jak to nieraz była czyniła. Zawsze zastawała go przygotowanym i w jej duszy czytającym. Dziś pytanie, choćby najbłachsze, wprowadziłoby go w niemały kłopot.

Rozpaczał stary Odrowąż. Onby nic nie umiał insynuować córce, bo ona dlań była w tej chwili nieuchwytną zagadką, bo nie znał psychicznych dziejów, sześciu długich miesięcy, które tę nową kobietę, szukającą czegoś w wirze ludzi, stworzyły. Wyrzucał sobie, iż j ej częściej w ciągu ostatniego półrocza nie odwiedzał w Tyrolu, ale on właśnie czynił to dlatego, by ją pozostawić w tem osamotnieniu, które w pewnych chwilach, a szczególnie w sercowych cierpieniach za najlepszego dla człowieka uważał doradcę. Spostrzegłszy, iż oni oboje, Rowieński i Olga, Ignęli do siebie, iż silne węzły ich jeszcze łączyły, sądził, że kobieta ulegnie

jednej z chwil egzaltacji, możliwszej w samotności, i przywoła do siebie tego, który zdawał mu się w najgorszym razie nie mieć siły przywołaniu się oprzeć.

Dlatego nie jeździł do Tyrolu. A dziś sobie to wyrzucał.

Dziś, jakąż siłą myśli, — pytał — potrafi odgadnąć, co stało na tylu kartach tego studium, które w tej książce brakowały ? Jakąż siłą intuicji potrafi przeniknąć, co przerobiło zalotną i pełną śmiechu Olgę z zamyślanej i zakochanej, co ją z ostateczności w ostateczność rzuciło ?

I cierpiał stary ojciec.

Bo różne myśli i przypuszczenia, świdrowały mu po mózgu. Może Olga próbowała przywołać Edwarda, a ten był głuchym na ten głos wielkiego i gorącego serca?

Odrowążowi serce się ścisnęło.

A może to uczucie tęsknoty i żalu się przetrawiło i Olga pragnęła zbudować nowe życie, raz na zawsze porzeczawszy stare w zapomnienia piasku ?

I to było możliwe, i to podobne do kobiety, która z powieści sobie rękę wybrała, która umiała chcieć.

Ale w takim razie onby o tem wiedzieć pragnął, on to wiedzieć potrzebował, choćby dlatego, by w danym razie być pomocą ukochanej i nieszczęśliwej kobiecie, jeśliby pomocy jego zażądała.

A może ona jeszcze szukała rozrywki, zajęcia myśli, nagabującej ją cierpieniem żalu i tęsknoty, bardzo łatwym u kobiety zbyt dumnej, by żebrać szczęścia, będącego może jeszcze do odzyskania.

I jednego dnia, po nawale takich myśli niemożliwych do uspokojenia, bez żadnych danych, zerwał się Odrowąż, rozgorączkowany, jakby cierpieniem nieustającym

rozszały, i szczypiąc białą brodę, powstał z krzesła, na. którym go te
myśli
od kilku tygodni jak na stołku tortur przykuwały i zaczął biegać po
konnacie, a
małe oczka jego pały siłą i ogniem, bólem i pragnieniem.
Cokolwiek z tych jego przypuszczeń było motorem obecnego i
nienaturalnego
usposobienia Olgi, to on te znać musiał, bo tu chodziło o szczęście
jego córki,
dla którego życie poświę-
cił i dla którego byłby je każdej chwili oddał.
Jeśli Olga mu nic nie odkrywała, to on o nic pytać nie mógł, bo nie
pyta się
kobiety takiej jak Olga o szczegóły, dotyczące jej głębokich i
krwawiących ran
serca. Bo się szczególnie o nie pytać nie może ojciec, który je
przeniknąć
winien, choćby były najgłębiej ukrywanymi.
Ale mógł jakimkolwiek środkiem, cegiełka po cegiełce, zebrać te
dane, które by
mu pozwoliły odtworzyć sobie obecną pozycję, odgadnąć naturę jej i
przeniknąć
najtajniejsze aspiracje biednego córki serca.
Czy tego, czy owego chciała, to on musiał wiedzieć, aby ewentualnie
być w
możności udzielenia jej pomocy, aby niedopuszczyć do wypadku, do
którego by
kobietę doprowadzić mogły okoliczności z powodu jej
indywidualności właśnie nie
możliwe do wyrównania, złagodzenia, czy usunięcia.
Pierwszy raz w życiu czuł wszechpotężnie potrzebę i konieczność
swojej
interwencji i objaw ten przypisywał rzadko myślącemu ludzi
spokojnych
instynktowi.
Opuścił swoją komnatę i przechodził przez liczne apartamenty, w
których służba

robiła przygotowania do "wieczornego przyjęcia. Olga bowiem przyjmowała codzien-
niemal. Wieczo-
rów nie spędzała w domu, sam na sam z ojcem, tylko szukała wciąż ludzi, a gdy ich
nigdzie znaleźć nie miała pewności, zgromadzała ich u siebie. Hrabia przystanął i rozejrzał się. To wszystko tak nieharmonizowało ze stanem
jej duszy, trwożnym i niepewnością rozgorączkowanym. Zrozumiał Olę, gdy ją
zobaczył wtedy w Paryżu, królową salonów, gromadzących obce mu tłumy, i niby
lwie, szukającą serc do pożarcia, a nie mógł jej dzisiaj zrozumieć, gdy się
prostu tylko bawić chciała. Zrozumiał ją wtedy, gdy była psychicznym kobiecym
fenomenem, a nie rozumiał dziś, gdy mogła być tylko pospolitą, chciwą rozrywki i
hołdów kobietą.
Wszedł do pani Duclos i siadając naprzeciw niej, zapytał od razu tym stanowczym
tonem, właściwym mu, gdy coś kombinował, czy postanowił:
— Powiedz mi pani, skupiwszy dobrze swoją pamięć, jakie okoliczności w ten
sposób zmetamorfozowały Olę? Jakim ulegała uczuciom, których powolna praca
kazała jej porzucić dwuletni tryb życia, a zakipieć tym szalem oto... ?
Pani Duclos ruszyła ramionami.
— Sądzę, iż tu żadne okoliczności nie odgrywały roli, żadne uczucia...
Znudziło
ją to życie i powróciła do dawnego.
— Do dawnego ?
— Wszakże Olga zawsze lubiała świat... W Tyrolu po wyjeździe pana i po powrocie
z Równa powoli, bardzo powoli, popadała w apatyę, poprzedzając u niej
decyzję... Natura coraz mniej ją interesowała, bo też coraz; robiła się

brzydszą... Lud coraz mniej bawił, bo go znała... Zresztą odzywała się
potrzeba

natury młodej kobiety. Czyżby pana ta zmiana dziwiła? — pytała —
mnie

bynajmniej. Owszem, uszczęśliwia mnie. Przecież nie mogła pozostać
w tym stanie

dłużej. Byłoby to prawdziwym nieszczęściem. Czyż miała zostać
wdową nie

owdowiawszy. Czyż miała pozostać w tych anormalnych warunkach?
Odrowąz podchwycił:

— Ale ja sądziłem, że te jej refleksje przyniosą w rezultacie
połączenie się z
mężem.

— I ja sądziłam... szczególnie po podróży do Równa.

Odrowąz popadł w długą zadumę, z której wyszedł, by nagle zapytać:

— I nie wiesz pani, czy w czasie tych sześciu miesięcy Olga nie
próbowała
przywołać męża?

Pani Duclos wytrzeszczyła zdziwiony wzrok.

— Nie spostrzegłam nic, coby mi pozwoliło robić to śmiało
przypuszczenie... —

zamyśliła się i dodała:

Co do mnie nie wierzę, by ta dumna natura skłoniła się do pierwszego
kroku.

Hrabiemu wzrok błysnął aż młodocianą tak żywą iskrą.

— Więc może — zawołał z zapalem — tylko ta duma nie pozwala jej
zrobić kroku,

którego się domaga całe jej jestestwo?

— Może być.

— I ta duma, ta natura jej, mogłaby ją skłonić do szukania innego
sposobu

wyjścia z fałszywej pozycyi?

— Może być.

Hrabiego napawały te słowa otuchą. On, co nigdy się nikogo nie
radził, dziś

odczuwał błogość, znajdując u pani Duclos identyczne myśli.

Opuścił głowę i zadumał się. Co lepszym mogło być dla Olgi?

Zbudowanie nowego

życia, czy odtworzenie dawnego? W tej kwestyi pani Duclos nie mogła mu być żadną pomocą. W tej kwestyi powinien się kierować dawnymi danymi i starać się pozyskać nowe. A nowe mógł znaleźć tylko w Oldze, jeśli kiedy uległa rzadko ją opanowującej ekspansyi w wypadku, jeśli mu tenże przyszedł z pomocą w swym sprycie, jeśli go użyć umiał. Opuścił panią Duclos, ale nie powrócił do siebie, tylko okrążył cały swój pałac i zaszedł do swego sekretarza, człowieka, z którym go wiązało lat dwadzieścia życia pod jednym dachem, w którym pokładał nieograniczone zaufanie, nigdy go jednak nie używszy.

Pan Boroński kopiował w księdze korespondencyi listy hrabiego napisane rano, a dotyczące interesów jego. Był to człowiek w sile wieku, bo hrabia go młodzieńcem wywiózł z Polski i przywiązał do swojej osoby. Fizyognomia jego bystra ale spokojna zdradzała całe jego ciche, komu innemu nie sobie poświęcone życie.

Powstał nie kryjąc zdziwienia z okazji wizyty hrabiego, który go prawie nigdy nie odwiedzał.

— Siadaj pan — zawołał hrabia, zajmując pierwszy stół, a muskając z ferworem spiczasty koniec swej brody — i słuchaj. Pierwszy raz w życiu przychodzę żądać od ciebie przysługi, przysługi osobistej...

— Mów hrabio. Sądzę, iż nie wątpisz w życzliwość człowieka, który ci poświęcił życie?

— Nie wątpię... Oto, co żądam.

— Słucham...

— Dzisiaj jeszcze opuścisz pan [...] szukasz tam pana Rowieńskiego, który od

dwóch lat, o ile wiem, mieszka w Zakopanem... w Karpatach... Przed pół rokiem tam bawił. Być może gdzieindziej go zastaniesz...

Urwał i umilkł, zakrywając twarz dłońmi i myśląc.

— Dalej ? — zapytał po pauzie Boroński, spostrzegając, iż hrabia może zapomniał o początku zlecenia.

— Dalej... — obudził się Odrowąż — będziesz się tam starał go widzieć. Znasz go, więc dostrzeżesz zmiany... Będziesz się starał dowiedzieć, jaki tryb życia

prowadził... Będziesz się starał wymiarkować, jak gdybyś był powieściopisarzem,

co ten człowiek zamierza, dla czego żyje, na co czeka, czego się od życia

spodziewa. Rozumiesz mnie pan, panie Boroński?

— Rozumiem, ale za skutek misyi ręczyć nie mogę... Niewiem też, czy mam się

starać osobiście widzieć pana Rowieńskiego ?

— Ah! podchwycił hrabia - zostawiam to twojej intuicji i okolicznościom. Nie

umiem ci dać żadnych instrukcji... Nigdy nie szpiegowałem nikogo i nigdy nie

zależało mi na zbadaniu czyichś myśli... Dziś! dziś potrzebowałbym widzieć pana

Rowieńskiego, a widzieć go nie mogę. Potrzebowałbym wiedzieć cokolwiek o nim, a

nic nie wiem... Donieś mi! — szepnął prawie błagalnym tonem.

— Wyjadę dzisiaj...

— Wszakże — znów podchwycił Odrowąż — z Rowieńskim byłeś bardzo dobrze...

Sympatyzowaliście ze sobą, rozmawiali... Znałeś go więc?

— Tak... niby... gdy bywał we Florencji, w Paryżu... gdyśmy na trzy miesiące

przed powrotem pani Rowieńskiej spędzili jakiś czas w Równie.

— Ah! właśnie — zawołał z uradowaniem hrabia. — Widziałeś go więc w bardzo

dobrej porze dla dostrzeżenia zmian... Wiedźże jednakowoż, że
nieżyczyłbym
sobie, by Rowieński mógł się domyśleć celu znalezienia się twego w
miejscowości,
w której go znajdziesz...

— O to najmniejsza... Mam licznych krewnych w Polsce... i dość
sprytu na tyle.

VI.

Rowieński bawił w Zakopanem.

Tego poranku siedział przy swoim olbrzymim stole, na którym leżały
stosy

papierów i książek i widocznie pragnął się zabrać do pisania, bo
czyste, lśniące

białe karty welinu nęciły jego pióro, trzymane już w dłoni.

Ale pisanie mu nie szło od pewnego czasu i to już od dość dawna.

Coraz częściej,

skoro tylko usiadł przy stole, ogarniała go nie werwa autorska, tylko
jakaś

melancholia, jakieś nieuchwytnie uczucie, nęcące go do przebiegania
myślą

przeszłości i różnych życia etapów.

I dnia tego odłożył pióro i poddał się myślom, bo im się oprzeć nie
miał siły,

bo codzien był w oporze słabszym.

I dnia tego opuścił się na poręcz krzesła, wzrokiem utkwiał w portrecie
Olgi

wiszącym naprzeciw niego i w tej zwyczajnej od roku pozie, zagłębił
się w

zadumie.

Jemu tak dobrze w tem ustroniu było, tak rażno mu szło pisanie, tak
błogo i

spokojnie upływało życie przez całe półtora roku. Od pół roku
jednakże wszystko

mu się psuło. Czy przydługa samotność go już nużyła? Czy jako autor
się

wyczerpał? Czy też serce jego dopominało się swych praw?

Bo to serce tęskniło za Olgą i to coraz czulej, odkąd się przyznał sam przed sobą do żalu za tą kobietą. Bo on długo, wydobywszy się z tego piekła, jakim dlań było życie światowe i gorączkowe, czuł się zupełnie szczęśliwy i nie spostrzegał żadnego braku w swem jestestwie. Ale od pewnego czasu, od epoki, w której mu przyszła nieszczęśliwa myśl napisania romansu na tle swych własnych psychicznych przeżyć, wspomnienie Olgi ogarniało go coraz częściej i potężniej, urazy do niej jakby się zacierały, a uczucie odżywało. Ba! żeby tylko uczucie takie, jakie zachowujemy w sercu zwykle dla kobiety, którąśmy bardzo kochali, ale którąśmy kochać przestali. Ale nie! Kowieński czuł, że to uczucie odżywa się w nim z całą namiętnością miłości potężnej i jedynej, że go całego ogarnia i unieszczęśliwia. A cierpienia jego wzrosły jeszcze od dnia, w którym mu przyszła fatalna myśl sprowadzenia z Równa portretu Olgi. Ten portret tak uchwycił jej czar i urok i to w tych. właśnie odcieniach, które go do nóg tej kobiety rzuciły. Odkąd ten portret tu wisiał, on nie mógł już myśleć o niczem, tylko o niej, o przeszłości, z której to tego, to owego, a codzień czegoś więcej żałował, o przyszłości, która mu się tak samemu, z temi wspomnieniami, z tym żalem okropną wydawała. Dopóki zmiana atmosfery i radości ze znalezienia się sam na sam ze swoją wyobraźnią, łaknącą ciszy i pracy mózgu, serce jego nasyciała, potąd sądził, że

potrafi zdusić w sobie żale i stworzyć sobie nowe, odpowiadające mu życie, skoro

tamto mu nie odpowiadało.

Był zresztą wtedy jak furyat zdenerwowany, osłabiony fizycznie do najwyższego

stopnia, rozżalony moralnie.

Odtąd odżył w tem długim oddychaniu świeżem aromatycznym powietrzem, utył i

nabrał sił, jakich zapasu w sobie już nie przypuszczał. Czuł, że mu jeszcze żyć

wolno było;

on sądził, że wyczerpany zmysłowem nadużyciem, będzie — tworząc — dogorywał.

Nerwy jego w tej ciszy się uspokoiły i wzmocniły. Wzmocniły do tego stopnia, iż

sam w sobie ich natury nie poznawał, że go zadziwiały wytrwałością i nieczułością relatywną do dawnej niesłychanej możliwości.

A żale jego do Olgi jakże zmałyły, przemieniły się w wyrzuty bezustanne,

czynione sobie samemu. Cóż ta kobieta była winną, że go namiętnie kochała, że go

kochała w sposób indywidualny, jej naturze odpowiedni? Cóż naturalniejszego, że

go gorącym kochankiem mieć chciała, w obawie, by, ostygnąwszy, jej nie uciekł?

I powoli te myśli jego przechodziły w cierpienia skombinowane całego jestestwa:

umysłu, dopominającego się normalnego męskiego życia, serca, bijącego codzien

silniejszym tętnem dla kobiety, której właściwie nigdy może kochać nie przestał,

wyobraźni, łaknącej wrażeń, uczuć i życia, sumienia, obarczonego codzien

wzrastającym ciężarem wyrzutów, że kochanej i kochającej kobiecie życie może

zmarnował.

Ach! Jakże on wtedy nieraz pragnął wiedzieć coś o Oldze. Jakżeby wołał pewność,

iz ta go zapomniala i miłość swojā stłumiła, niż wātpliwość,
czy jej, oddajęcej mu się z takim wzniosłem kobiecem zaufaniem,
życia nie
zatracał i serca goryczą nie napoił.
Ale się nie dowiadywał, bo był egoistą, jak wszyscy artyści i bał się
jeszcze
większego smutku swych myśli, jeszcze większych wyrzutów swego
drażliwego
sumienia.
Gdy czuł, że te cierpienia ogarniały wszystkie jego fibry, wtedy
chwycił się
jedynego środka ratunku, dostępnego piszącym, to jest pióra, które go
przenosiło
z bólem w skutkach zbawiennym, ale dotkliwym, w inny świat, w
świat jego
twórczej wyobraźni, w którym, bujając i pracując, nie cierpiał.
Do tego środka ratunku uciekał się coraz częściej od roku i pisał
gorączkowo,
tworzył nerwowo z tym pośpiechem, właściwym tylko ludziom,
których do
wyteżającej pracy pcha już nie jej miłość, tylko jej konieczność.
Tworzył tomy, dla których zbytu nie miał ten rozgłośny i czytany
autor.
Ale dnia tego, mimo wysiłków, pióra umoczonego już w atramencie
posunąć po
papierze nie mógł. Pocił się i wzdychał i bezsilny powalił się na
poręcz fotelu
i powracał wzrokiem do portretu Olgi, który mu pomagał
w uzmysłowieniu sobie kobiety do tego stopnia, iż chwilami ulegał
halucynacyi,
że bawiła — tu przy nim — w Zakopanem — w tej cichej komnacie
— na zawsze z
nim.....

Tak zadumany pięknym był Kowieński, i zdawał się. młodszym niż
lat dwa temu.

Zdrowie odzyskane wypełniło mu policzki, a rumieńcem okrasiało
oblicze. Spokój

ócz wyrazistych uszlachetnił jeszcze fizygnomie., którą, dawniej
niezadowolenie
męczyło i niepokoje.
Siedział nieruchomy.

W tem się ocknął i ręką przetarł po czole.
Naprzeciw niego stał nieznajomy mu mężczyzna, którego jednak
gdzieś widział, czy
znał. On się uśmiechał do niego, a Kowieński przebywał to autorem
nad wyraz
bolesne, jeśli gwałtowne, przejście ze świata wyobraźni, w świat
rzeczywistości.
— Nie poznajesz mnie pan?
— Boroński! — wybełkotał Edward ze zdziwieniem na twarzy, które
w jednej chwili
ustąpiło miejsca wyrazowi pomieszania, a ten znów radości,
natychmiast jednakże
ustępującej niezadowoleniu. — Boroński — powtórzył,
przypominając sobie czło-
wieka i okoliczność, w których go znał.
I nastąpiła banalna rozmowa dwóch ludzi, którzy się znali i lubili, gdy
ich
okoliczności zewnętrzne łączyły, którzy nic sobie do powiedzenia nie
mieli, gdy
te okoliczności ich łączyć przestały. Rowieński dowiedział się, że pan
Boroński
przybył do Polski dla interesów rodzinnych, do Zakopanego zaś dla
odwiedzenia
chorego kuzyna, ukochanego przez jego siostrę młodzieńca.
Dowiedziawszy się
dopiero dnia tego o pobycie Rowieńskiego w Zakopanem, w którym
już od tygodnia
bawił, nie mógł sobie odmówić przyjemności uściśnienia dłoni
człowieka, z którym
krótkie, ale miłe stosunki należą do jego najmiłszych wspomnień.
Boroński mówił, a życzliwy Rowieński nie mógł długo rozpędzić
niezadowolenia,

pochodzącego stąd, iż na razie nie wiedział, jak się zachować wobec domownika

Odrawąza, zwłaszcza że nigdy nie przypuszczał spotkania się z takowym.

Powoli jednakże w ciągu rozmowy pierwsze zażenowanie mijało i Rowieński

odzyskiwał siebie. Boroński był człowiekiem doskonale wychowanym, nie robił

żadnej do przeszłości alluzji, nie potrącał o przedmiot, o którym nie wiedział, co myśli autor. Ten też o nic nie pytał.

Rozmowa ta długo trwać nie mogła na tym stopniu, między tymi dwoma ludźmi, tem

więcej, że Rowieński w miarę, jak go opanowało pierwsze wrażenie, wywarte tą

wizytą, zaczął widzieć w niej naturalny środek uspokojenia tych ciekawości,

które go od tak dawna dręczyły.

Już setny raz miał pytanie na ustach, któreby wprowadziło konwersację na tory

jemu pożądane, ale nie mógł wykrztusić go z gardła. Nużże by się dowiedział, że

ta kobieta, której nadzieją odzyskania zaczynał się łudzić, bawić i cieszyć,

była już na zawsze dla niego straconą. Nużże by się dowiedział, że była...

szczęśliwą, bez niego, który od pół roku żył tylko jej wspomnieniem.

Milczał więc i mówił tyle, by Boroński nie ustał. Zastanowił go on tylko swoją

werwą, jakby wymuszoną i usiłującą rozbudzić go, swoim wzrokiem obserwacyjnym,

który, widział to Edward, badał jego i jego mieszkanie, notował w pamięci i

portret Olgi, zawieszony w sposób nie pozwalający wątpić co do miejsca, jakie on

moralnie w tym gabinecie zajmował, co nadto potwierdzał legion rozrzuconych jej

fotografii.

Ta bystrość obserwacyjna Borońskiego wydała się Edwardowi podej-

rżaną, napelniła go nową ciekawością. Czy tenże przyjeżdżał tylko do Zakopanego, by widzieć chorego na piersi kuzyna ? Czy po to tylko? Zresztą nie lubiał on być badanym, bo skłonny był sądzić, że wszyscy ludzie są jak on obdarzeni tą samą siłą obserwacji, zdolnej odkryć stan duszy człowieka z jego mieszkania.

To badanie robiło mu tem większą przykrość, bo mogło go ośmieszać w oczach Borońskiego, jeśli był spostrzegaczem. Wszakże by on był śmiesznym w tym mauzoleum wspomnień Olgi, jeśliby ta o nim dawno zapomniała. Ale te wszystkie myśli nietłumiły wyrastającej ciekawości. Miał w rękach sposobność dowiedzenia się wszystkiego, wszystkiego tego, co go mogło uszczęśliwić, lub pograć może w rozpacz, o jakiej sobie wyobrażenia stworzyć nie mógł. Wszakże wszystko może było lepszem od niepewności, trawiącej go od pół roku do niezniesienia, do szaleństwa, odbierającej mu twórczość i ubóstwiany spokój.

— Pan jeszcze długo tutaj zabawisz ? — zapytał.

— Wyjeżdżam jutro rano.

— Jutro rano... ? — powtórzył pytając Edward.

Boroński wreszcie spostrzegł, iż wizyta jego jest dla Kowieńskiego cierpieniem. Powstał i żegnał się, zażenowany prawie tem zimnem człowiekiem, którego znał serdecznym. Edward go niezatrzymywał, bo niewiedział, czego sam chce.

Ciekawość go dręczyła, ale właśnie dla tego jej się obawiał i ustąpić jej nie chciał. U drzwi jednakże, odprowadzając człowieka, z którym się już nigdy w życiu może spotkać nie miał, z którym go wiązały wspomnienia przecudnych życia chwil, z którym go teraz złączył wypadek, odżył w nim autor.

— Pan bawisz tu tydzień i dopiero dzisiaj, w wilię wyjazdu,
przypomniałeś mnie
sobie, mnie, z którym... ?
Urwał bledniejąc. Boroński się tłumaczył, ale tłumaczenia jego nie
słyszał
Edward, bo nagle zapytał:
— Pan Odrowąż zdrów?
— Zdrów! — odparł lakonicznie Boroński i wyszedł.
Edward rzucił się na fotel, zmęczony i rozstrojony. Nie mógł się
połapać w tych
zajściach z przed chwili. Jakto? On miał tutaj domownika Odrowąza i
Olgi i nie
dowiedział się nic od niego ? Jego może przysłała tu Olga i on jej
przywiezie
odpowiedź, iż widział pana Rowieńskiego, który nawet nie był
ciekawym jej losów,
azali żyje...?
To być nie mogło. Ale on też nie mógł się pytać o kobietę, która się o
niego nie
spytała.

Ale to on wszakże ją opuścił, a nie ona jego.
Mordował się formalnie sam z sobą, jak może nigdy. Męczył się dzień
cały. Duma
jego, obrażonego mężczyzny, nie pozwalała mu dać poznać
komukolwiek, że cierpiał
z powodu miłości do kobiety, która oń nie spytała, Duma jego, jako
myśliciela i
autora nie pozwalała mu się przyznać do winy, do błędu życiowego,
że opuścił
szczęście, za którym teraz tęsknił i bolał.
Męczył się więc dzień cały, a wieczór zastał go jeszcze do krzesła,
przykutego
całego w swym wzroku utopionym w portrecie Olgi, oblanego
zimnym potem,
rozmarzonego wspomnieniami chwil dwuletniej przestrzeni czasu,
które wszystkie
powtórę z tą kobietą w tych kilku godzinach całkowicie przeżył.

Jakże ona dlań była wzniosłą ? Jakże ona w tej oddali zyskała ? Jakąż
ona
wyborną była duszą ? Jakże dla jego szerokiej inteligencji stworzoną
?
Zerwał się z krzesła i krzyknął prawie z rozpacz. Jeśliby jeszcze z
sobą
walczył, jeśliby nie uległ podszeptom łamiącego dumę serca, toby
pozostał dalej w tych górach, zaczynających mu być wstrętnymi, z tą
tęsknotą,
najstraszniejszą ze wszystkich, bo za przeszłością do odzyskania może
jeszcze
możliwą, z tem cierpieniem niepewności.
Boroński miał wyjechać nazajutrz ze świtem. Borońskiemu winien był
wizytę.
Narzucił futro, uchwycił czapkę i wybiegł na gościniec, otoczony
lasami,
pogrążony w ciemności, oświecony tylko blaskiem śniegu, proszącego
i
pokrywającego ziemię.
Cisza gór i zimy go otrzeźwiła. Ta imponująca cisza zimy w
Zakopanem, której
łaknął temu lat dwa, która go nużyła dzisiaj, której już miał dosyć, bo
wyobraźnia stawiała mu wciąż w oczach tak odmienny,
nieharmonizujący z nią
obraz.
Widział się wciąż na jakimś balu wśród gwaru i muzyki i widział
wciąż Olgę
otoczoną i śliczną w swej białej powłóczystej sukni, w swych
brylantach,
szukającą i zawsze go znajdującą wzrokiem.
To widzenie doprowadzało go do szaleństwa.

* * *

Czas upływał. Boroński nie wracał i gdy raz pani Ducios weszła do
Odrawąza,
wejście to samo przez się już go zastanowiło.

Najpierw odwiedzała go rzadko, chyba w interesie dotyczącym Olgi, a fizygnomia

jej tym razem zdradzała pewne zafrasowanie starej guwernantki, niepokojącej się tylko o swoją pupilka.

— Masz pani niezawodnie mi coś do zakomunikowania — odezwał się wesoło pierwszy hrabia, który od wyjazdu sekretarza, bywał spokojniejszy i w lepszym usposobieniu. Najprzód spodziewał się on dobrych wiadomości, powtóre zdawało mu się, iż światowość Olgi była odmianą jednej i tej samej u niej fazy, a po trzecie postanowił ewentualnie w ostateczności interweniować. Ta wytknięta droga uspokoiła więc jego trwogę o przyszłość córki.

Pani Duclos usiadła i zaraz tak zaczęła:

— Wczoraj Olga zadała mi pytanie, które mnie tak zastanowiło, iż postanowiłam je panu zakomunikować. Zastanowiło mnie ono nie swoją treścią, tylko tonem i

identycznie takimi samymi słowami, jakimi... w swoim czasie zapytała mnie Olga

w bardzo doniosłej kwestyi. Gdyby nie ta tożsamość, pytanie to nie byłoby nawet zwróciło mojej uwagi.

— Mówże pani...

— Gdy pierwszy raz w życiu widziałam w Warszawie pana Rowieńskiego, Olga mnie zagadnęła, jak dziś pamiętam, niedbałym tonem, a obejmując me

oblicze ciekawym wzrokiem, temi słowy:

"Kochana stara Duclos, jakże ci się podoba?"

Odróż się uśmiechnął, a niewiasta ciągnęła:

— Wczoraj byliśmy w teatrze. Między odwiedzającymi panią

Kowieńską w łoży, był i

książe Ferrari, który nie wiem, czy pan wiesz, bywa tutaj częstym gościem...

najczęstszym i nigdy nie bywa zmuszonym do zostawiania swych kart... Kiedyś Olga

się ubierała... to kazała mu czekać... rzecz, która się pierwszy raz w życiu jej

zdarzyła, o ile pamiętam, od czasów pana Kowieńskiego...

Pani Duclos odetchnęła, a hrabia jej słuchał z tem widocznem przejęciem się,

zachęcającem kobietę do rozwałkowania opowiadania. On byłby godzinami słuchał i

jej nawet, gdy mówiła o Oldze.

— Gdy książę Ferrari opuścił lożę, Olga zwróciła się do mnie, objęła mnie

badawczem spojrzeniem, jak wtedy z Rowieńskim i zapytała:

"Kochana stara Duclos,

jakże ci się podoba?" Zapytała tak, iżem sobie równocześnie tę chwilę

przypomniała, gdy mi to samo identyczne zadała pytanie... wtedy...

— I pani przypisujesz temu jaką

wagę ?

— Książę zdaje się podobać Oldze. Hrabia się podniósł na krześle.

— Podobać?

— Podobać.

— Inaczej, niż wszyscy inni wielbiciele?

— Zdaje mi się.

Odrowąż po długim milczeniu podchwycił:

— Byłoby to wielkiem szczęściem. Pani Duclos się zdziwiła.

— Jakto ? Wszakże rozwodowe kroki nawet, o ile wiem...

— Ah! — uśmiechnął się hrabia i machnął ręką. — Jesteś pani zawsze jak Olga

mówi, "starą kochaną Duclos"...

Zmienił ton, spoważniał i dalej mówił:

— Rzecz dziwna, że nie spotkałem księcia Ferrari, choć staram się znać

wszystkich, których Olga wyróżnia...

— Książę jest nową znajomością... Przybył niedawno z Rzymu... Był tu raz na

obiedzie, na którym pan hrabia właśnie nie był obecny, będąc wtedy...

— U kardynała Vicenci ?

— Tak... tak zdaje się.

— Temu cztery dni?

— Tak.

Nastało milczenie. Odrowąż ważył to w głowie, a pani Duclos więcej sobie

przypomniawszy, wkrótce podchwyciła:

— Książę Ferrari jest bardzo przystojny i bardzo dowcipny... Olga jest przy nim...

— Jest przy nim ?

— Musuje... elle mousse...

— W wieku ?

— Około lat trzydziestu.

— I bywa codzień ?...

— Zdaje mi się...

— I sądzisz pani ? — zapytał Odrowąż głęboką dykcją.

— To pytanie wczoraj mnie zastanowiło. Czemuż nie zasięga o nikim mego zdania

nigdy. A pytała o Rowieńskiego i o...

Hrabia nie słuchał. Ukrył oblicze w dłoniach i myślał. On każdą drobnostkę brał

pod uwagę, jeśli tylko dotykała psychologii Olgi. Ten zbieg nawet dwóch

banalnych i niedbałych pytań postanawiał poddać analizie. Nie one zastanawiały

jego pracujący mózg, ale okoliczności, że uderzyły niesprytną i niewyrafinowaną

wyobraźnię pani Duclos. Jeśli ją uderzyły, to w Oldze tkwił ten interes,

nadający im znaczącą cechę.

Po długim milczeniu zapytał ciekawie:

— Więc Olga nigdy nie zasięga pani zdania co do osób, które, będąc z nią,

poznajesz ?

Panią Duclos dykcja hrabiego zmusiła do skupienia myśli.

— Nigdy... prawie nigdy... Znasz pan jej małomowność, która powoduje, że każdemu

słowu, wychodzącemu z jej ust, przypisuje się mimowolnie jakieś głębsze

znaczenie...

Hrabia znów się zamyślił. I pani Duclos, której wrażeń i obserwacji przez lat dwadzieścia nie brał w rachubę, dziś go bystrością swoją zadziwiła. — Gdyby dziś, czy jutro księżę Ferrari był u Olgi w porze, w którejby moje zjawienie się w jej salonie nie mogło się wydać naciągnięciem, to mnie uprzedź pani.

Pani Duclos skinęła głową, a powstając, dodała:

— Jeśliby dziś nie był, to jutro, wiem, że jest proszony na obiad... Wyszła, a Odrowąż został sam i oddał się swym myślom. Dlaczegoż by Olga nie miała się zająć tym księciem Ferrari. Jeśli to już spostrzegła pani Duclos, to w tem łatwo być coś mogło.....

Odrowąż był nawet ciekawy poznać nieznanego, który może ściągnął do Florencyi, by się starać o względy głośniejszej we Włoszech piękności, a głośniejszej jeszcze heritierki...

Jeśliby Olga dalej miała zagłuszać głosy w niej się odzywające i jeśliby dalej miała czytać romanse Jana z Gdowa, to może lepiej by było, by się zajęła księciem Ferrari i wstąpiła powtórnie w związki małżeńskie... Ale ona nigdy nie wspominała o rozwodzie z Rowieńskim. Niczem nigdy nie wzbudziła nawet tej myśli. Może więc nie myślała nigdy wstępować w powtórne związki małżeńskie?

W takim razie względy, okazywane księciu Ferrari czy komukolwiek, prowadziłyby kobietę jej temperamentu do romansu?.

Romans był lepszym, niż życie, złożone z oszołomienia się sztuką, czy zabawą.

Romans nawet był, jeśliby stan ten się przedłużał, nieuniknioną koniecznością.

Odrowąż zadrżał i powstał z miejsca, by gorączkowym krokiem przechadzać się po

komnacie i szarpać swą dnia tego nietkniętą, rozłożystą brodę.

Chodził długo i wyteżajaco myślał.

— Czemuż ten Boroński nie wraca ? — szepnął przez zęby i rzucił się na fotel i uchwycił dziennik, by "wyrwać myśli z błędnego koła, w którym już lawirowały.

* * *

Odrowąż poznał wreszcie księcia Ferrari, a znajomość ta napęliła go dziwnym

uczuciem. Poznał go na obiedzie u Olgi i dowiedział się zarazem, że krótkowidząca i powierzchowna pani Duclos się nieomyliła tym razem, przypisując

pytaniu jego córki pewne znaczenie. Ale nie tyle to za stanawiało hrabiego, że

się Oldze podobał młody, inteligentny i piękny Włoch, ile to, że ten Włoch

uparcie stał mu w oczach i przykuwał do siebie jego wyobraźnię.

Siedział w swym fotelu, ręką zasłaniając oczy i przypatrywał się Włochowi, który

żywy stał mu wciąż w pamięci, jakkolwiek zaledwie kilka słów z nim wymienił

podczas obiadu, przed dwoma godzinami spożytego.

Widział go wciąż i wciąż studyował, nie wiedząc czemu przypisać tę opresję jego wyobraźni.

Gdy on go znał gdzieś, kiedyś, bo i to mu się często zdawało. Ten człowiek był

jego dobrym znajomym, ale Jakimże sposobem ? Niemiał on bajecznej pamięci

fizyognomii, ale i fizygnomia księcia nie należała do tych, które się zapomina.

Zresztą nazwisko jego

pierwsze we Włoszech, pozycja, pański wygląd, skłaniały Odrowąża do

przypuszczenia, że go nigdy nie spotkał.

Skądże to wrażenie ?

Książę Ferrari był bardzo pięknym mężczyzną, mogącym liczyć lat trzydzieści.

Rysy jego były regularne, a niepospolity urok tkwił w jego czarnych oczach,

głębokością, powszechną prawie we Włoszech u przebiegłych mężczyzn tego narodu,

nie tak znów zastanawiający. Książę Ferrari był to brunet o śniadej cerze i

czarnym wąsiku, o krótko przy skórze prawie ostrzyżonej głowie.

Ruchy jego

arystokratyczne odznaczały się spokojem, choć pewną namiętnością, delikatne i

pięknie wykrojone usta zdradzały dowcip i finezyę namiętnych uczuć, utrzymanych

jednakże na wodze i prawie zmanierowanych. Był nawet jak na

Włochów wysoki, jak

na światowców za głęboki i za myślący. Mówił mało, ale gdy mówił, gdy mówił

nawet o potrawie zjedzonej, to przykuwał słuchacza intonacją.

głosem dźwięcznym

i żywą a z mózgu płynącą dykcją.

Taki książę Ferrari stał wciąż w oczach Odrowążowi i nie mógł się pozbyć

portretu tego i niebyłby się go pozbył tego wieczoru, gdyby się drzwi jego gabinetu nie uchyliły i nie weszła nimi Olga.

— Papo ! spędzą z tobą dzisiejszy wieczór. Miałam iść na bal do Torlionich, ale

w ostatniej chwili uznałam, iż przyjemniej mogę spędzić czas z tobą.

— Jeśli to robisz dla mnie?...

— Oh! — zaśmiała się Olga — czyżbym ja mogła co robić dla kogo, ja? taka

egoistka! — dodała z smutną barwą w głosie i podchwyciła znów innym tonem. —

Robię to dla siebie. Od czasu do czasu potrzebuję odetchnąć zdrową atmosferą

tego gabinetu... Byłam zanadto światową... Odczuwam zmęczenie...

— To gwałtowne

przejście z ciszy Tyrolu w gwar salonów... potrzebuje, jak schody, załamków.

Takim załamkiem będzie dzisiejszy wieczór.

To mówiąc usiadła na swoim panińskim jeszcze miejscu, przy stole stojącym

opodal komina i krzesła Odrowąża, a uchwyciwszy książkę, którą jednego z

ostatnich dni ojcu czytała, mówiła dalej:

— Ale dziś czytać nie będziemy... I dziś nie będziemy rozmawiać o wyjątkowo

interesujących bohaterach pana Daudeta, ale będziemy mówić o...

— O?

— O niczem.

— O niczem?

— O niczem. To czasem bywa tak interesujące. Panią Duclos

posłałam do teatru,

aby nam nie przeszkadzała swemi wielkimi nie rozumiejącemi nas oczami... Służbę

rozpuściłam na maskarady, aby nie wpadała do nas, by poprawić na kominku... czy

podkręcić lampę... Herbatę kazałam podać tutaj, a wyjątkowo nie zapomniałam i o

swoich pastylkach miętowych, po które zwykle w środku najbardziej interesującej

konwersacyi muszę wychodzić.

Tu pokazała ojcu trzymaną w dłoni porcelanową bombonierkę i usadowiła się

wygodnie w fotelu.

Starego Odrowąża serce wzbierało z radości. A więc on jeszcze był potrzebny tej

kobiecie, która knuła jakiś plan życiowy w głowie, i był jej potrzebny w chwili,

w której tak cierpiał, nie znajdując sposobności interweniowania,
zdającego mu
się wciąż koniecznym.

Rozmawiali rzeczywiście o niczem i nawet w sposób im niewłaściwy,
bo Odrowąż nie
mógł dać całego siebie tej rozmowie, którą pragnął nakręcić do
duszającego go
przedmiotu.

On pragnął, by konwersacya taki wzięła obrót, iżby najnaturalniej
mógł córce
powiedzieć to, co wiedział i sądził, że ona koniecznie i teraz wiedzieć
powinna.

Boroński mu doniósł,
że tam, w Karpatach Rowieński żył nadzieją połączenia się z kobietą,
do której
miłość jego odżyła w całej swej pierwotnej potędze.

On chciał jej opowiedzieć wszystko to, co mu przywiózł z
Zakopanego sekretarz,
wszystko to, co go nappełniło było radością egoisty, że bądź co bądź
wychował

kobietę, nie mogącą być zapomnianą przez człowieka myśli i serca.
Rozmawiali więc urywkami i o banalnych kwestyach dnia.

Nagle pani Rowieńska podchwyciła dykcją, która zaraz przy
pierwszych słowach
nateżyła uwagę hrabiego. On już wiedział, jakim głosem córka jego
poruszała
przedmiot, związany z jej fibrami.

— Słyszałam raz dwóch mężczyzn bardzo rozumnych, dwóch
myślicieli i poetów, si
vous voulez, którzy rozwijali przy mnie kwestyę, o którejbym
pragnęła znać twoje
zapatrywanie.

— Ciekawym?

— Twierdzili oni, że człowiek, mężczyzna czy kobieta, kocha się
prawdziwie raz

tylko właściwie, bo zawsze w jednym i tym samym typie.

Udowadniali to bardzo

przekonywującymi przykładami. Rozumiesz mnie ojczy?

Odrowąż długo nie odpowiadał, bo udał, iż się zatopił w tej myśli. Ale nie to było przyczyną zwłoki. On zaraz po subtelności paradoksu, który cały uchwycił, poznał jej autora, to jest Rowieńskiego... W ślad za tem nawał iskierek myśli ogarnął jego głowę. Aby się w nich uporządkować odparł:
— Niekoniecznie rozumiem... Olga, która tłumaczyć nie lubiała, która nierozumiejących jej zaraz, nie rozumiała, z przymusem nakazywanym jej ciekawością podchwyciła:
— Otóż twierdzili oni, że kobieta np. będzie się zawsze kochać w tym samym mężczyźnie, choć jeden do drugiego na pozór może być zupełnie nie podobnym. Ale natura tak jednego jak i drugiego będzie miała te najgłówniejsze, podbijające tę kobietę, jej jedynie odpowiadające barwy i tony, te same! Jeden może być poetą, drugi przemysłowcem, jeden Hiszpanem, drugi Rosyaninem, jeden wysokim brunetem, drugi niskim blondynem, ale obaj będą oni mieli wspólne i podobne, cieniami tylko się różniące te rysy charakterów, które sprawiły, że ta kobieta ich pokochała i ich tylko właśnie dla tego prawdziwie pokochać mogła. Po długiej przerwie Odrowąż odparł:
— Rozumiem...
I umilkł. Nie mógł odpowiedzieć zaraz mimo nawet największego wysiłku woli. W jednej sekundzie odkryło mu się to, co go od obiadu dręczyło, to zaciekawienie do księcia Ferrari.
Teraz wiedział, skąd pochodziło ono. Książę był podobny do Rowieńskiego, był bajecznie do niego podobnym, nie będąc nim, chyba dla takiego obserwatora, jak

Rowieński, chyba tylko dla Olgi. Tego podobieństwa nigdyby nie był uchwycił, a teraz je widział i czuł. Ferrari nietylko z tego samego punktu widzenia patrzył na drobiazgi życia, ale nadto prawie takimi samymi słowami myśli swoje wygłaszał.

Prócz tego tkwiło między nimi pewne podobieństwo w wyrazie głębokiego spojrzenia, w sposobie niedbałym obracania się po salonie. Pewne rysy znamienne pewnemi tylko przemawiają barwami. Jest to prawo, kierujące całą naturą wszechświata.

Ale on długo myśleć nie mógł, a chciałby myśleć nad tą całkiem nową tajemnicą

psychologii bez końca, aż do uchwycenia jej w jasne paragrafy prawa.

Olga

czekała jego odpowiedzi jej rozważowania. A on przedtem musiał się zorientować w labiryncie komórek swego mózgu.

Czy Olga kochała się w Ferrarim? Czy Olga lubiała go tylko, bo jej przypominał

Rowieńskiego?

— Rozumiem — wreszcie podchwycił — a myśl ta a raczej wynik ten myśli jest tak

głębokim i ciekawym, iż nie pozostawiając wątpliwości — mówił a raczej cedził

znacząco — co do jego autora, zmusza człowieka do wyszukania w własnej skarbnicy

obserwacji przykładów.

Olga spoważniała i zapytała ciekawie:

— Odgadywałbyś autora, bo ja — jęknęła i kończyła — bo ja nie przypominam sobie,

czy tę myśl czytałam, czy ją słyszałam.

— Słyszałaś ją od Rowieńskiego, albo czytałaś w Janie z Gdowa.

— Dlaczego? — zawołała Olga, prawie błędniejąc i nie umiejąc ukryć chwilowego niezadowolenia.

— Bo jego tylko subtelny a drobiazgowo, a szeroko, a zmysłowo par excellence traktujący serce ludzkie, rozum, mógł dojść do tego wyniku, będącego może rozwiązaniem wielu zagadek, a będącego w każdym razie wytłumaczeniem wielu ciekawych psychicznych anormalności.

Tymczasem Olga się zamyśliła. Nie wiedziała co począć z tym fantem. Z ojcem, spostrzegła to po raz setny, nie można było być napół szczerą A ona nie chciała się odkrywać całkowicie nigdy i nikomu.

— Tak... rzeczywiście... — odparła, kłamiąc, prawie szeptem — przypominam sobie teraz, gdyś ty odgadł, rozmawiali o tem... na morzu... pan Rowieński... i kapitan La Scalla, człowiek również wysoce wykształcony.

Nastąpiło milczenie już dnia tego prawie nie przerwane. Olga pogrążyła się w melancholicznej zadumie, a Odrowąż czekał niecierpliwie, azali mu powie, czy w księciu kochała Kowieńskiego, czy kochała jego dlatego także, że przypominał Kowieńskiego, już wypędzonego siłą czasu, cierpienia i woli z jej namiętnego i stałego serca. Ale Olga mu już nic dnia tego nie powiedziała, a była tak poważną, iż hrabia nawet żałował, że wymówił nazwisko, które może tak głęboko fizyognomię i ustrój córki zmieniło. I przypuścił, że jej sprawił przykrość, że ona może już nie chciała, by jej tego człowieka przypominano.

Ale gdy Olga udała się na spoczynek, gdy hrabia przygasił nocną lampę, fizyognomia Olgi, jaką sobie w ciemności odtworzył, zdradzała cierpienie. A cierpienie w tym wypadku na wspomnienie Edwarda, wiedział hrabia, było

nieochybnym dowodem, że tenże w głębi serca Olgi jeszcze drgał
jego
najczujniejszymi fibrami.

* * *

Czas ulatał tak prędko.

Odrowąż raz z niemałym zdziwieniem zadał sobie samemu dziwaczne
pytanie,

brzmiące, gdyby je w słowa ubrać zechciał:

— Olga miałaby zostać w najbliższej przyszłości kochanką, czy żoną
księcia
Ferrari?

Bo romans ten, czy fleert rozwijał się szybko. Włoch stawał się coraz
częstszym

gościem, prawie domownikiem. Nietylko nie było bez niego recepcyi,
czy obiadu,

ale często zaczynał spędzać w pałacu Odrowąży i te wieczory, w
których Olga nie
wychodziła.

Hrabia, przywiązujący się bezwiednie prawie, ale z uporem, opartym
na jego

indywidualnych psychicznych zapatrywaniach, do myśli połączenia
małżonków, nie

mógł już nie widzieć, że nadziei jego podstawy stawały się z dnia na
dzień

słabszemi i chwiejniejszymi. Olga nie zdawała mu się być tą samą
kobietą, gdy w

ośm miesięcy temu odbywała podróż z Tyrolu do Równa, by się
przekonać o

delikatnej myśli Jana z Gdowa.

Była zajęta księciem Ferrari. A Odrowąż zachodził w głowę, jaki bieg
myślała

dalej nadać swym stosunkom z Włochem, które wobec
nieunormowanego położenia jej

względem Ro-

wieńskiego, naturalnego obrotu wziąć nie mogły.

Ta przyszłość go nad wszelki wyraz trapiła. Sądził, wobec namiętnej
natury swej

córki, że raz zakochawszy się, zechce potwornie wstąpić w związki
małżeńskie, a
więc zażąda rozwodu, który jemu i w tych okolicznościach nie
przedstawiał
najmniejszych trudności.
Tymczasem Olga o rozwodzie nic a nic nie mówiła. Cóż więc
zamierzała? Zamierzała
li mieć romans z Ferrarim? Odroważ mimo całej swej filozofii, w
której wychował
córkę, przerażony był tem przypuszczeniem. Romans zawsze
uznawał, ale w tym
wypadku, gdy mu się zdawało, iż Olga jest u wrót do niego,
spozstrzegął z
osłupieniem w sobie zmianę swych odwiecznych zapatrywań.
Badał się i widział, że wypowiedzenie wojny zwyczajom i zasadom,
kierującym
społeczeństwem, w którym żył, było łatwiejszem w teorii, niż w
praktyce. Pozbył
córkę wprawdzie wszelkich skrupułów, ale w tym celu tylko, by to nie
stało jej
na drodze do szczęścia. Ale z drugiej strony zdawało mu się, iż ją tak
zabezpieczył i tak silnymi puklerzami, iż zdoła on to szczęście osiąść
dla
niej, Wyjątkowo szeroką i utartą drogą.
Mieć córkę, która dobiegała dwudziestego ósmego roku życia i mimo
całej
wolnomyślności wychowania, nie wystąpiła z granic przez
społeczeństwo kobiecie
zakreślonych i widzieć ją w tej epoce dopiero na drodze prowadzącej
do zerwania
z konserwatywnym światem, zdawało się hrabiemu rodzajem
katastrofy dla jego
wszystkich ambicyi.
Ta myśl, że Olga będzie miała pospolity, a prześladowany przez świat
romans,
dręczyła go nad wszelki wyraz, jego, który sam nauczył córkę, choćby
kosztem

romansu uchwycić szczęście w miłości tkwiące i który ten romans
uważał za równie
dobry sposób, prowadzący do uspokojenia nieodzownej potrzeby
ludzkiego
jestestwa, jak małżeństwo.
A dziś cierpiał.
To cierpienie, czy to była psychiczna kara za zapoznanie siebie
samego? Bo jeśli
romans w teorii go nie napawał wstrętem, a dziś go wprowadzony w
praktykę
przerażał, to znaczyło, iż z nim się nigdy seryo i poważnie nie liczył..
I miał
ochotę, pierwszy raz w życiu wnikać w tajne zamiary Olgi i dać jej
do
zrozumienia, że romans z Ferrarim byłby rodzajem uderzenia piorunu
w jego
duchowe życie. Ale uczynić tego nie mógł. Olga miała lat dwadzieścia
i ośm,
czyli by-
ła w wieku, który nawet despotycznym ojcom według jego zasad nie
pozwala mięszać
się w sprawy uczuć swych dzieci. Gdyby w tym wypadku
zdecydował się zrobić
wyjątek od hasła, pod którym wychował tę kobietę, to jeszcze by nie
miał prawa
insynuować córce swych obecnych zapatrywali. Wszakże to on jej, on
sam, gdy
pędzili do Polski po Jana z Gdowa, gdy była jeszcze panną, gdy
pewnej nocy
zmysły usnąć jej nie dawały, poradził był jej raczej rozumne, niż
niefortunne
małżeństwo. Ten ból jego dzisiejszy zdawał mu się własną karą za
jego
bezwzględne i może zbyt zarozumiałe w obec tajemnic kreacyi
deptanie praw
kierujących od tyłu wieków ludzkością.
On nic nie mógł zrobić, jako człowiek charakteru, tylko przypatrywać
się i

pochwalać każdą drogę, etycznie nie wstrętą, filozoficznie nie dziką,
jaką Olga
obierze w celu zaspokojenia potrzeb swego jestestwa.
I siłą pracy myśli może byłby się pogodził z myślą romansu miasto
nowego
małżeństwa, czy powrotu do Edwarda, dla Olgi, gdyby był znał tajniki
jej duszy i
mózgu, serca i myśli.
Jeśli kochała Rowieńskiego, a kochała go przez lat dwa, gdy rzeźbiła
w
Florencji, gdy bawiła w Tyrolu,
gdy jeździła do Równa, to dlaczegoż wtedy nie przywołała go zamiast
szukać
księcia Ferrari?
Duma li kobieca stała jej ku temu na przeszkodzie? Nie miała li jego,
któryby
może potrafił wynaleść ocalający ją całą środek?
Nie była li ona, Olga przez niego wychowana zdania, że raczej było
lepiej
złamać, by odzyskać znane już dobro, niż nieugięta próbować innego
?
I tu znów narzucała się Odrowążowi ta potrzeba interwencji tak
silnie, iż żal
czuł głęboki do Olgi, iż mu albo użyć jej nie pozwalała, albo
bezowocności jej
nie wykazywała.
Jeśli nie kochała już Kowieńskiego, jeśli Ferrari stłumił w niej
ostatecznie to
uczucie, to dlaczegoż odrzucała utartą drogę małżeństwa, prowadzącą
do
połączenia się z nim?
Czyżby Olga może po małżeńskiej próbie z Rowieńskim, odrzucała
małżeństwo jako
środek połączenia dwóch płci?
I to mieć miejsce mogło i to byłoby po części konsekwentnym
wynikiem jej
wychowania i jej długich z nim rozmów.

Dlaczegoż on więc na tem tak cierpiał? Czy dlatego, że nie wiedział dokładnie i
kategorycznie, do czego zdążała, że nie znał jej pobudek, aspiracyj ?
Czy
dlatego, że mimo trzydzie-
stoletniej pracy myśli w abstrakcyj filozofii, był jeszcze dzieckiem
Europy i
wychowankiem stulecia, próbującego dopiero zerwać odwieczne i w
ogniwach rdzą
jeszcze wzmocnione łańcuchy.
Dlaczego ? nie wiedział. Wiedział tylko, że cierpiał uczuciem trwogi i
gorączki,
walki samego z sobą, niepewności i wątpliwości.
Czyż on temu był tak dalece winien? Czyż mógł wszystkie pro i
contra, swego
systemu przewidzieć ? Czyż mógł przypuszczać, że taka kobieta, jak
Olga, tak jak
ona przez naturę uposażona; przez los faworyzowana, przez niego
wzmocniona, nie
znajdzie szczęścia, idąc utartą, szeroką, europejską drogą.
I najczęściej po takich męczarniach myśli, które w nim jak huragan
wzniewała
każda wizyta Ferrariego, upadał wysiłony i zmęczony, machając ręką
jakby na
znak, że wszystko dziać się już mogło, a on składał broń w tej
wytrwałej walce
teorii z praktyką.
— Zresztą — szeptał — byleby była szczęśliwą. Ale i wtedy stawała
przed nim
zmora wątpliwości. Czy ten Ferrari, dlatego że był podobnym do
Rowieńskiego,
którego uważał za jedyne człowieka, mającego wszystkie dane do
uszcześliwienia
córkę, o ile to zupełne szczęście na ziemi było ...
możliwe, zastąpi jej Edwarda ? Czy ten Ferrari, takim kosztem
nabyty, spłaci jej
dług, jaki życie względem każdej jednostki zaciąga? — Ach! czemuż
ona milczała?

I stary Odrowąż czuł czasem łzy, cisnące mu się do ocz, duszące go w gardle. On chciał szczęścia dla Olgi jakimkolwiek sposobem i przede wszystkim, ale on miał nadzieję, tak silną nadzieję, że ta graniczyła z pewnością, iż to szczęście dla niej uzyska tą drogą, jaką je w duchu panujących jeszcze a więc mających rację bytu zasad uzyskać było wolno.

— A więc on może źle wychował Olgę?

Ból tem zapytaniem jednym mu zadany — sądził ten zwolennik zasady odpokutowywania wszystkiego tutajna tym świecie — mazał wszystkie jego winy i błędy.

Tak stały rzeczy, a było to pod koniec hucznego, szalonego włoskiego karnawału, gdy raz weszła do gabinetu ojca Olga z listem w ręku. Wyglądała podniecona, co się już jej w ostatnich czasach często trafiało. Jej pierś falowała, jej delikatne nozdrza namiętnie się poruszały, a cała fizyognomia odrazu powiedziała hrabiemu, iż córka jego wciąż duchowo przebywała niebezpieczną dla kobiet a niebezpieczniejszą dla niej fazę.

— Dostałam wczoraj list — zagadnęła Olga tonem niemal zażenowanym i drżącym wysiłkiem woli — list anonimowy, którego autora domyślać się tylko wolno, bo pismo... nieznane. Przeczytaj go i powiesz mi o nim swoją zdanie. To powiedziawszy, jakby niechcąc, by ojciec widział rumieńce, które nagle okraśliły jej oblicze, pozostawiając papier w rękach Odrowąza, wyszła. Zdziwiony hrabia tem zachowaniem się córki, zdradzającym mu naturalnie jakąś wyjątkową okoliczność, został sam z listem, który, ochłonawszy po pierwszym dość dziwnem wrażeniu, wywartem zjawieniem się Olgi, czytał: "Pani!

Są położenia w życiach wyjątkowych serc, które zmuszają ludzi takich, jak ja, do uciekania się pod skrzydła opiekuńcze pisma i anonimu. Należę do grona Jej wielbicieli, mogę z Panią rozmawiać i pozwalasz mi Pani nawet mówić sobie wszystko, a mimo to nigdybym nie miał odwagi powiedzenia Jej tego, co czuję, że dziś napiszę.

Właśnie dlatego może, że mi pozwalasz powiedzieć Ci wszystko, jestem przy Tobie nieśmiały i nie mówię nic! Rozwiązania tej zagadki trzeba szukać może w Twym głębokim spojrzeniu, z którego wieje taka prawda, iż prawdzie słów dobrać nie pozwala.

Kocham Cię szalenie, nie tak może, iżbym Ci miał powiedzieć, ja, autor tego listu, którego się zapewne domyślisz, że odmowy mej prośbie nie przeżyję, że sobie w łeb strzelę czy o. p. Nie! Tego nie uczynię, ale wiem i czuję to, że odrzucenie mego życia przez Ciebie będzie jego zdruzgotaniem.

Jak Cię kocham, tego Ci mówić nie potrzebuję. Twój wzrok jest dość głęboki, by do dna przejrzeć uczucie, które we mnie obudziłaś. Znasz je więc i znasz jego odcienia.

Za tydzień kończy się karnawał. Muzyka, która się skończy, nie pozwoli mi już przedłużać moich namiętnych wyznań, któreby zmiennie brzmiały nie głuszone orkiestrą, bo wchodzą one swymi rozmiary w granicę fantazyi a nie rzeczywistości.

Ofiarowywałem Ci nieraz moje życie, a w odpowiedzi mówiłaś zawsze, że powtórnie zamąż wyjść nie myślisz. Rozumiem to postanowienie i samego mnie przestrasza

dziś małżeństwo, skoro potrafiło ono takiej jak Ty kobiecie napelnić serce goryczą, czy żalem, czy też je tylko do tej instytucji zdeziluzjonować. Małżeństwo nie może utrzymać długo szalu serc, którego Ty od miłości żądasz, który ja tylko mianem uczucia dopiero kwalifikuję". Tu Odrowąż urwał, bo potrzebował się połapać, że tego ostatniego frazesu nie napisał Rowieński. Tyle razy myśl tę w jego ustach słyszał. Po pauzie zaczął: "Ale niemożliwym jest przecież, byś już nie kochała i kochaną nie była. To jest przecież poprostu niemożliwe. Tuszę sobie, iż czujesz, że Cię nikt więcej odemnie kochać nie może i nie będzie, a mnie ten stopień uczucia, który w Twem sercu roznieciłem... do niepojętego szczęścia, do złożenia Ci u nóg całego mego życia i na zawsze... wystarczy. Ty, już, wierzaj mi, nikogo tą pierwszą świeżością uczucia kochać nie będziesz. Przepaliłaś je w ogniu pierwszej miłości i jedynej, ale nie ostatniej, bo miłość jest nieodzowną potrzebą, jak woda rośliny, kobiety twojego ustroju. Kochać będziesz słabiej czy silniej, ale do życia kochaną bezmiernie być potrzebujesz. Wiesz o tem i czujesz, że wcześniej czy później dla zadośćuczynienia tej nieprzepartej potrzebie Twego całego jestestwa być kochaną, rzucisz się w objęcia mężczyzny. Czyż nie czujesz, że w żadnym już bezmierniejszego niż we mnie nie obudzisz uczucia ? Badaj siebie tydzień. Namyślaj się tydzień, bo mnie już badać nie potrzebujesz. Twój wzrok, czuję go

tam, gdzie wzrok żadnej kobiety jeszcze mi nie dosięgnął. Ja Cię
przez tydzień
widzieć nie będę, bo chcę sobie oszczędzić cierpień, któreby mi
zniżyły
potrzebną mi właśnie z Tobą siłę. Włosi są ognistymi i ja się spalić nie
dam. Ja
ocaleć pragnę.
Za tydzień jest ostatni tego roku bal u Torlionich, maskarada ! Na
tejże
znajdzie się mężczyzna owinięty w czarny płaszcz à la Valois, w
czarnym
kapeluszu z białym piórem. Ten mężczyzna zbliży się do Ciebie, jeśli
będziesz
miała w uszach te czarne perły, które lubi, grające z twymi oczami.
Zniknie
zaraz z balu i z Włoch, jeśli ich mieć nie będziesz. Dalej, gdy
maskaradę
opuszczać będziesz, tenże sam mężczyzna stanie u drzwiczek twego
powozu. Albo mu
skiniesz, by wsiadł z Tobą, albo zamkną się przed nim drzwiczki
karety, a wtedy
też skłoni Ci się tylko i pożegna na zawsze.
Wiesz już, kim jestem, wiesz już, jakie serce stracisz Ty! co serca
szukasz,
któreby Cię zrozumiało.
Wiesz też, że trzymam pióro na wodzy, by Ci nie pisać nieudolnie
tego,
co między wierszami doskonale czytasz.
Kocham Cię szalenie, i w tym może szalonym planie Cię posiędę, lub
stracę.
Lecz czuję, czuję to wszechpotężnie, że jesteś jedną z tych kobiet,
które
tuzmkową drogą nie idą i które wiedzą, dokąd dążą, a w środkach,
będących tylko
zaporą małodusznym, nieprzebierają, ani skrupułami, które
namiętności ich
stłumić muszą, się niekrepują. Musisz kochać i być kochaną, a jeśli ja
jestem

tym, którego miłość niepoohamowana ma Ci dać szczęście, to mnie nie wypuścisz, a więc i niezgubisz.

Odrowąż skończył. Ale zamiast myśleć, zrywał się z krzesła. On już dość myślał, czytając. On długo czasu nie potrzebował na namysł nad przedmiotem tego listu, bo on mu wszystkie dni i godziny ostatnich tygodni poświęcił. A więc Olga kochała jedynie Rowieńskiego... ale kochała i księcia, skoro on jej to wyraźnie wpierał... A dalej Olga wyjść zamaż nigdy nie myślała. A więc zostanie kochanką Ferrariego, jeśli do tygodnia Rowieński o swoje prawa się nie upomni. Zostanie nią, jeśli w dniu maskarady będzie pobudzoną, jeśli najbliższy wypadek Włochowi przyjdzie w pomoc, zostanie nią. Do zostać nią może już postanowiła.

Ale dlaczego mu ona ten list dała do przeczytania ? Dlaczego ? Odrowąż stanął wryty i zeszywniał. Oczy jego utkwily w posadzce, czoło się ściągnęło, krzaczaste brwi zeszyły.

Dlaczego mu Olga ten list dała do przeczytania ? Czyżby sądziła, znajdując się już na takiej pochyłości dla kobiety, na której mężczyzna proponuje śmiało i filozoficznie romans, jako wynik psychiczny, że on odważy się na jedno słowo rady, potępienia, czy otuchy ? Wszakże ona nie mogła przypuszczać, by on ją zachęcał do romansu z Ferrarim, ani też, by go jej odradzał.

Czy może chciała — pytał znów myślą Odrowąż — by on spróbował obalić w niej postanowienie nie wyjścia powtórnie w związku małżeński"? Onby i tego nie brał na siebie.

Zamyślił się i nagle po stosunkowo krótkiej zadumie zerwał się z miejsca.

Odbiegł do biurka i jął przepisywać list Ferrariego....

Gdy pospieszną tę pracę skończył, złożył odpis i włożył do pularesu, a sam z

listem w dłoniach pospieszył do córki.

Zastał ją leżącą na szezlongu.

— Odnoszę ci ten list.

— Jakież to człowiek autor jego ?

— zapytała Olga, unikając spojrzenia ojcu w oczy.

Odrowąż po długim namyśle, który potem oblał mu czoło, odparł:

— Zdaje się, że człowiek rozumny i człowiek, który cię zna i kocha...

Pierś kobiety się wzdeła, jak gdyby stłumiła wezbranie serca.

— Na mojem miejsca byś zrobił?

— zapytała dobitnie choć trwożnie.

— Musiałbym znać to twoje miejsce, Olgo — odparł znów po namyśle Odrowąż z nutą

wyrzutu w głosie, która może podniosła kobietą na szezlongu.

Wlepiała w niego swój wzrok nagle jakby łzami zaszczyły i zawołała:

— Na mojem miejscu?... kobiety raz opuszczonej...

Takie cierpienie zawiąło z dykcji tych kilku słów, że hrabia nie mogąc się

utrzymać na nogach, zsunął się na fotel i dopiero odparł:

— Postąpiłbym jakby mi serce, rozum i instynkt po tyra tygodniu namysłu postąpić

nakazały.

Chwilę jeszcze bawili razem. Nagle Olga westchnęła i powstała, a fizyognomia jej

wyraźnie mówiła, że przedmiot ten uważała za wyczerpany.

Odrowąż z tą zadumą, zastanawiającą swą intensywnością i głębokością, na twarzy,

powrócił do siebie. Nie szarpał już brody, bo jej nie szarpał nigdy w kulminacyjnych momentach pracy swego mózgu.

Usiadł przy biurze i napisał jednym pociągnięciem pióra te słowa:

"Zakopane. Rowieński.

Proszę przybyć do mnie bezzwłocznie.

Odrowąż.

Włożył ten papier do koperty, zadzwonił na lokaja i polecił mu tenże oddać panu Borońskiemu dla natychmiastowego telegraficznego wyekspedycjonowania.

VII.

Już tylko dwie doby dzieliły Odrowąża od ostatniej maskarady u Torlionich, która od kilku dni stała się osią obrotną jego myśli.

Niewątpił, że Olga postąpi tak, jak jej poradził, to jest, usłucha wskazówek swego serca, rozumu i instynktu.

Ale serce, rozum i instynkt mogły ją łatwo... bardzo łatwo rzucić w objęcia

księcia kochanka i to niepóźniej, jak ostatniego wtorku tego karnawału, a więc za dni dwa.

Ferrari podobał się Oldze, wiedział też, iż list jego był właśnie takim głosem,

który mógł tę kobietę do stanowczego kroku zdecydować.

Książę bowiem nie był pospolitym i kochliwym Włochem. Był to przeciwnie typ

mężczyzny, pokrewny Rowieńskiemu nie tylko podobną naturą, ale i podobną przeszłością.

Książę był przeszedł dramat w życiu, który go wysoce robił interesującym w

oczach kobiety takiej, jak Olga. Dramat, który dowodził, że pojmował on inaczej

miłość, niż salonowcy jego epoki. Dziedzic pierwszego w kraju nazwiska,

olbrzymiej fortuny, poślubił był przed dziesięciu laty córkę księgarza rzymskiego i wywołał tem takie oburzenie rodziny i arystokracji, iż musiał z

Rzymu uciekać. Ale fanatyzm patricjatu dosięgnął go i w Nizy, gdzie osiadł,

gdyż pewnego poranku ubóstwiana zasłabła, by w godzinę później umrzeć i rzucić

podejrzanie zbrodni na rodzinę dumną Ferrarich.
Wtedy rozżalony księżę powrócił do Rzymu i zadziwił świat
hołdujący mitrom i
złotu swym postępkiem. Wyprzedał dobra pozostające od czasów
papieża Innocentego
I. w rękach Ferrarich, puścił na licytację galerye obrazów cenioną na
miliony i
rezerwując sobie pensję zwykłego śmiertelnika złożył fundusz
królowi na potrzeby
zagrożonej wtedy ojczyzny.
Sam zaś wstąpił do wojska i pożegnał wzburzoną rodzinę rozgłośniami
słowami
"Teraz może pozwolicie mi być człowiekiem. "
Wystąpił z wojska, gdy pułk jego przenoszono z okolic Florencyi w
chwili, gdy na
horyzoncie wielkiego
świata pojawiła się Olga z powrotem z Tyrolu.
Ta monografia człowieka, wiedziało tem Odrowąż, rzucała całkowicie
inne światło
w oczach Olgi na księcia i pozwalała mu nawet żądać od niej tego,
czego
listownie zażądał, nie wywołując ani oburzenia, ani ujemnego
wrażenia.
Ferrari, gdy biografię jego poznał hrabia, wydał mu się nawet dla
Rowieńskiego
niebezpiecznym rywalem, gdyby tenże pragnął zająć utracono
stanowisko.
A tu nadto Rowieński nie dawał znaku życia i nieodpowiedział na
wezwanie jego. W
tem już hrabia nie poznawał Jana z Gdowa. Czyżby się na nim
pomylił? na nim, do
którego żalu nie miał, jakkolwiek on opuścił córkę i zatarł dwa lata
życia i był
przyczyną wreszcie jego obecnej pozycyi, będącej jednym pasmem
subtelności i
subtelnością swą straszego cierpienia ?
Mógł niechcieć się połączyć z Olgą, mógł odrzucić podania jej deski
ratunku,

jako kobiecie wyższego rodzaju, mógł sobie kpić z pojęć
dziewiętnastowiecznych
jeszcze honoru mężowskiego, ale winien był się stawić, wezwany
przez niego.

Nie stawiał się, a Odrowąż go w tem nie poznawał.

Aż wreszcie dnia tego, hrabia jeszcze nie opuścił łoża, gdy mu
zameldowano

Borońskiego, pragnącego się z nim bezzwłocznie widzieć.

Sekretarz został natychmiast dopuszczony i oznajmił przejętym
głosem:

— Pan Rowieński mi donosi tym oto biletem, iż przybył na wezwanie
hrabiego w tej

chwili i w hotelu "Impérial" czeka jego rozkazów.

Odrowąż głęboko odetchnął. Oblicze jego w jednej sekundzie pokryło
się tym

wyrazem nadziei ocalenia w jakimś przykrym kataklizmie. Połapał się
i odparł

tonem dawno mu obcym tak pełnym energii i otuchy:

— Biegnij pan sam do hotelu... Pan Rowieński pragnie widocznie być
incognito...

Natychmiast stawię się sam u niego.

Boroński wybiegł spełnić rozkaz, a hrabia wyskoczył z łoża, aby się
ubrać.

W godzinę później stanęli naprzeciw siebie teść i zięć, ojciec i syn
ukochany,

bo jedyny.

Stary Odrowąż prawie rozczulony, Rowieński zimny, zamknięty w
sobie, cały

drżący.

Powitali się uściśnieniem dłoni.

— Myślałem, — zaczął Odrowąż — że już nie przybędziesz.

Dziękuję ci...

— Nie pojmują, jak pan mogłeś to przypuścić... — odparł Edward.

— Zapewne... Ale nie widziałem cię tak dawno...

Ucichł i długo trwało milczenie. Rowieński chodził gorączkowo po
komnacie a

hrabia siedział i myślał.

Wreszcie tak zaczął:

— Do dziś dnia nie wiem, co cię skłoniło do opuszczenia mojej córki i nie pytam

o to... Musiały być ważne powody... Jeśli dziś wezwałem ciebie, który mię nigdy

nie upoważniłeś do interwencji między tobą a moją córką, to uczyniłem to

dlatego, że mi tak nakazywało sumienie, czy... instynkt...

Rowieński blady, chciał coś mówić, ale hrabia skinął ręką i podchwycił:

— Nie chcę nic wiedzieć. Chcę tylko, byś ty wiedział to, co, może mylnie

przypuszczam, że wiedzieć pragniesz, czy potrzebujesz. Czy wiesz, co Olga robiła

od czasu, jak ją opuściłeś ?

— Wiem, to co wiedział Boroński, gdym go widział. Oddała się rzeźbiarstwu przez

rok.... Rok drugi bawiła w Tyrolu.

— Tak ! — przerwał hrabia. — Pragnęła nauczyć się rozumieć i kochać naturę...

— Potem powróciła tutaj i rzuciła się w wir świata?

— Tak! — zawołał. — Ale nie wiesz o tem, że przez te dwa lata... — tu urwał i

zapytał: — Czy ty mnie znasz dobrze ?

— Zdaje mi się.

— Czy ty mi ślepo wierzysz i czy będziesz przekonany, że dla mnie jest prawie

obojętnem, czy Olga połączy się z tobą, czy uzyska rozwód i wyjdzie za... czy

zostanie jego kochanką?

— Wierzę! — odparł po namyśle osłupiały Edward.

— A więc słuchaj — rzekł uroczystym tonem i ciągnął: — Wiesz, że bawiła rok w

Tyrolu, ale nie wiesz, że bawiła tam dlatego, by się zbliżyć duchowo do ciebie.

Nie wiesz, że zajęła się tamże pewnym góralem, ptasznikiem, którego wykształciła, wyposażyła i ożeniła i że ten ptasznik był dziwnie do ciebie

fizycznie podobny... Nie wiesz wreszcie, że tamże, w Tyrolu, doszła ją pewnego wieczoru, a byłem wtedy u niej, powieść twoja pod tytułem "Nemezys życia" i że tejsze nocy ją połknęła, a na drugi dzień rano, do dnia, wyjechała do Równa, by się przekonać, czy rzeczywiście pewien obraz ze ściany został stamtąd zabrany.

Nie wiedziałeś o tem?

— Nie wiedziałem — odparł drżącym głosem Edward, to blady, to szkarłatny, zdradzający swem obliczem wszystkie uczucia, ogarniające mu duszę i serce, jedne ustępujące drugim, jedne przygniatające i rugujące drugie, w jakimś szalonym tańcu głowy.

Długą ciszę przerwał Rowieński szeptem bezsilnego ze wzruszenia głosu:

— Dalej...

— Dalej ? — podchwycił hrabia. — Powróciła tutaj i zakipiła życiem, którego genezy ani pobudek nie uchwyciłem dostatecznie, by się o nich zapewnić... Jesteś

zbyt rozumnym człowiekiem, bym ci potrzebował kłaść kropki nad literami, a znasz

ją zapewne lepiej odemnie... Żyjąc w tym wirze, znalazła raz chwilę czasu, by

się zastanowić nad tem, co z ust twych słyszała na pokładzie parowca "Fellicita"

o podobieństwie i tożsamości istot kochanych... Mówiłeś o tem z La Scalą...

Przypominasz sobie?

— Przypominam...

— Otóż i ona sobie to przypomniała a propos księcia Ferrari, który ciebie wielce

przypomina, którym ona jest obecnie zajęta, który zostanie jej mężem, albo

kochankiem... który wreszcie napisał jej taki oto list, którego wierną kopię dla

ciebie zrobioną wręczam ci...

Tu wyjął z pularesa papiery i oddał je drżącym dłoniom

Kowieńskiego, ciągnąc:

— Dodałem ci do niego biografię księcia Ferrari.... może ci się przydać....

Edward, niedbale siedząc na stołku, z wzrokiem utkwionym w podłódze, milczał,

trzymając wzięty list w ręce i swym bystrym mózgiem ważył krótką i węzłowatą

opowieść Odrowąza, w której dlań tkwił taki ogrom materiału do zastanowień i

pracy myśli, iż go z trudnością ogarniał.

— Rozumiałeś wszystko ? — zapytał hrabia.

— Rozumiałem.... wszystko — odparł dykcją, płynącą z wzburzonego serca,

Rowieński.

— A więc skończyłem.

Tu hrabia uchwycił gazetę, leżącą na stole i rozwinąwszy ją

najspokojniej, z tą

jemu indywidualną, obojętną miną, zabrał się do jej czytania. A

Rowieński

wyszedł do drugiego pokoju, usiadł na pierwszym stołku, odetchnął głęboko, jakby

mu tchu brakowało i rozwinął ćwiartkę papieru, wypełnioną drobnym pismem

Odrowąza.

Czytał ją z uczuciem pierwszy raz w życiu doznawanem. Serce go bolało, ale bólem

indywidualnym, jakby rosło czy puchło...

Godzinę może siedział oparty na stole, podtrzymując obiema dłońmi swoją wyjątkową ciężką głowę. Wzdychał i myślał z takim wyteżeniem mózgu, że

tenże mu formalnie oczy wysadzał z pod powiek. Wreszcie wstał, prawie się

zachwiał jak pijany, zebrał siły i przeszedłszy do przyległej komnaty, stanął

przed czytającym wciąż Odrowązem.

— I pan mi radzisz ? — zapytał jędrnym rozkazującym niejako w pytaniu głosem.

— Nic nie radzę — odparł zaraz hrabia, odkładając dziennik, obejmując spojrzeniem twarz Edwarda i spotykając się pierwszy raz z jego śmiałym wzrokiem.

— Czyż ja co radzić mogę? Ja jestem kronikarzem... Udzieliłem ci tego, co widziałem, ulegając tutaj tylko poczuciu jakiegoś subtelnego obowiązku...

— Dziękuję panu !

— Potrzebnem więc, czy miłem było ci to słyszeć? Nie omyliłem się więc...

— Słuchaj pan! — zawołał Rowieński głosem, którego siła dźwięku zelektryzowała hrabiego. — We mnie cierpienie, którego genezy, ani tonów opisywać nie będę, bobyś go może jako nie chory autor nie zrozumiał... bo na to dziś głowy nie mam... tak przygasiło uczucie do Olgi, iżem ją opuścił pod pozorem wymyślonym może dla swego własnego sumienia, ratowania w sobie człowieka myśli, zdrowia i talentu... W Zakopanem, z powracającym zdrowiem odżywało uczucie...

Urwał, zamyślił się, dłoń do czoła przyłożył i zawołał:

— Ja dziś kocham Olgę całą świeżością i namiętnością odrodzonej miłości. Jeśli

ona cierpiała przez lat dwa, to kto wie, czy ja więcej nie wycierpiałem przez ostatni rok?

Skończył i zaczął chodzić po pokoju a Odrowąż milczał.

Nagle przystanął i zapytał z rozpaczą:

— A teraz pan mi nic nie poradzisz ?

Hrabia po krótkim namyśle odparł:

— Powrócić!

Rowieński osłupiał i długo błędnym wzrokiem przypatrywał się Odrowążowi.

— Powrócić ? — zapytał i zaśmiał się nerwowo — ha, ha, ha! Więc żaden ojciec nie zna swego własnego dziecka, ha, ha, ha! Powrócić? jak filister najgorszego gatunku? powrócić w ostatniej chwili, by może ratować honor samca, czy może nazwiska, czy może prawo do majątku! ha, ha! powrócić i upomnąć się o swoje prawa małżonka? ha, ha, ha! jak jaki kretyń, czy szubrawiec, a w najlepszym razie, jak filister czy dureń! ha, ha, ha! Ależ onaby mnie odepchnęła, onaby mnie za ten jeden postępek obrzydziła sobie i znieawidziła, choćby nawet jeszcze kochała, choćby nawet, jak pan przypuszczać się zdajesz, w księżciu mnie szukała. Odrowąż pobladł. Te kilka słów otworzyły mu całkowicie oczy. Tak! Edward miał zupełną rację. I Odrowąż doznał wrażenia, że się znajduje na morzu na jednej desce wśród, fal, którą mu jakaś niewidzialna siła wysuwała. Milczenie trwało niezmiernie długo. Rowieński tylko czasem wzdychał, a raczej usiłował pełną piersią zaczerpnąć powietrza, którego mu brak Nagle zerwał się z krzesła i podbiegł do hrabiego. — Słuchaj pan! My nie jesteśmy codziennem zwykłym małżeństwem. Olga nie jest zwykłą kobietą. Chciałeś ją wyrefinować, jako płód — kobietę zdobyczy świata po nasz wiek i zrobiłeś ją taką... Urwał znów i zaczął chodzić po pokoju, by znów przystanąć i mówić: — Olgi odzyskać już nie mogę jedną z tych naturalnych i prostych dróg, bośmy nigdy tym utartym i pospolitym gościńcem europejskich wymagań nie szli, bo ją opuściłem i przez półtrzecia roku zaniedbałem w sposób niedozwolony europejskiemu małżonkowi dziewiętnastego stulecia...

Urwał, by natychmiast zawołać: — Ale dozwolony może artyście,
jakim jestem, za
jakiego mnie ma...
Odrowąż smutny kiwał głową, bo rzeczywiście teraz nie widział
wyjścia z tej
pozycji, gdy mu Rowieński Olgę właściwem oświecił światłem.
Ale on znów podchwycił tonem głębokim:
— Ale. Olgę odzyskam, jeśli wynajdę sposób, którym tylko taka istota
odzyskać
się da, jeśli ją podbiję raz drugi, jeśli wpadnę na artystyczny środek,
na który
tylko tak artystycznie życie pojmujące natury czułem być mogą...
Odrowąż słuchał zięcia z takim zajęciem, iż to rozpraszało chwilowo
jego
głęboki smutek. On jeszcze ciągnął tym razem z werwą:
— Jeśli ją raz drugi w życiu i to w tak krótkim czasie jakąś genialną
intuicyą
serca, możliwą skoro ją kocham, podbić potrafię, to... będzie moją.
Jeśli mi
serce jednakże nic nie podda... to ją poświęcę, to próbować nawet nie
będę, bo
próba próżną by była...
Ucichł, wyciągnął dłonie do Odrowąża.
— A teraz zostaw mnie pan samego, przyjm gorące podziękowanie i...
gorącą prośbę o przebaczenie, że trochę ściągam ci siwe brwi...
Ucałował w ramię hrabiego i opuścił się oblany zimnym potem na
sofę, jeszcze
mówiąc:
— Olga naturalnie nie może wiedzieć, ani przypuszczać, bym się
znajdował w
Florencyi.
— Nie wie dotąd nic, nic!
— I nigdy nie okazała chęci przywołania mnie?
— Nigdy!
— Aaaa.... ta duma... — szepnął przez zęby i dodał głośniejszym,
formalnie bezsilnym
głosem: — Niechże nic nie wie, niechże się z oblicza twego niczego
nie

domyśli...

Urwał, a Odrowąż go opuścił. Rowieński został sam.

* * *

Kowieński ogarnięty trawiącą gorączką, zamknięty od rana w swym pokoju, szarpał

się w nim iak dziki zwierz. Ciasno było i duszno. Potrzebowałby przestrzeni,

któraby pozwoliła rozbijać się jego fantazyi, łaknącej teraz właśnie intuicyi.

Pragnął ciszy wsi, któraby mu ułatwiła skupienie myśli i ogarnięcie swej

psychicznej niezmiernie subtelnej sytuacji.

Był w Florencyi, o kilkadziesiąt kroków od Olgi, której od roku łaknęły jego zmysły i namiętności i nie mógł jej widzieć nawet.

Dowadywał się, że go kochała i. Tak! Ona jeszcze teraz, zajęta Ferrarim, jego

tylko kochała. Widział to jasno z opowiadania Odrowąza, z niezwyklej

przenikliwości swego serca, które mu to podszeptowało.

Dowiedział się rzeczy tyle i takich, iż uczucie jego się rozpało tryskającym

iskrami płomieniem. Ta kobieta, o której wątpiąc, tyle cierpiał w Zakopanem, o

nim tylko myślała i do dalszego spokojnego, normalnego z nim pożycia się

przygotowywała. Ona pragnęła pokochać ciszę wiejską, ona połykała jego twory,

ona jeździła do Równa, ona przypominała sobie rozmowy jego i teorye, których

sądził, nigdy nie słyszała.

Ależ ona prześcignęła tę Olgę, za którą tęsknił, ona była już może tym jego

ideałem kobiety, który w niej znaleźć i rozwinąć jak kwiat pragnął.

Była nim i

była bezsprzecznie ta kobieta, co tak jak ona, dwóch lat separacyi z kochanym

mężem użyła.

— Nie pragnął nic więcej, tylko rzucić się jej do nóg i jeśli nie
uzyskać
przebaczenia, to ocalić reputację swoją, jako człowieka, który takiej
istoty
niezapoznał i dać należną tej kobiecie satysfakcję, tkwiącą w tem, że
bezkarnie
jej nieopuścił.

Uczucie jego dziwnie się trawiło i czyściło. Jadąc do Florencyi na
wezwanie

Odrowąza, kochał Olę i łaknął jej namiętnością i wszystkimi
fibrami zmysłów.

Teraz ją uwielbiał.

I rozpacz jego jeszcze większe przybierała rozmiary.

Znał ją dobrze i wiedział, że o ile łatwym byłoby mu ją odzyskać temu
kilka

miesiący w Tyrolu, o tyle trudnem to było teraz we Florencyi.

Za długo odpoczywała i cierpiała.

Dopóki Olga na niego czekała, był panem jej serca. Gdy czekać
przestała gdy z

właściwą sobie stanowczością, doczekać się go nie mogąc, serce
swoje cierpieniem

zahartowane do zapomnienia zmusiła, rola jego była trudniejszą.

Dopóki była w Tyrolu, potrzebował tylko uczynić krok pierwszy do
zgody, dziś

musiał może zmusić ją do odwołania zapadłej decyzji, będącej u
takiej jak ona

kobiety wynikiem zastanowienia i wytrawienia uczuć a nie kaprysu.

Ona, być może, jeszcze go kochała, ale go przestać kochać
postanowiła.

A jeśli Olga co postanowiła

Rowieński upadał na duchu, to znów się podnosił.

Czuł tylko ciągle, jakby instynktem, iżby ją miał, tę kobietę, gdyby
nie był jej

mężem... gdyby ją raz wtóry podbić potrafił, a nie odzyskać usiłował.

Czuł, iżby drzwiczki karety, od których życie swe zawisłem czynił
Ferrari,

niezamknęły się przed nim, gdyby był nie Kowieńskim, tylko Ferrarim, nie tym, który ją, zawiódł, ale tym, który jej tego, czego od życia pragnęła, miał dotrzymać.

Wszakże i on był nim teraz ? Ale czyż ona mogła mu już wierzyć? Dlaczegożby nie?

Jemu, który nigdy nie kłamał, który... Dlaczegożby nie miała wierzyć jemu, jeśli

wierzyła temu, co w romansie napisał ? Tak, ale od tego czasu upłynęło ośm

miesiący. Te ośm miesięcy były właśnie kryzys cierpienia i czekania. Podnosił się i upadał na duchu.

Ale wciąż rozpaczliwie szeptał:

— Gdybym mógł być Ferrarim.

Tak mijały godziny i zastawały one ciągle Edwarda na tym samym szczeblu drabiny,

sięgającej rozwiązania zagadki. I czuł, że wzmagająca się w nim gorączka,

niepozwoli mu wkrótce orjentować się nawet w opłakanem jego położeniu. Setki

planów rodziło się w jego głowie, by natychmiast dać się obalić refleksyi,

opartej na

psychologii Olgi, na własnej jego uczuć subtelności.

To miał prosić o interwencję Odrowąza, to stanąć przed tą kobietą, która sobie

przed ślubem wymówiła wolność i odkryć jej swe cierpienia, to napisać do niej,

to...

Pod wieczór już nie miał sił myśleć i zamówił sobie remizę hotelową, któraby go

zawiozła za miasto. Przypomniawszy sobie, iż w Paryżu, w epoce największego

naprężenia jego zmysłów, spacer pojazdem dziwnie go podtrzymywał i koił.

Wskoczył więc do landary, którą podnieść rozkazał i kazał się wieźć tam, gdzieby

jego uwieczoną, wyobraźnię różnorodność jakaś rozkiełzać mogła.
Ekwipaż pocwałował i Kowieński zagłębiany w poduszkach, ukryty
w kącie karocy
spozstrzegł zapóźno, że brał udział w codziennem corso ekwipaży
wielkiego świata
tej kosmopolitycznej stolicy,
Rozłościł się. Wszakże on w Florencyi licznych miał znajomych.
Zresztą on
potrzebował rozrywki, ale nie ludzi.
Ale zmienić rozkazu już nie mógł. Ekwipaże napełnione strojnemi
damami wymijały
go. Wszakże w jednym z nich mogła się znajdować Olga.
Śledził za nią nagle porwany inną myślą, tak silnie, iż już nie cierpiał.

Śmiertelna bladość pokryła mu oblicze, wargi drzeć zaczęły, oczy
zaszły mgłą
wzruszenia, które wstrzymało na chwilę bicie jego serca.
To Olga! Olga jechała sama w swej wiktoryi, blada, tak interesująca,
ale tak
zamyślona i smutna. Jechała i rozglądała się po tłumie, ale nie
spojrzała w jego
stronę. Ani się go me domyślała, ani drgnęła, ani ócz nie zwróciła.
Więc nie czuła jego pary ócz, pożerających ją z taką namiętnością i
szalonych
uczuc siłą? Więc nie tknęło ją jego tak bliskie znalezienie się przy
niej?
jego??
Rowieński, gdy ochłonał, uczuł wilgoć na twarzy i pomacawszy się
dłonią
spozstrzegł, że oblicze jego było zalane łzami.
Czyby miał tej kobiety, którą teraz widział, tak pięknej, tak zmysłom
jego
pociągliwej, tak jestestwem jego wstrząsającej, nieodzyskać? Onby ją
miał
odstąpić innemu? Chyba po jego trupie by do niej doszedł.
Rozkazał się wieźć za miasto.
Ekwipaż wielkim klusem pomykał, a Edward zadrzał, nieruchomy, ze
wzrokiem

pałającym, utopionym w jednym punkcie, z zaciśniętymi ustami,
więcej pobudzony i roznamietniony fizyognomią niż wtedy, gdy
tworzył
najfantastyczniejsze swe twory.
Obudził się, dopiero i drgnął raz pierwszy, gdy mu woźnica zwrócił
uwagę, że
konie ustawały.
Wtedy połapał się. Noc już zapadała. Zaczepnął powietrza. Poleciał
powracać
krokiem do miasta, a sam zebrał myśli, by ochłonać. Co on robił? czy
tworzył
powieść? czy tworzył plan?
Długo nie mógł ustatkować rozbującej i rozpędzonej wyobraźni, która
setkami
obrazów mu zawieruszyła głowę.
Gdy landara wjechała w miasto, Rowieński wychylił się z niej i
rozkazał
furmanowi:
— Do biura adresowego.
— A kogo pan szuka? — zapytał woźnica — bo może znam, bo ja
wszystkich znam...
— Książę Lucca Ferrari?
— Oho ! wiem !
— A więc jedź do niego !
W kilka minut później ekwipaż stanął i wyskoczył zeń pewnym
krokiem Rowieński z
pogodą na czole i decyzją w spojrzeniu.
Książę zastał w domu i został przezeń przyjęty.
Obaj mężczyźni spotkali się w gabinecie, urządzonej z artystycznym
komfortem. Rowieński nie mógł opanować wzruszenia, które go
ogarnęło na widok
człowieka, który mu zamierzał legalnie zabrać całe życie.
Ferrari minął zdradzał, iż absolutnie nie wie, z kim miał do czynienia.
To też
zaraz się odezwał, ofiarując Edwardowi fotel z uprzejmością
wielkiego pana, ale
rezerwą człowieka wysoce w sobie skupionego.

— Nazwisko pańskie mi znane, bo znam osobę, która jeszcze takowe nosi.

— Jeszcze ? — zapytał Rowiński.

— Mówię tu o pani Oldze Rowieńskiej, zamieszkałej w Florencji.

— A więc mówisz książę o mojej żonie — podchwycił Edward.

Ferrari się zmięszał i nastąpiła cisza, podczas której obaj mężczyźni usiłowali

się kilkoma ' spojrzzeniami wzajemnie psychicznie posiąść i odgadnąć.

Rowiński pierwszy odnalazł język, bo jego dotąd nic

niespodziewanego, a więc

nadzwyczajnego nie spotkało i zapytał.

— Czy księciu zupełnie jestem obcy?

Ferrari po namyśle, którego użył na przeszycie wzrokiem gościa, odparł:

— Nie! Słyszałem od pani Olgi, kilka razy coś o panu, co utrzymałem w pamięci. Pani Rowieńska wuważa pana za jednego z wybitniejszych oryginalnością

i subtelnością... ludzi.

— Dostatecznie, by mnie spokojnie wysłuchać i nad oryginalnością mej propozycji

się nie dziwić.

— Jestem na pańskie rozkazy. Kowieński odetchnął i zaczął

poważnie:

— Ja znam księcia, czego zresztą z treści mojej propozycji się domyślisz. Znam

pana jako człowieka z jego biografii, której mi udzielono, a znam pana jako

skończonego dżentelmena, bo i o to mi chodzi, mniej z twego nazwiska, niż z

tego, że zwróciłeś uwagę pani Kowieńskiej...

Ferrari słuchał milcząc w widocznym osłupieniu, a gość jego ciągnął:

— Jesteś książę w trakcie odebrania mi żony... mniejsza o to...

— Wszakże ją pan opuściłeś, o ile się domyślić mogłem? — podchwycił książę.

— Tak! — zawołał Rowieński. — Toż mówię, że mniejsza o to... Ale jesteście książę w

trakcie odebrania mi kobiety, którą tak, jak ty kocham, a może potężniej...

Niedość na tem, ale jesteś księżę w trakcie nadto odebrania mi kobiety, której

uczucie do mnie może jeszcze nie wygasło? A księżę wiesz to może lepiej odemnie.

— Być może! — odparł po namyśle sucho, ale poważnie i spokojnie Ferrari.

— A więc według pojęć dżentelmeńskich, jestemli w prawie żądania satysfakcyi?

— Bezsprzecznie — odparł znów po namyśle księżę. - I gotów ją jestem dać panu bez żadnych restrynkcyi.

Nastąpiła cisza, która trwała tak długo, iż Ferrari mimo praw gościnności

chrząknął. To obudziło Rowieńskiego.,

— Śmieszni byśmy byli — zaczął — w całej średniowiecznej ceremonii pojedynku.

Czy nie znajdujesz księżę, iż są pewne tak subtelne położenia, że rozwiązanie

ich pojedynkiem robi śmieszne wrażenie? Ja do księcia nie moge mieć żadnej

urazy. Księżę jej do mnie żywić nie możesz. A jednak jest pozycja taka, w której

jeden z nas się usunąć musi,

— Tak! — rzekł Ferrari — podzielam etycznie pańskie zapatrywania. Miałbyś pan

więc pretensye do mnie, bym ja się usunął. Zbadajmy, czy ona z punktu widzenia

tego nawet, z którego pan patrzeć pragniesz, jest słuszną ?

— Oh! badać nie potrzebujemy — zaśmiał się Edward. — Pretensyę mo-

ją, byś się księżę usunął, dlatego, że ja raczyłem przyjechać, ha, ha, ha!

byłaby... piramidalną swoją głupotą. Chęć zabicia księcia z mojej strony, a z

jego strony zabicia mnie, byłaby chyba niegodną ludzi, którzy złożyli swoje

dowody, że z programu życiowego usunęli pojęcia zapleśniałe, które
kierować
musiały ludzkością tak długo, jak długo nie mogło nimi kierować
usubtelnienie
myśli i uczuć. Mam siebie i księcia za ludzi wyższych, choćby tylko z
analogicznej nam obu przyczyny. Nie zgłębiajmy się zbyt... i
weźmy tylko
jeden szczegół najdrobniejszy z naszych żyć, w którym obaj
postąpiliśmy jednak
a obaj niż świat inaczej... książę porzucił miliony, by móc być
swobodnym
człowiekiem, ja opuściłem miliony, by móc być także, jak mi się
zdawało,
swobodnym człowiekiem. W dzisiejszych, czasach...
Tu Ferrari skinął ręką, a wyglądał oczarowany Rowieńskim.
— Tak panie... Smutne to czasy, w których to jedno daje nam prawo,
jeśli dobrze
myśl pana chwytam, do utworzenia sobie w tym wypadku osobnego
kodeksu ludzi
czasu... Godzę się na niego i pojedynek, jaki mi pan proponujesz,
przyjmuję.
— Czyż tak? — zawołał uradowany Edward, wyciągając dłoń do
księcia.
— Tak!
— A więc słuchaj mnie książę!...
Ferrari utopił wzrok cały w nim, w Rowieńskim, do którego odczuwał
dziwną
sympatyę, a ta mu się zdawała być największym tryumfem jego życia.
Kobieta,
która kochała Kowieńskiego, kochała i jego, a więc on musiał być
wyższą
inteligencją" niż sam sądził.
Słuchał cały w słuchu, a Rowieński mówił swym głosem
przykuwającym, umiejętą
artysty, a uczuciową człowieka serca dykcją. Mówił magnetyzując
słuchacza swem
spojrzeniem głębokim i aksamitnym, zadziwiając go i jednając tą
bolącą, ale tak

spokojnie cierpianą raną.

Mówił, sam czując, że już nieproponuje, tylko rozkazuje tą potęgą
człowieka
geniusza.

* * *

Maskarada u Torlonich była wymysłem świata, nie mającego już dość
tematu do

zabawy. Postanowiono więc zasilić się fantazyą i przeniesieniem do
prywatnych
salonów zabaw publicznych.

Wszyscy zaproszeni musieli być mocą woli księżnej Torloni, będącej
echem gustów

swych gości, zamaskowani i przybrani w najrozmaitsze malo-
wnicze kostyумы. Po kolacyi wolno było zdjąć maski, wolno też było
zachować swe

incognito. Ta maskarada była przedmiotem wszystkich rozmów,
aspiracyj i myśli

wielkiego świata florenckiego, łaknącego nowości, goniącego za
oryginalnością, a

zamiłowanego w intrydze, której ojczyznę oddawna były gorące
Włochy.

Zapowiadano niesłychany ścisk zaproszonych, a o zaproszenia się
dobijano, bo

szwajcar w pałacu Torlonich miał surowy rozkaz niewpuszczania
żadnej maski,

któraby nieokazała karty zapraszającej, zaopatrzonej własnoręcznym
podpisem

gospodyni domu. Zapowiadano tam niewidziany zbytek kostyumów,
przedstawiających

wszystkie możliwe epoki, wszystkie narodowości, wszystkie fantazyje
mitologii i

odrodzenia.

A wszyscy wezwani otaczali się tajemniczością, ukrywali z

zaproszeniem, nie

zdradzali swych przebrań, zbierali materiały do intryg, którymi
wzajemnie mieli

się niepokoić na długo, a rozciekawiać do żywego.
Olga na tę uroczystość, będącą dla niej w skutek listu anonimowego
podwójnie
interesującą, gotowała się z gorączką, którą dostrzegął nawet
Odrowąż.
Postanowiła ona dłużej nie cierpieć i zdecydowaną była prawie
związać
swe życie z życiem Ferrariego. Wszakże nie mogła dłużej czekać
powrotu
Rowieńskiego i łudzić się możliwością pożycia małżeńskiego z nim,
który ją
najwidoczniej kochać przestał. Powieść "Nemezys życia" była
widocznie genialnem
odtworzeniem psychicznem żalu za utraconą kobietą, ale nie obrazem
jego uczucia.
Gdyby je żywił, byłby powrócił i znalazł sposób uczynienia powrotu
rzeczą
naturalną.
Teraz, gdy ona nie myślała nigdy zebrać jego uczucia, gdy czuła, iż
nigdy nie
byłaby zdolną, dać mu najmniejszym skinieniem do zrozumienia, iż
powrót jego był
pożądany i spodziewany, nie mogła nic lepszego uczynić, jak
urządzić sobie na
przyszłość, o ile to było w jej mocy, możliwej egzystencji.
To też, oddalając od siebie postanowienie, nie myśląc nawet o temże,
nie
przypuszczając jego konsekwencji, pozwalała się unosić falom
okoliczności i w
danej chwili zdecydowaną była uleść wypadkowi, czy instynktowi,
jak jej radził
ojciec, któryby nią rozporządził szczęśliwiej może, niżby to ona sama
uskuteczniła.
Pod takim wrażeniem bierności w tej chwili, której stanowczość
przewidywała i
czuła, weszła na maskaradę.
Nie mogła być poznaną w swym tyrolskim kostyumie, który
odejmował

charakter głównym indywidualnym cechem jej postaci, tkwiącym w majestatyczności

jej chodu i w harmonii wiejących arystokratycznym spokojem ruchów.

I trwogę jej o przyszłość rozrywała myśl, iż Ferrari źle swą zasadzkę obliczył.

Ona wiedziała, jak go poznać, ale on jakże ją odgadnie? Czyżby tak był pewnym

intuicyi swego uczucia? To robiło go jeszcze więcej interesującym.

Weszła pełna światowej, banalnej, obcej jej zwykle ciekawości.

Rozejrzała się pospiesznie po salonach, po różnorodnych, olśniewających

bogactwem i zachwycających to artystyczną myślą, to ekscentryczną oryginalnością

maskach, by wreszcie zoczyć w tym nieprzebranym tłumie

mężczyznę, owiniętego w

czarny jedwabny płaszcz, z czerwoną maską na twarzy, w aksamitnym à la Rembrandt

kapeluszu z białym strusim piórem, na głowie spiętym brylantem, który mimo

całego zajęcia wyobraźni, zatrzymał jej uwagę. Ten brylant, zdawało się jej, ona

gdzieś widziała i znała, gdzieś go w rękach miała...

I brylant zaczął ją więcej intrygować niż maska, od której może zależała jej

przyszłość, jedną z tych dziwnych igraszek naszych wyobraźni.

I obserwowała długo Ferrariego, bo nikim innym nie mógł być czarny pan à la

Valois, bo w salach żaden inny ani podobny do tego nie znalazł się kostyum.

Książę jej nie poznawał i nie zbliżał się do niej tak długo, iż to zaczynało ją

irytować. Jakto? Miałże on mieć tak mało intuicyi zakochanego? Nie poznawał jej

w tym kostymie, który z taką precyzją wykończyła, nie poznawał jej w tyrolskim

stroju, jej, która mu tyle razy o Tyrolu opowiadała? Nie poznawał jej po oczach,

których blasku przecież maska nie gasiła ?
Zaczynała być złą i podrażnioną. Książę obiegał salony, obserwował kobiety,
rozpraszał tłumy, zaglądał pod maski i jeszcze jej nie znajdował.
— Więc on może sądził — myślała Olga — że ona po kolacyi zrzuci swą maskę i
wtedy myślał jej powiedzieć to jeszcze, czego w liście nienapisał, lub zażądać,
odpowiedzi?
Zaledwie jej ta myśl przyszła, gdy książę z drugiego końca sali prosto do niej
zmierzył.
Więc ją poznał wreszcie.
Głosem zmienionym, drżącym każdą sylabą, zagadnął ją tajemniczym szeptem:
— Daruje pani. Będę mówić cicho i zmienionym głosem. Boję się, by nas nie
poznano.
— Dziwna obawa — zaśmiała się Olga — nas ? Spytaj się pan, czy jego ja poznaję ?
— Olgo! — odparł głębokim ale nie swoim głosem Ferrari. — Dla mnie to nie
maskarada, to wyrok śmierci, lub życia... Wydaj go prędzej, bo wiedzieć musisz,
że skazańca więcej dręczy czekanie, niż spełnienie wyroku...
To mówiąc, szedł za Olgą, która go wprowadziła poprostu, skierowując swe kroki
ku mniej zapełnionym komnatom pałacu Torlonich. Ona już odczuwała wpływ tego
głosu, tajemniczością swoją dziś potężniejszego, niż kiedykolwiek i pragnęła
ochłonać w mniejszym zgiełku i w dali od orkiestry.
— Dobrze panie! — zagadnęła go nagle, wlepiając swój wzrok w jego oczy zaledwie
z pod maski widzialne a czerwoną jej barwą przyćmione. — Dobrze...
Gdybym się
zdecydowała ocalić ci życie, bo ci wierzę ? Jesteś szczerym i dlatego może

właśnie w swym stylu mnie przekonywujący. Gdybym dzisiaj...
krokiem bardzo
nierozważnym... oryginalnością swoją jednak mnie nęcącym, bo ja tak
tego, co już
było i tak, jak było, nieznoszę... —
zamyśliła się i kończyła — gdybym postanowiła dzisiaj zostać twoją...
to, co
dalej będzie?
— Dalej?
— Dalej !
— No — odparł Ferrari — będzie to, co zechcesz. Będziesz moją, to
rzecz główna,
a czy nią będziesz jako kochanka, czy żona, jako królowa, czy
przyjaciółka, to
rzecz dla nas tak małej wagi. Bym ja cię wiecznie kochał, a w to
chyba nie
wątpisz...
— Ja już raz nie wątpiałam, i omyliłam się — podchwyciła smutnie
Olga.
— Czyś się omyliła? — szepnął głęboką dykcją Ferrari.
Wlepili w siebie wzajemnie oczy i milczeli. Olga nie rozumiała, co jej
miało to
pytanie znaczące powiedzieć. A Ferrari, jakby to spostrzegł,
podchwycił:
— Czyś się omyliła ? Nie wierzę, by istniał człowiek, któryby cię
kochać
przestał.
— Nie wierzysz, — zawołała — a przecież tak jest. Czy sądzisz może,
że ja go
kochać przestałam ? Ja, która go wybrałam? znalazłam? Wszakże
nieraz dałam ci to
do zrozumienia... Ja w tobie dziś jego jeszcze kocham... dodała cicho.
— Nie pojmuję go... — szepnął Ferrari — nie pojmuję go tem więcej,
iż mówiłaś
mi, że to był... człowiek.
— Tak ! człowiek!
— Więc zaszła tu jakaś subtelna zagadka miłości...

— Miłości! — podchwyciła Olga usiadając i wskazując miejsce czarnej masce. — Ale á propos. Mówiliśmy tyle, a nie powiedziałeś mi nigdy, co nazywasz miłością?

Nastąpiła długa cisza. Olga czekała odpowiedzi i wpatrywała się w oczy księcia, który zdawał się jej wzroku unikać, bo wsparł łokcie na kolanach i w dłoniach ukrył oblicze. Ona go jeszcze badała.

Jakże on to w tem, to w owem przypominał jej Rowieńskiego. I ot teraz tym ruchem narzucił go jej wyobraźni.

— Nie odpowiadasz ? — zapytała.

— Miłości definicyi żądasz ? — powtórzył, niezmieniając pozy.

— Tak!

Znów się zamyślił, by wreszcie odkryć oblicze i mówić.

— Miłość jest trudną do zdefiniowania. Każdemu inaczej ona się przedstawia, bo każdy czego innego od niej żąda. Całkiem innemi słowy zdefiniuje ją człowiek, żyjący zmysłami, a myśliciel, inaczej pozytywista, a inaczej poeta.

— Ale ty, czarny płaszczu?

— Ja? ja?

— Ty!

— Miłość jest pociągiem płciowym dwóch... odpowiadających sobie...

Olga zadrzała. Wszakże podobną tej definicyę ona już była słyszała w równie doniosłej i ważnej chwili. Ferrari, może wrażenie jej odczuł, bo urwał.

— Kończ pan? — zagadnęła — cóż się wahasz?... Kończże! Miłość według ciebie, jest więc pociągiem płciowym dwóch wzajemnie sobie odpowiada...jących?

— Wyobraźni! — dodał Ferrari.

— Wyobraźni?

— Wyobraźni dusz, jestestw, inteligencyi ! — zawołał książę. Oldze tchu brakowało. Chaos zapanował w jej głowie. Gorąco jej było nadmiernie.

Jeśli się miała związać na resztę złamanego życia z kim, to z tym,
który tak
samo to wzniosłe człowieczeństwa uczucie rozumiał, jak ten, który po
dwu latach
przeszło rozłąki, jeszcze nią władał i poruszał.
Myślała długo, a Ferrari zadumy jej nie przerywał.....
Ależ ona nie mogła się tak długo decydować, bo nie mogła wracać z
księciem do
pałacu Odrowąża przez szacunek dla jego siwych włosów o godzinie,
mogącej się
wydać dziwną nawet służbie, przyzwyczajonej do jej
ekscentryczności.....
Ani też nie mogła nie wrócić z Ferrarim, bo go знаła, iżby pogróżki w
liście
rzuconej dotrzymał, a ona go stracić nie chciała. Jakże mogła go ona
utracić,
jego, będącego jednym z tych dwóch, którzy jej się podobać mogli i
jakich w
całym życiu spotkała.....
— Olgo! — szepnął Ferrari — odpowiadaj mi. Mnie dusi ta
atmosfera. Mnie pilno
wyroku. Ja chcę wiedzieć, że żyć mogę, lub zginąć.....
— Zginąć ?
— Te siedm dni takie mi poddały postanowienie.
Pani Kowieńska odetchnęła, by nagle zapytać:
— Patrz pan! to czarne domino.....
— Widzę go — odparł Ferrari — śledzi nas od dawna...
— Znajomy mi chód.,.
I mnie również, ale cóż to nas obchodzić może ?
— Zapewne... — szepnęła i znowu milczała.
Nagle zwróciła głowę ku niemu, jakby ze stanowczą odpowiedzią, ale
ją uderzył w
teżże chwili ten jego brylant u pióra na kapeluszu.
— Ten brylant? — zapytała.
— Brylant... Lubię piękne okazy.
— Nabył go pan ?
Ferrari się zawahał i odparł cicho:
— Nabyłem.

— Dawno ?

— Niedawno....

— Czy nie pochodzi on przypadkiem z Polski?

— Nie wiem...

Olga jeszcze objęła kamień wzrokiem i podchwyciła smutnie:

— Są czasem drobnostki, które mię tak zastanawiają bo czasem w drobnostkach tkwi

dziwne podobieństwo, jakby dusza...

— Olgo! Ja czekać nie mogę...

— Wyjdźmy! — odparła wstając Olga i ruszyła z powagą kroku, w którym by się nikt

niedomyślił gorączki, jaka nią całą miotła.

I wyszli, niezważając na czarne domino, które za nimi w oddali się posuwało i

które również znalazło się w portyku pałacu Torlonich, gdy drzwiczki karety pani

Rowieńskiej zamykały się za mężczyzną ubranym czarno a la Valois.

I nie słyszeli oboje dziwnego, rozdzierającego westchnienia, które się z pod

maski tego szpiegującego ich domina głośno prawie dobyło.

* * *

I czarne domino szło ciężkim, choć przyspieszonym krokiem tą samą drogą, którą

pomknął pojazd Olgi.

Ale ominęło niezamkniętą jeszcze bramę pałacu, tylko skierowało swe kroki w

boczną ulicę i uchyliło zwykle zamkniętej, a tym razem otwartej furtki,

prowadzącej do ogrodu Odrowąża.

I krokiem pewnym mimo ciemności, dowodzącym, iż znało doskonale wszystkie

zakątki tej rezydencji, czarne domino weszło do pawilonu, którego podwoje,

zwykle o tej porze zaryglowane, były uchylone. A idąc dalej, mijając schody i

korytarze, doszło do mieszkania Borońskiego.

Ten jeszcze nie spał i znalazł się u drzwi swoich, jak gdyby przybycia tego

gościa nocnego i w tem przebraniu czekał, skoro tylko tenże w nich stanął.

Zamaskowanego mężczyznę przeprowadził do drugiej komnaty, gdzie tenże

natychmiast zrzucił z siebie płaszcz, maskę i kapelusz.

I Boroński się nie zdziwił bynajmniej, gdy stanął przed nim —

Odrowąż, ale się

zastanowił jego wyglądem i stał oniemiały. Hrabia był blady jak nigdy, drżał na

całem ciele, a oczy mu się świeciły blaskiem cierpienia i przymusu.

— Słuchaj mnie Boroński! — zawołał gwałtownym głosem, zaledwie brzmiałym jego

zwyczajną poważną dykcją.

To powiedziawszy, urwał jednakże i opuścił się na krzesło, szepcząc:

— Zmęczyłem się... niechże wytchnę.

Nie długo to trwało, zaraz podchwycił:

— Sądziłem, iż całe życie się obejść bez pośrednika czy... pomocnika. Nemezys

życia karze zbytnią zarozumiałość i zaufanie we własne siły...

Potrzebnym mi

jesteś, Boroński, a że to, co ci powiem, pozostanie zawsze między nami dwoma,

nie wątpię...

Pomyślał i zawołał z najgłębszą rozpaczą:

— Nie mogę tego sam uskutecznić, nie mogę!

— Rozkazuj pan!

— Nie mogę szpiegować mojej córki... nie mogę szukać pomocy mojego zięcia.

— Rozkazuj hrabia! — powtórzył wzruszony sekretarz tą niemocą starca, wiejącą

nie tyle z jego słów, ile z jego oblicza, o ściągniętych brwiach i pooraniem

czole.

Po pauzie Odrowąż odzyskał energię:

— Biegnij, drogi Boroński, do hotelu... albo nie. Idź do pałacu — polecał

stłumionym głosem, dobywającym się z największą trudnością z zaciśniętej piersi,
a za ledwie szeptem wychodzącym z gardła — nie... Idź do pałacu i dowiedz się nieznacznie, od siebie.... podstępnie wybadaj służbę, ale
tak, by nikt cię nie podejrzewał, że to czynisz dla mnie, z kim wróciła z
maskarady... pani Rowieńska...
Borońskiego oczy nabrały wyrazu. On teraz dopiero zrozumiał, co znaczyło to
przebieranie się Odrowąża, z którego mu się nie tłumaczył. Usiłując uchwycić nić
przewodnią mimowolnie intrygujących go wypadków, stał.
— Nie dziw się — podchwycił hrabia — że ci nie motywuję zleceń...
Nie
potrafiłbym — jęknął.
— Więc to tylko mam spełnić ?
— To tylko i najprędzej.
Boroński wyszedł, a Odrowąż został sam w jego bibliotece, oświeconej bladym
światłem przyćmionej lampy. Nie ruszył się, tylko siedział na miejscu skamieniały. Wiedział, z kim opuściła bal Olga, ale nie wiedział, czy z
tymże
powróciła do domu. A więc Kowieński, którego od pierwszego i ostatniego widzenia
się z nim, nie widział, nic nie wynalazł, nie wpadł na żaden pomysł ratujący
Olę, siebie i jego... jego!... Poświęcił ją, jak się wyraził. A on do ostatniej
chwili rachował, że ten człowiek coś zrobi, że.....
Myśl jego chaotycznie się gmatwała, a czas mijał z tą chyżością właściwą
jej gdy towarzyszy ludzkim katastrofom.
Wtem powrócił Boroński.
— Co ? — szepnął hrabia z tą bezmierną ciekawością, która oddech odbierała, z tą
trwogą, która głosem drżała.

— Pani Rowieńska powróciła z mężczyzną, ubranym w czarny płaszcz, czarny kapelusz z białym piórem i w czerwoną maskę zamaskowanym.

— zamilkł i po dłuższej pauzie stłumionym głosem ciągnął — służbę zwolniła...

światła pogasić kazała...

Hrabia się ocknął i zawołał z gorączką:

— A teraz, Boroński, biegnij do hotelu, obudź Rowieńskiego i przyprowadź mi go tutaj.

Ten rozkaz wydał tak gwałtownie, iż sekretarz rzucił się ku drzwiom z pośpiechem, zdradzającym jego obawę o stan zdrowia hrabiego, niezdolnego może już czekać.

Odrowąż został znów sam ze swemi myślami.

— Cóż to była za stanowcza kobieta... ah! on ją taką wychował, taką! Pograżył się w myślach, które chaotycznie cisnęły się do jego mózgu w dalszym konsekwentnym ciągu".

— A więc jego córka miała kochanka.... Wszakże on sam to jej był polecił....

wszakże w tem nie tkwiło nic, coby wstrząsało jego zasadami.... A mimo to tak

cierpiał.... jeszcze się obronić usiłował.... Bo toć on sądził, że wychowując

córkę tak, jak ją wychował, uczyni ją silną i zabezpieczy ją od upadku.... Bądź

co bądź, kochanek był upadkiem kobiety w pojęciach kilkunastu stuleci a zasady

kilkunastu stuleci musiały mieć podstawy zbyt silne, by je kruszyć próbował....

Ale wszakże on jej sam te zasady, które dziś pozwalały Oldze z kochankiem

najnaturalniej powracać do domu, wpoił.... Dlaczegoż to uczynił? Ach!

nieszczęśliwy! On nie przypuszczał, by Olgę mógł kto kochać przestać....

Rowieński! Rowieński!

Myśli jego traciły tę filozoficzną zimnotę, nad której nabyciem pracował lata, tę sprężystość pozwalającą im wszystko zrozumieć i wyrozumieć, która go dotąd cechowała, rąca kobieta on się dziwił, że ta go-
Ileż razy przeszło dwa lata pozostawała wierną swej pierwszej miłości
—

Rowieńskiemu, nieobecnemu i odległemu. Ileż razy się dziwił, że jeszcze nie miała kochanka ?

A dziś, czemuż tak cierpiał, że go na zimno dziwić przestawała?

— Ach! — zawołał — jakimż silnymi węzłami zespoleni jesteśmy z przeszłością przesądów i fałszywych, kultów, zwyczajów i obyczajów, a nie myśli i nauki.

I próbował się otrząsnąć. Ale nie. Nie mógł pozbyć się gorączki na myśl, że jego

Olga, tam w jego pałacu, może się już oddała kochankowi, który ją . nie wziął

przy ołtarzu na zasadzie prawa, szanowanego przez tyle wieków. Nie! Nie mógł

zgodzić się na to, by jego córka mogła być upadłą kobietą, choćby w strupieszalnych pojęciach ludzi o inteligencyach tak słabych, iż te szły z

zużytymi torami, przez dzikich stworzonymi, bo nowych stworzyć sobie nie mogli.

Rozpaczał prawie, gdy powrócił Boroński.

— Nie ma Rowieńskiego — szepnął tenże.

— Wyjechał? — zapytał bledniejąc hrabia.

— Nie... ale go nie ma. Zimny pot oblał czoło Odrowąza.

A więc jedyna deska ratunku mu się wysunęła. Rowieński jeden mógłby się upomnieć

o swoje prawa, których w teorii kierującej jeszcze światem nie stracił.

Ale jego

nie było. On może się bawił i szalał szalem florenckim ostatniego dnia włoskiego

karnawału. On...

Odroważ się zerwał, wyprostował i wyciągając dłoń do Borońskiego, szepnął:

— Przeczuwam straszne chwile, mój przyjacielu, jakby jakieś moralne zawalenie

się. na pozór olbrzymiej myśli budowy. Zdaje mi się, że brnę w zasypującym mnie

rumowisku mego całego życia. Mam gorączkę... Okrutne pytania mnie dręczą. Czy

głupi i bezmyślni mają słuszość tutaj ? Czy mądrzy ? Czy świat jest dla

zwierząt czy dla ludzi? ludzi, jakimi ich mieć chce kultura humanitaryzmu i

postępu. Stoję sam z sobą w sprzeczności... ha, ha, ha !... Rozumiesz Boroński ?

Ja nie wiem, czy całe moje życie, oddane pracy myśli, badaniu tajników i

wynajdywaniu prawd, nie było jednym błędem idiotyzmów, mrzonek i utopij pasmem ?

ha, ha, ha!!!

Zaśmiał się strasznie i wyszedł.

Bocznym długim kurytarzem, łączącym jego apartament z mieszkaniem sekretarza,

doszedł do siebie, torując drogę swym chwiejnym krokom za pomocą świecy,

tkwiącej w ciężkim brązowym lichtarzu.

Znalazł się u siebie, w swym gabinecie, w którym spędził tyle szczęśliwych

chwil, wykołysał tyle ułud, wymarzył tyle szczęścia dla Olgi.

Ten gabinet wydał mu się grobowcem, Te ściany pokryte obrazami i tańczące mu w oczach, sprawiały mu wrażenie jakiejś piekielnej dekoracyi.

A trzął się na ciele, chwiał formalnie na nogach.

To siadał, to wstawał, to chodził przyspieszonym tempem, to opierał się o

kolumnę, na której stał posąg starożytnej Wenus i czoło chłodził o jej zimny i

twardy marmur.

Już nie myślał, tylko myślą cierpiał jednym cierpienia pasmem, tak chaotycznym,
tak nerwowem, iż obronić się mu, ani go zwalczyć nie próbował.
Dwa razy opuścił swój pokój i ze świecą w ręku przeszedł przez wszystkie
komnaty, prowadzące do apartamentu córki. Dwa razy był i stał długo
u drzwi, za
którymi się znajdował salonik Olgi.
I pierwszy raz w życiu blady, oblany zimnym potem, Odrowąż
nadśłuchiwał szmerów
dochodzących go z pokoju córki
I zdawało mu się, że słyszy namiętne szepty miłości, że słyszy dwa
głosy, że...
I dłoń trzymał na klamce i dwa razy, pąsowiejąc na twarzy, usiłował
mosiądz
przycisnąć i... siły nie miał.
Siły, czy odwagi?
I raz drugi powrócił do siebie, ale już nie, by chodzić i pytać się
rozpa-
czliwie, ażali miał prawo i rację ze swego domu wypędzić Olgi
kochanka.
Powrócił i rzucił się na swój fotel, by usnąć snem, który w jednej
chwili
ogarnął jego członki i fibry, zmęczone do ostatnich granic,
wycieńczone
cierpieniem, zużyte pracą mózgu.
A światło dnia wdzierało się już przez okna i oświecało jego oblicze o
lat
dziesięć zestarzałe w tej jednej nocy i rzucało strugi coraz
widniejszego dnia
na jego białą poszarpaną brodę, na jego bielsze jeszcze, niż dotąd,
włosy.
Spał i jeszcze cierpiał, bo się wił na fotelu, bo przez sen wzdychał w
bolach
tej myśli, która nigdy nie zasypia pono.
Odrowąż spał.

A gdy się rano, bardzo późno obudził, gdy odzyskał wzrok i przytomność, gdy się połapał w tem przebudzeniu, zastajacem go w tej komnacie i na fotelu, ujrzał stojących nad sobą — Olgę i Rowieńskiego.
Zerwał się, oczy ręką zasłonił, dłonią po czole przetarł.
— Olga! Edward! — zawołał tragiczną dykcją, oczom jeszcze nie wierząc, że jeszcze śni, myśląc.
— My — szepnęła pani Rowieńska — my, twoje dzieci!
Odroważ błędnym wzrokiem potoczył dokoła siebie, zatrzymał się nim na córce,
potem na zięciu i utkwiał wreszcie w posadzce. Z błyskawiczną szybkością myśli, snem pokrzepionej, przypomniał sobie wypadki ostatnich dni, rozmowę z Kowieńskim, maskaradę, powrót, tę straszną noc, i to i owo, różne szczegóły...
— Wy i moje dzieci! — ryknął formalnie, zalewając się łzami i rzucając się w objęcia córki.
— Papo, papo drogi! — szeptała Olga — przebacz, przebacz, żeś cierpiał. Dzięki ci, żeś mi życie i szczęście... oddał.
Gdy ochłonał, z głową zwieszoną, na ramieniu Olgi, gdy jedno zrozumiał, a drugie odgadł, zwrócił się do zięcia i wyciągając doń dłoń, zagadnął:
— A więc niegodziwcze! znalazłeś sposób... i nie uprzedziłeś mnie. Ja tyle tej nocy przecierpiałem. Ja omało...
Urwał, a Rowieński podchwycił:
— Sądziłem, iż się mnie poznał, ojczy, jak ja ciebie.
Tu spojrział na Olgę, nierozumiejącą i pytającą swym iskrzącym wzrokiem i dodał:
— Pamiętasz tego pana w czarnem dominie, który cię szpiegował wczoraj na balu, gdyś rozmawiała z Ferrarim...

— Z Ferrarim... — zaśmiała się Olga przedziwnie dźwięczną i kochliwą dykcją.

— To był twój ojciec — dodał Rowieński — który zważył o zięciu i sądził, że

tenże nieznajdzie sposobu odzyskania swej Olgi, gdy ta go kochać nie przestała...

— Ale gdyby był twój sposób się nie udał Edwardzie? — zagadnęła rozkochaną Olga.

— Tobys i tak była z Ferrarim nie powróciła — zawołał Odrowąż do córki — och!

powiedz, że tak!

Olga się zamyśliła i długo trwało milczenie, aż je poważnie przerwał Kowieński:

— Moge ci ojciec zaręczyć, że tak.

— Na jakiej podstawie? — zapytała kobieta, zwracając się ciekawie do męża.

— Na tej — odparł Edward, obejmując żonę — że w ostatniej chwili brakłoby ci

było odwagi zdradzić tego, którego kochałaś, a o którym instynktem czułaś, że

cię kocha... A zresztą! — zawołał ożywiając się — czy ty sądzisz, żeś ty

Ferrariemu uchyliła drzwiczek karety?

— Oh! nie domyślałam się podstępu.

— Kobieto! biedna córko Ewy... — szepnął Rowieński — ciekawości twej

zawdzięczam, że cię znów mam... Tyś

wzięła Ferrariego, wierzaj mi, tylko dla tego, żeś go w nim mnie poznawała, że w

nim...

Urwał, bo mu Olga dłonią zamknęła usta, a okalając jego szyję ramiony, szeptała:

— Mój ty... odzyskany. Nie pozwolisz już mi być egoistką?

nieprawdaż? Potrafisz

mnie zmusić, bym kochała ciebie, a nie siebie w tobie?... Potrafisz? mów!

Ale Edward milczał, bo on i w tej chwili szczęścia nie umiał bezmyślnie

odpowiedzieć na głębokie pytanie. Milczał tak długo, aż go zastąpił
Odrowąż,

mówiąc:

— Potrafi... jeśli się jeszcze jednej nauczy prawdy.

— Jakiej?

— Że w małżeństwie kobiety powołaniem jest poświęcenie się, jeśli
ono potrzebne

— odpowiedział i opuścił się na fotel z tą niedbałością człowieka
zmęczonego nad

siły, zdradzając miną zupełne wyczerpanie, które spostrzegła Olga.

— Tobie niedobrze — rzekła czule, tyś nie spał...

— Już dobrze — szepnął z wysiłkiem hrabia — już dobrze, skoro o
twoją łódkę po

tej burzy mogę być zupełnie spokojny... Już ona spokojnie dobije do
portu i nie

będą nią miotać namiętne i uparte fale, niezba-

dane wiatry. Już jej nic nie zrobią bałwany morza, w których próbie
wytrzymała i

dobrze zbudowaną się okazała... Już mi dobrze — dodał ściskając
dłoń

Rowieńskiego i powierzając mu w tym gorącym niemym uścisku raz
wtóry szczęście

tej kobiety, będące konsekwentną koniecznością wszystkich jego
celów i ambicyi,

będące potrzebą całego jego jestestwa, dobroczynnem i niezbędnem
słońcem schyłku

każdego, a więc i jego żywota.

KONIEC.